R E L A C J A

pana Mariana Dobrowolskiego

nagrana 19.03.91 w Łodzi przez Tomasza Gleba

Wersja zredagowana

Część pierwsza

Jestem urodzony pod Łodzią, na Wileńszczyźnie znalazłem się przypadkowo. Poruszę tu tylko jedną stronę, polsko-sowiecką. Tutaj w Łodzi była organizacja, pompatycznie nazwana Legion Wyzwolenia. To tworzyli młodzi harcerze, ale bardzo szybko rozszyfrowano wszystko, okazało się, że i Niemcy byli... Ci, z którymi razem chodziliśmy do szkoły. Bo tutaj kiedyś była szkoła, na ulicy Sędziowskiej, bardzo piękna szkoła, i co ciekawostka - pierwsze piętro zajmowali Niemcy, wyłącznie młodzież niemiecka się tam uczyła / to była szkoła podstawowa/, a wyższe, drugie, trzecie myśmy mieli. Kto wówczas dzielił: Polak czy Niemiec, kto o tych sprawach myślał?...Przecież z tego tytułu i koleżeństwa różne były i przyjaźnie. Okazało się, że w czasie okupacji, w 1939-40 zaczęły się i inne sprawy...

Zaczęła się wojna, miałem 14 lat, cóż, jeszcze dzieciak. Dzisiaj obserwując to pokolenie, widzimy więcej takiego... Wówczas ten okres bardziej człowieka czynił dojrzalszym i bardziej samodzielnym.

W roku 1944 byłem żołnierzem I Zgrupowania Wileńskiego Armii Krajowej. W lipcu 1944 roku w ramach akcji "Burza" byłem uczestnikiem operacji "Ostra Brama". Jak to wyglądało: z 6 na 7 lipca oddziały Armii Krajowej w sile - w mojej ocenie - około 16-18 tysięcy w nocy zaatakowały Wilno. Wielki

przez całą noc toczyły się ze zmiennym szczęściem. Następnego dnia do walk włączyły się oddziały Armii Czerwonej zbliżającego się III Frontu Białoruskiego. 13 lipca Wilno zostało wyzwolone. Pierwsze stosunki z oddziałami Armii Czerwonej były jak najbardziej poprawne, wręcz przyjacielskie!... Inaczej nas nie nazywali, tylko orły, orły. Kilkakrotnie generał Krzyżanowski, już wówczas w stopniu generała, był zapraszany do Wilna do sztabu III Frontu Białoruskiego przez generała Iwana Czerniachowskiego. Ze swoim sztabem, skład ścisłego sztabu zapamiętałem, sławni, z cichociemnych: pułkownik Ludwik... Po jednym z takich przyjazdów rozeszła się fama wśród oddziałów, że Rosjanie wyrazili zgodę na utworzenie się dwóch dywizji polskich. Oni oczywiście zaopatrzą w broń ciężką i będziemy, jak to mówią Ruscy:*plecio w plecio*, to znaczy ramię w ramię szli aż do Berlina. Cóż więcej do szczęścia potrzeba?...Euforia po prostu...Rosjanie odwiedzali nas na biwakach, byliśmy często zapraszani do sowieckich oddziałów.

Tak było do 17 lipca. Wypadki bardzo szybko toczyły się. 17 lipca generał Krzyżanowski został zaproszony do Wilna. Sztab Krzyżanowskiego mieścił się wówczas w miejscowości Wołkorabiszki. Przyjechali rano oficerowie radzieccy po generała Krzyżanowskiego i razem odjechali do Wilna. A na ten dzień - co już wcześniej było ustalone - na godzinę 17 / 17 lipca godzina 17, dlatego ta data tak mi się wryła w pamięci/ dowództwo sowieckie zaczęło sobie spotkania z wyróżniającymi się oficerami i dowódcami oddziałów partyzanckich. Na spotkanie to wyznaczono miejscowość Boguszcze.

Wcześniej generał Krzyżanowski został wezwany, z a p r o-

s z o n y do Wilna. Sądzono, że on ze świtą oficerów radzieckich zjawi się w Boguszczach. Co się okazało - krótko po godzinie siedemnastej podjechała do kolumn od strony Wilna kolumna wozów ciężarowych krytych brezentem. Zatrzymali się przed tą łączką, tam było kilka zabudowań,wiejskie żywopłoty. Oficerowie widzą zbliżającą się kolumnę, ustawili się, żeby powitać gości, w dwuszeregu. Z pierwszego auta wysiadł pułkownik sowiecki, podszedł, przywitał się ze wszystkimi i zaraz zakomunikował, że oficerowie polscy powinni złożyć broń...w rozmowach, jakie będą tutaj toczyły się z przedstawicielami sztabu sowieckiego III Frontu Białoruskiego...

Tutaj nastąpiła maleńka jakaś... Wystąpił ktoś:

- No cóż - mówi - my nie możemy złożyć broni.

Pułkownik zaczął się denerwować /będę mówić trochę skrótowo/. Zaraz podjechała druga kolumna, na czele której przyjechał już generał sowiecki, z NKWD, jeśli się nie mylę oni wtedy nosili czerwone otoki. Ten również podszedł, stanął przed szeregiem polskich oficerów, stanowczo zażądał złożenia broni, jeszcze jakieś słowo padło na "nie", krótko podał komendę do swoich żołnierzy, którzy ustawili się naprzeciw, jak gdyby w podkowie:"Gotuj broń", automaty... Konieczność - broń złożono.

Wówczas od tej grupy oficerów bodajże dwóch czy trzech bardzo spokojnie, flegmatycznie, nie zważając na te wszystkie toczące się rozmowy przekroczyło żywopłot i odeszli, zniknęli z pola widzenia. Na to zwrócił uwagę ten generał, że jak to jest, że należy ich zatrzymać i zawrócić. No ale...

Ja nie byłem w tej grupie, ja byłem niedaleko. Myśmy też w pogotowiu stali, obok, oddział "Wilhelma".

No ale krótko - po rozbrojeniu grupy oficerów załadowano na auta ciężarowe i wywieziono do Wilna. Fama poszła: "zostali aresztowani oficerowie", oddziały wycofały się do Puszczy Rudnickiej, inni przejęli dowództwo nad grupami.

I co się działo - nad puszczą, na przedpolach puszczy latały bez przerwy dwupłatowe samoloty rosyjskie, te kukuruźniki, zrzucano ulotki, żeby wychodzić, żeby składać broń, że to nie ma racji bytu na zapleczu frontu działania Armii Krajowej. Ja byłem wówczas w oddziale "Cerbera". I początkowo chcieliśmy się przebić, gdzieś bliżej na zachód.

Oni mieli spenetrowaną dokładnie Puszczę Rudnicką, bo w czasie okupacji wyłącznie bazowały tam oddziały rosyjskie, partyzantka sowiecka. Były ciągle zatargi. Bo co co chodziło: sowieci uważali za swój obowiązek niszczenie zaplecza dla frontu. Niszczyli polskie wsie, w sposób okrutny niszczyli: zabierali żywność, palili to, co zebrano. Przez to - brak środków do życia dla mieszkańców. A oni uważali, że to jest niszczenie zaplecza niemieckiego. Dobrze tam byli zaopatrzeni ze zrzutów, to były silne ugrupowania.

Gdziekolwiek nie wysuniemy się - wszędzie na tych przesiekach stoją... Ja w tym czasie byłem ranny. Znalazłem się w Puszczy Rudnickiej, ale nastąpiło przemieszanie oddziałów, koncentrowanie się oddziałów pod jedno dowództwo... Ja znalazłem się w swoim macierzystym oddziale "Cerbera".

I tak musieliśmy z konieczności wyjść. Kończyło się zaprowiantowanie - bo można bez żywności? Dzień, drugi, trzeci, zaczęli konie bić. Ale cóż, konie bić, to trzeba gdzieś gotować, biwaki, a oni już tam wszędzie się znajdowali.

Było w Puszczy Rudnickiej kilka oddziałów, w sumie 12 tysięcy ludzi.

Wyprowadzono nas na skraj Puszczy Rudnickiej i poprowadzono do miejscowości **Miedniki Królewskie**. Były tam pozostałości starego warownego zamku, jeszcze założonego przez Bonę bodajże. Zostały jedynie bardzo wysokie mury kamienne - idealnie sprzyjające warunki na taki tymczasowy obóz. Na murach wszędzie karabiny maszynowe, możliwości stamtąd wydostania się nie było.

Po kilku dniach przyjechało kilku oficerów z armii **Berlinga** agitować nas za wstąpieniem do tej armii. M.in. był tam **Putrament**. Wszyscy odmawiali, żadnych rozmów absolutnie nie przeprowadzali. Żądaliśmy tylko zwolnienia wszystkich aresztowanych łącznie z generałem Krzyżanowskim.

Niektórzy wyrazili chęć wstąpienia do armii Berlinga. Byliśmy na nich strasznie oburzeni. Jak wychodziła ta grupa - może 100 osób, może więcej - wyprowadzaliśmy ich w szpalerze z gwizdami. A z tej grupy wszyscy zaraz bryknęli! Część została, ale większość uciekła. Tych, którzy nie uciekli, z powrotem cofnęli do Miednik.

Bodajże po 10 dniach w tych Miednikach - wszystkich do najbliższej stacji kolejowej, w wagony pod zaostrzonym konwojem - i do **Kaługi**. Każdemu po bochenku chleba, kilka śledzi, wody natomiast nie. Sytuacja się wytworzyła - nikt o niczym nie myślał, tylko "wody, wody, wody"...Gdzie pociąg stanął, to Rosjanie rzucali kamieniami. Bo na wagonach niektórych było napisane "WŁASOWCY". Wiadomo, jaki był stosunek Rosjan do własowców...

Kiedy już przyjechaliśmy do Kaługi, miłe zaskoczenie - grała orkiestra. Czy ona grała hymn polski, czy coś takiego,

nie mogę sobie przypomnieć. Z nas szeregują szpalery i przez Kaługę prowadzą do koszar. Koszary były na peryferiach. Rosyjska orkiestra, z Kaługi. Przyjmowano nas tam z orkiestrą, to było dla wszystkich zaskoczeniem po przygnębiającej podróży.

Doprowadzono nas do starych, starych koszar w Kałudze. Ciekawostka, że w tych koszarach wojska napoleońskie kiedyś stacjonowały. Tam z miejsca wzięto się za tzw.sanobróbkę. Zawszeni byliśmy - okres podejścia na zgrupowanie, wszystko w czasie przyspieszonym, bez możliwości umycia się... Przeprowadzili to bardzo ładnie, zgrabnie - do łaźni. Olbrzymia łaźnia, wszyscy rozbierali się. Wydano każdemu papierowy, duży worek po cemencie do złożenia swoich mundurów. Bo na Wileńszczyźnie oddział musiał być jednolicie ubrany. Więc swoje umundurowanie złożyć, paczkę machorki na dwóch - to miało zastąpić mołotobójcza hafbaltnę, na kilku-kilkunastu dogryzek ołówka chemicznego, żeby na tym worku napisać adres domowy i tak dalej. Okrągłe koła z drutu gięte i tam swoją odzież wieszaliśmy do dowszalni, do sławnych wosobojek, jak oni nazywają. Adresy na workach były po to, że to wszystko w depozyt poszło, że po zakończeniu wojny będzie przesłane na dane adresy.

Wszystko do dowszalni, wchodzimy do łaźni, tam golenie głowy na zero, wszędzie, gdzie włosy się znajdują - strzyżenie, smarowanie jakąś maścią. Nam to użyło, poczuliśmy się innymi ludźmi. Nikt nie myślał już wówczas o wodzie.

Z drugiej strony wychodziliśmy po sanobróbce, tam już było przygotowane umundurowanie. Każdy na swój wzrost dobierał koszulę, spodnie, koszulę. Jak się przebraliśmy

po tym strzyżeniu, to nie mógł jeden drugiego poznać!...

Przebrano nas w sowieckie mundury, z powrotem przyprowadzono do koszar, nic więcej, tylko nakarmiono nas przyzwoicie...

I tak staliśmy się ruskimi żołnierzami.

Reakcja była... nie bardzo. Każdy...zapanowała jakby przygnębienie, bez entuzjazmu.

Mieliśmy jeszcze z dzień wolnego dla odpoczynku i na poligony, na ćwiczenia wojskowe.

Uczyli nas rosyjskich piosenek, jedna była wówczas popularna:"Leningrad nie odradzimy i Moskwa stolicą...". Nie bardzo nam to.... Śpiewaliśmy polskie. Początkowo tak było, że jeżeli zaczynaliśmy polską, to padały komendy:"W miejscu maszeruj", do zmęczenia, dopóki nie zaprzestaniemy. Ale nie poprzestaliśmy, oni później przestali i śpiewaliśmy polskie piosenki. Tak się to przyjęło, że później cała Kaługa śpiewała m.in. "Żal, żal za jedyną...ptiy i sokoły...", bo to taka dobra marszowa piosenka. Przyjęło się i zaniechali nam zabraniania nam śpiewania polskich piosenek. Wyczuwaliśmy sympatię ze strony mieszkańców Kaługi. Trzeba przyznać, że ci oficerowie też do nas trochę z podziwem...Nie było z ich strony jakiegoś spodziewanie... ale z sympatią odnosili się do nas.

Zaczęły się normalne ćwiczenia. Struktura wojskowa: potworzono kompanie, potworzono plutony, i wychodziliśmy szykiem zwartym codziennie rano na poligon. Olbrzymi poligon. Podstawowe rzeczy: walka wręcz, proste sprawy.

To trwało około trzech tygodni. Ci nasi, widocznie na podstawie oceny naszych instruktorów wojennych doszli do wniosku, że więcej nic nie potrzeba:"Nastąpiłsze sędaty,

czego czas tracić?".

Cieszyliśmy się troszeczkę takim uznaniem ludności cywilnej w Kałudze, bo wychodząc z koszar zawsze śpiewaliśmy jakieś polskie piosenki. Bardzo przyzwoity dowódca batalionu, u którego ja się znajdowałem, zresztą jego nazwisko pamiętam: major Bezrudny, stary oficer, jeszcze w carskiej armii służył, ale z pochodzenia był Ukrainiec. Bardzo przyzwoity człowiek, jego zachowanie na poligonie też o tym świadczyło: specjalnie nikogo nie przemęczał, "no, ziebrało, idom w krużok rozkowantwat". Był bardzo chłonny, jak u nas w Polsce się żyło przed wojną. Takie były rozmowy. Zajęć było nawet niewiele, pierwszy tydzień, a później...

Po trzech tygodniach przychodzimy z poligonu, zostajemy powiadomieni, że następnego dnia będzie przysięga. Żeby doprowadzić się do porządku, zaprowadzono nas nad Okę, tam poprałiśmy sobie nasze mundury. Do wody się wchodziło, jeden drugiemu plecy nacierał, mydła nam wydano. Osuszyliśmy to, bo dzień pogodny był. Podstawą tego było, żeby każdy miał obowiązkowo czysty podworoczyk. Cały mundur mógł być brudny, ale kołnierzyk stojący przy tej gimnastiorce żeby był podszyty białym płócienkiem. To płócienko dawano, darliśmy biały materiał na kawałki kołnierzyka /pierwszy błąd/ - ale czym to przyszywać? Tam igieł nie było, nie było żadnych nici "Zrób, żeby było w porządku!" Niektórzy to jakoś sobie poprzyczepiali drucikiem, a nas była grupa, wykombinowaliśmy: darliśmy materiał na dłuższe paski, założyliśmy na szyje... Niektórym Rosjanom to się nawet podobało, to bardzo fajnie wyglądało.

Kiedy już byliśmy po apelu wieczornym, zaczynają się poważniejsze rozmowy: jak będzie ta przysięga wyglądała?...

każdy się gubił w domysłach. Jak to w takim zbiorowisku: ktoś tam widział księży polskich... Czy przyjadą jacyś kapelani wojskowi, jak to się będzie odbywać? Trudno to sobie było wyobrazić. Nie wiem, czy wielu było takich, którzy tę noc przespali normalnie...

Była grupa organizatorów. Tu w Łodzi jest jeszcze kolega Gronowski /wówczas wiekiem starszy, bo już był po skończeniu gimnazjum/, Pałczyński, Zając /to był harcmistrz chorągwi łódzkiej/, i jednak mówiliśmy, że coś takiego może nastąpić. "Tutaj nie opowiadajcie, że ktoś księży widział, nie przypuszczamy, żeby oni sobie pozwolili na typowo polską przysięgę". I tak się stało.

I kto miał, to robił - czerwieni tam było pod dostatkiem, a biel z koszulki albo z prześcieradła - chorągwie prowizoryczne, i chował pod płaszczykiem.

Rano godzina dziewiąta, było bardzo przyzwoite śniadanie, nigdy nie najedliśmy się tak jak przed przysięgą. Wyszliśmy na plac, gdzie miała się odbyć przysięga, trybuna pokryta obowiązkowym czerwonym suknem, jakiś naszt, wszędzie czerwień, czerwień, a bieli - nie ma.

Wyprowadzono nas , uformowano równoległobok, jednym bokiem były trybuny - ja stałem w drugim szeregu, blisko tej trybuny. My stanowiliśmy przy boku. Przyjechała ich generalicja, przyszli wyżsi oficerowie i co było wzruszające - że na tej uroczystości znalazło się, co było w ogóle niespotykane, dużo cywilnych Rosjan. Tych z Kaługi. A wówczas było nie do pomyślenia, żeby ktoś z pracy... Jak coś to zrobił?... Widzieliśmy tych uśmiechniętych, w fufajkach, prosto od stanowisk roboczych poszli. A tam były blisko nas parowozownie... My sądziliśmy, że może ten teren będzie

udekorowany flagami polskimi - przecież przysięga wielka rzecz! Okazało się, że nie.

Jakoś porozumieliśmy się bez słów. Stanęliśmy przed tą trybuną poszczególnymi batalionami... No i kiedy podano komendę rosyjską "baczność", to znaczy "smirno" - słyszymy przez megafony słowa roty przysięgi rosyjskiej. "My synowie sowieckiego narodu...", coś takiego. Jak w oszołomieniu, jakby w szoku stałem. Moment, moment, a później wyskoczyły te chorągwie, które mieliśmy - szybciusieńko,co kto miał, nie patrząc na komendę "baczność"... Na dagneb, na ten drągi sztych - część miała karabiny, część papesze /trzeba powiedzieć, że karabiny były niesprawne, to znaczy przeborowane były komory wystrzałowe, broni normalnej jeszcze nam nie dawano, tylko karabiny ćwiczebne /. / Nikt się za siebie nie oglądał, ale było tych chorągwi trochę. Człowiek to jak w szoku jakimś to wszystko robił, nie można było obserwować tego...

Kiedy wyskoczyły te chorągwie, kiedy podano komendę "baczność", oczywiście oficerowie na trybunie salutują - to był moment takiej ciszy i później rotę odśpiewano. Odśpiewano rotę. To raczej taki wybuch był... Ja nie wiem, wiem tylko, że śpiewałem, co się koło mnie działo, to człowiek i głuchy na to był, i w oszołomieniu był, to było jakieś takie... coś nienormalnego dla nas... Wiedzieliśmy, że coś się dzieje tutaj - i między nami, i wkoło nas...Wszyscy byliśmy jak gdyby w szoku...

Największe wrażenie zrobiło to, jak te biało-czerwone chorągwie wyskoczyły. Ja tylko obserwowałem...Akurat zaraz blisko mnie kamera stała, z jednej i drugiej strony trybuny. Stałem przy trybunie, bo należałem do tych, którzy szli w

pierwszych dwóch czworkach, jak oni nazywali: "zapiewajły", którzy / człowiek był młodszy, to śpiewał /zaczynali słowa piosenki. Ta dostojna melodia zrobiła troszeczkę wrażenie na nich - cywilni, którzy przyszli, pozdejmowali czapki. Rosjanie nie byli na to przygotowani.

Było tam operatorzy, to wszystko filmowali. Co dostojnicy, którzy mieli przyjmować przysięgę, trzeba przyznać, że do końca trzymali ręce przy papachach.

Skończono. Cisza - niesamowita.

Skończyły się słowa roty, moment wyczekiwania, moment ciszy - i później komendy, nienaturalne takie, jak się nieraz na filmach widzi, jak Niemcy robią łapanki... takie nerwowe komendy: "Krugom, krugom", w tył zwrot, w tył zwrot, poszczególnymi kompaniami, batalionami - i nie do koszar, tylko na poligon.

Na poligon nas wyprowadzono, grupy potworzono z kompanii, z batalionów. Żadnych ćwiczeń nie było. Pod wieczór z powrotem zaprowadzono nas do koszar. Na drugi dzień nigdzie nas nie wyprowadzali, tylko w koszarach. Koszary drutem były otoczone.

Nie komentowaliśmy tego, co się stało. Każdy jakoś w sobie, na swój sposób to wszystko przeżywał. Tutaj już takie wypadki się toczyły... Widać było w każdym razie jakieś przygnębienie...Dodatkowo do koszar przyjechało sporo oficerów sowieckich, z którymi nie mieliśmy do czynienia podczas szkoleń i widzieliśmy, że jesteśmy bez przerwy "pod obstrzałem": żadnych grupek, żadnych rozpów nie było. Oni byli wciąż między nami, gdzieś chodzili bez przerwy. Byliśmy pod obserwacją. I na co zwróciliśmy uwagę - koszary normalnie zawsze były strzeżone, były wysokie wartownicze, ale później

jeszcze były na zewnątrz dodatkowe warty pilnujące w koszarach. Ale o tym, że mogą nas dezyfikować, nikt specjalnie nie myślał.

Ja osobiście zobojętniały byłem na wszystko.

To trwało dwa dni. Trzeciego dnia do koszar przyjechały samochody, przywieziono masę starej odzieży, też wojskowej, starej, jak tylko sobie można wyobrazić. To wszystko, co mieliśmy na sobie, zdjęliśmy z siebie, zabrano nam to, założyliśmy te stare łachy. W nocy doprowadzono nas do stacji kolejowej, na wagony i dowieziono pod Moskwę do miejscowości Średniaki/i

To już były lasy. Przyjechaliśmy na stację, ze stacji wyprowadzono nas na olbrzymią polanę, razem z nami narzędzia: piły, siekiery, łopaty i inne takie rzeczy. Pokazano nam, że tutaj na tej polanie kopcie sobie ziemianki.Nikt nie wiedział, jak się do tego zabierać, pokazano nam, jak to się robi, wykopaliśmy doły, ziemię wyrzuciliśmy z powrotem na dach.i. W ziemiance z jednej strony były miejsca do spania, na podwyższeniu a z drugiej strony był korytarz nitwj wykopany.Na miejsca do spania nawieziono gałęzi z lasu, przywieziono jakieś stare szyrele wojskowe, przykryto i to było nasze miejsce.

"Tu będziecie mieszkać, żyć i pracować". To była jesień 1944 roku.

I tak przezimowaliśmy całą zimę.

Chyba na trzeci dzień poszliśmy do lasu piłować las. Teren malaryczny, niezdrowy, bagienny. Osina i brzoza. Początkowo norma: 4 kubometry na dwóch. Niewielu było takich, co kiedyś mieli do czynienia z taką pracą.

Zaczęły się historie: swierzb, biegunka, dezynteria,

niedożywienie. Ani kawałka mydła, spanie w tych szynelach...Inwazja pchel, straszna inwazja pchel. Dlatego, że to był teren piaszczysty, obikacje - niedaleko za ziemlankami były rowy wykopane, po jakimś czasie zasypywano taki rów i dalej, następny. Na zimę wydano nam buszlaty, wagtowane kurtki, od spodu pikowane, a z wierzchu mogło to być kiedyś zielone. Dawano nam stare, zużyte odzież. Przychodząc z pracy albo w lesie robiliśmy takie kostki na sznurkach - dwóch trzymało buszlat, a trzeci... Bo najwięcej tych pchel gniezdziło się w szwach, i tak gnietliśmy po prostu te pchły. To była okropna rzecz...

Nie było tam wieżyczek, drutów. Konwój wyprowadzał do pracy.Przeważnie pilnowali nas Azjaci.
Jedni pilnowali, a z kolei na terenie ziemlanek, w naszym miejscu zamieszkania był oryl wojskowy - codziennie apel! Tam byli wojskowi. Nawet pamiętam, bo to jeszcze z Kaługi, bardzo przyzwoity gość, taki sonnelirukior - Nazwisko pamiętam: lejtnant **Najdzionow**. Czego on nie robił, żeby te pchły skasować... Sami wymyśliliśmy nawet taki sposób - on przywiózł skądś żelazka na węgiel drzewny i to się prasowało przez te żelazka. Nic to nie pomagało.

Tam było naprawdę bardzo dużo ludzi takich, że nie starali się dokuczyć, w czym mogli - wręcz odwrotnie, starali się pomagać. Był też taki sybirak, też nazwisko jego pamiętam: starszy lejtnant **Pietrorowicz**, bardzo przyzwoity człowiek.

Pracował tam też *oper pełnomocny*, ale u niego również, jak widzieliśmy, pracowali przedstawiciele Śmierszu. Bo ja pominąłem ważną sprawę, że kilkakrotnie byłem wzywany na przesłuchania: gdzie jestem urodzony, jak trafiłem, godzinami to się ciągnęło. Z namowami do współpracy: ja się osobiście

nie zetknąłem. Było bardzo dużo uciecz. Oni mówili, że "wy nie jesteście więźniami, tylko jesteście przemienno izolirowani", czasowo internowani. To "czasowo" podkreślali.

Teraz będę troszeczkę o sobie mówił. Jednego razu poszedłem - a już widziałem, że dla mnie się dzieje źle, bardzo źle: sił ubywa. Napiłowanie drewna nie przedstawiało takiego problemu, nabraliśmy wprawy w rąbaniu, nawet takiej wprawy, że jak się puknęło w stojące drzewo, to wiedzieliśmy, czy jest w środku sprochniała, bo się łzej potem piłowało. Ale później zostawić to, przecież jeszcze był śnieg - takie drzewo upadło, w śniegu się schowało, trzeba było gałęzie podcinać...

W nocy bardzo często nas zrywano do ładowania wagonów, i nie było żadnych zniżek, że w nocy ładowaliśmy - przychodziła godzina świtu, z powrotem do lasu. Ciekawostka, jak ładowaliśmy - Rosjanie byli dziesiętnikami. Ładowanie wymaga strasznego wysiłku. Po czterech do wagonu, dwóch było w wagonie i dwóch podawało. Te wagony, "trumany", bardzo długie, pojemne, ile tego drewna trzeba było naszykować!... To ci Rosjanie, którzy odzdrowieli, nauczyli nas: "Wy od spodu róbcie takie kozły, a to na wierzch trzeba będzie dużo mniej drewna...". Dosłownie pół wagonu było załadowane, a pół puste! Od ścian były tylko takie kozły, żeby drewno nie przelatywało. My mówimy, że to będzie ktoś przecież rozładowywać. "Oni mają też normy, woła rozładować taki półpusty wagon...".

A od tych norm zależało przecież ich żywienie. Tam pieniądz nie miał znaczenia, tam ludzie pracowali wyłącznie za pajki chleba.

Ja zacząłem chorować. Mojemu koledze, już nieżyjący, też

Łodzianin, Gronowski Zygmunt /bo był też Gronowski z Warszawy - zbieżność, to samo nazwisko/ mówię, że ja już dzisiaj pracować nie będę. I tak w trakcie rozmawiania, nawet nie myśląc - jak ciągnęliśmy piłę, to ręce podłożyłem pod zęby. Specjalnie podłożyłem te ręce, miałem dosyć piłowania. Tam były takie wypadki, że jak drzewo leciało, to ktoś się podłożył...To zimą było, na mrozie ciało się otworzyło, nawet krew nie leci... Pójdę, mówię, do sanczasti /bo tam na miejscu był lekarz, Tatarka z pochodzenia/, pójdę do niej, to da mi zwolnienie.

Początkowo w Kaludze byli nasi lekarze, ale jakoś tam nie podchodzili Rosjanom, zwolnienia dawali... I to już naczelniczka sanczasti, była ta Rosjanka, Tatarka z pochodzenia, cholerne babsko jakieś.

Ona popatrzyła na rękę, obiała czymś i mówi:"Krochno", "specjalnie". Mnie ręka na drugi dzień bardzo boli, poszedłem, trochę zabandażowała, jakimiś szmatami obwiązała...

Poszedłem na stronę, wziąłem taki metrowy kawałek drzewa i rąbnąłem w stopę. Będzie coś poważniejszego, będę miał to zwolnienie i nie będę wychodził z ziemlanek. Bo już lepiej było z pchłami z ziemlankach niż w lesie...

Zabolało mnie, aż przysiadłem. Ale ruszam palcami /wówczas w tych walonkach chodziliśmy, z nazwania tylko walonki - strzępy poszyte, posztukowane/ i mogę swobodnie ruszać. Nie to. Drugi raz zaczynam, energiczniej trzaszczkę, nogę położyłem na drugiej nathawce, będzie twardsze. Jak uderzyłem, to wręcz odwrotnie, nic mnie nie zabolało. Kolega do mnie przyleciał /bo ja odszedłem trochę od tego miejsca, gdzie razem piłowaliśmy/ i mówi:"Co jest?". Zobaczył, już na

wierzch z walonku krew wyszła. Powiadomił tego, który dozorował okręg naszego wyrębu, podszedł, popatrzył:"Nie ma komu go prowadzić, niech czeka, aż wszyscy będą szli". No to ja już czekałem, bo ci, którzy nas tam pilnowali, oni sobie ogniska z tych naszych gałęzi palili.

Poszedłem do izolatki, były już specjalnie zrobione. Tłumaczyłem się, że szczebel się obsunął. I 5 dni przesiedziałem w izolatce, już nie szedłem lasu piłować. Nie mogłem po prostu. Rozchorowałem się, byłem już naprawdę bardzo osłabiony, i do tego wszystkiego przyplątała się dezynteria, czerwonka. To już była epidemia, bardzo dużo chorowało, początkowo jeszcze ci chorzy w swoich ziemlankach byli, potem wyznaczono specjalne.

Jak to wyglądało? Wchodzę do tej ziemlanki, to niesamowite zaduch. Pomimo, że był dostęp blisko, ludzie nie byli w stanie o własnych siłach wyjść...

Czerwonka zaczęła też nie oszczędzać Rosjan, tych, którzy nas pilnowali, współpracowali. Zatoczyło to już takie kręgi, że najciężej chorych, z silną temperaturą, odwieziono do *Nołchozniej bolnicy*. To niedaleko było, jakieś 5 kilometrów od naszego miejsca. Nasza miejscowość, o ile się nie mylę, nazywała się Średniaki, i stacja o tej nazwie była, i kolchoz.

Przywieziono nas do tej bolnicy. Poddano nas sanobrobotce, dostaliśmy czystą bieliznę. Na drugi dzień przyszła doktor, bardzo przyjemna kobieta, starsza. Widzieliśmy, że wiele osobistych starań włożyła, żeby pomóc nam. Pamiętam, jak stanęła kiedyś przy łóżku, nie moim, ale niedaleko mnie, i tak mówi do drugiej Rosjanki, też lekarki:

- *Smotri, smotri, ja dumału, sato eto mużiki, a eto mołodyje*

niebiata...

Komentarz zbyteczny.

W tym szpitalu leżałem około sześciu tygodni. Często słyszeliśmy urywki rozmów, jak ona się wykłócała o jakąś żywność dodatkową dla nas. Z kołchozu przywożono nieraz jakąś kaszę, ziemniaki, ale to już było jej wyłączną zasługą, bo było poza racjami, poza normami. Też pamiętam urywek rozmowy - okno było lekko uchylone, ona się tam wykłóca z jedną z Rosjanek wojskowych, i tamta mówi:

- Czewo tu sukinsynom nadaje /i nich kurasonki/ pajoki

A ten Kurasonki/ to był u nich najwyższy, bo przed odprawą na front dawano, jak oni postępowali z własnymi żołnierzami: podczas przygotowywania do wysłania na front raczej bardzo nikłe te racje żywnościowe były. Dopiero z chwilą wstąpienia do wagonów dostawiywał Kurasonki/ pajok, lepsze zaopatrzenie.

Ja się już lepiej czułem, zaczynałem trochę myśleć. Zaczynałem odkładać sucharki. Coś mi w głowie zaświtało - więcej ja już na ten lesopował nie powrócę... Obok mnie leżał właśnie ten nieżyjący już Gronowski, był Pełczyński Kazimierz, też nie żyje, gdzieś w obozach zginął, ale gdzie nie wiem, myśmy w Moskwie się rozstrzelili, każdego do innego etapu dali... Trochę przed tymi lekarzami udawaliśmy, ale człowiek siły nabrał, ta lekarka też była zadowolona.

Rozmawiam z tym Zygmuntem, mówię:"Wiesz, Zygmunt, ja suchary składam sobie, codziennie po jeden, po dwa", więcej naciskałem na zupki czy coś takiego, z jasła /była podwójna pościelka/ ściągnąłem jedną poszewkę i tam sobie te suchary odkładałem. Kładłem to sobie pod materac.

Tych sucharków coraz więcej. Zygmunt był starszy, był ode mnie o 4 lata, gimnazjum skończył w Łodzi, on raczej bardzo

ostrożny był:"Wiesz, nie wiem, jakie tu są szanse, jak my to przejdziemy...". Specjalnie planu nie miałem, o jednym tylko myślałem: żeby więcej nie wrócić do tego piłowania drewna.

To było w czerwcu 1945, już po zakończeniu wojny.

Do dolnicy / tego nie można było nazwać szpitalem, to jest coś pośredniego, na użytek tego kołchozu, było wielka ciasnota, starano się najwięcej łóżek włożyć, bo niestety od tego odcinka wyrębu lasu to przychodziło.../ przywożą trójkę oficerów sowieckich, którzy też zachorowali. A o co chodziło - o odzież. Przecież my byliśmy tam straszydłami, obdarwani niesamowicie, w strasznych łachach nas tam zawieziono, a później przy tej pracy przez całą zimę - co na nas tam zostało?

Ja tak sobie spojrzałem - jeden jest mojego wzrostu. No dobrze. Tam było pomieszczenie gospodarcze, tam powieszono ich mundury.To była duża kolnera, kopciorecka jakaś była, tam wisiały ich mundury, jeszcze więcej. Jeszcze tam kogoś przywieźli w nocy. Ci Rosjanie byli w innym pomieszczeniu. Zacząłem się interesować tym pomieszczeniem. Już w nocy tam sobie wpadłem, jeszcze nie miałem czym oświetlić, tylko 'na macanego', macałem spodnie, buty, wszystko. Pierwsze przymierzyłem buty - oni mieli tierzowe wzory, trochę skóry było, a reszta brezent jak gdyby, oni to kierza nazywali. Przymierzyłem buty, jedne, drugie, już miałem dobre. Szukaliśmy kompasu, ale nie było. Mapnik - jeden miał mapnik, niemiecką, bardzo dokładną mapę. Ale Boże, jak dokładna mapa! I już gdzie mogłem, do jakiego miejsca - do ubikacji chodziłem, to było najlepsze miejsce, rozłożyłem sobie i patrzyłem: cały ten teren był, gdzie byliśmy: Wiażma, Smoleńsk, to wszystko... On tych map miał kilka.

Ale jeszcze bałem się tę mapę teraz wziąć, później ten mapnik z powrotem zaniosłem. "Bo ja wiem? może on tam sobie będzie w torbie grzebał, zauważy brak tej mapy?" Ale już później zdecydowanie mówił"Zygmunt, ja już będę stąd wiał". On też. Zdecydował się. Później jeszcze Pełczyński zdecydował się, potem inni, tak że tego wieczoru wyszło nas stamtąd pięciu.

My byliśmy idealnie przygotowani - trzy mundury lepsze, dwa gorsze, przebraliśmy, co można było lepszego wziąć. I w nocy sobie poszliśmy.

Czy to był rozważny-nierozważny krok? Broni oni żadnej nie mieli. Wszyscy byliśmy w mundurach, tylko nas trzech miało te lepsze, i nawet jak przez jakąś miejscowość trzeba było przejść, to zawsze ci, którzy jak najlepiej wyglądali. Inna sprawa, że myśmy się jeszcze wtedy nie golili, tylko najstarszy z nas miał największe kłopoty, bo brodaty chodził. A wtedy takie rzeczy? To dzisiaj jest przyjęte w modzie, ale wtedy...

Pierwszą noc szliśmy bez przerwy, żeby jak najdalej, jak najdalej od tych Sredniak. Masyw leśny. Pierwszej nocy przyszliśmy nad rzekę, narwaliśmy trochę sitowia, rzekę przebrnęliśmy i dalej, dalej, dalej...Szliśmy, o ile się nie mylę, na Witebsk, Smoleńsk, ponad dwa tygodnie. Orszę ominęliśmy, na Wilno kierowaliśmy się. Bo u nas jeden Wilnianin był, Tomko jego nazwisko, nazwiska białego z nas pamiętam, on tutaj w Łodzi mieszka, wlechie ten, który miał najwięcej kłopotów z brodą. On był do nas starszy o 10 lat. Ale to już jest człowiek, który nie nadaje się - on później do partii wstąpił... Nazywa się Zając Edward. Niezbyt miłe go z kolegą wspominamy, bo mieliśmy takie kłopoty, chcieliśmy,

żeby był dla jednego i dla drugiego świadkiem, on się bał, nie chciał, żeby "lepiej go zostawmy"...Nie będę do niego wracał.

Jak myśmy wpadli w lesie, potworna burza, ulewa, szliśmy lasami, to były duże lasy, i Okę przeszliśmy... Przeszliśmy Smoleńsk, przeszliśmy Orszę, to było gdzieś między Orszą a... taka jest duża miejscowość...zastała nas burza. Przyszedł świt, piękny ranek, jak to po burzy...zaczęliśmy się rozbierać, żeby tę odzież posuszyć, porozwieszaliśmy na krzakach, goło chodzimy, tak ciepło się zrobiło...I już kartofle były w polu - nakopaliśmy na kołchozowych polach trochę kartofli, trzeba je upiec. Nie było innego gotowania, mieliśmy jakiś kociołek - bo skoro już się ktoś decyduje na ucieczkę, a ucieczka nie była taka, że liczyliśmy na kolej... Chciał trzymaliśmy się torów, były nawet miejscowości, gdzieśmy nawet trzeczcie sobie podjechali.

Wzięliśmy się za gotowanie - i tutaj wychodzi całe tyraliera kobiet! Wyszły z kołchozu po tym deszczu na grzyby. Jak one nas zobaczyły - w jedną stronę, ta koszyki z grzybami porzucały... A my co - nie możemy dalej już tu być, trzeba w odwrotnym kierunku.

Dalej tak szliśmy lasem, skrajem lasu jeszcze dzień, i wpakowaliśmy się w nocy, na wieczór. Weszliśmy w taki odcinek - ale to noc, żeby już spać w tym lesie - gdzie pracowały /jak się później dowiedzieliśmy/ karne bataliony. I rano /spaliśmy pod jodłą, bo to w igliwiu ciepło, człowiek zmęczony po tym wszystkim/ obudziły nas jakieś hałasy. Auta gdzieś przejeżdżały, szczekanie psów. Weszliśmy na taki odcinek, gdzie ich, rosyjskie, karne bataliony pilnowały las. Tam nas zatrzymano. Nie było wyjścia z tego.

Początkowo myśleli, że jesteśmy Niemcami. Bo tam Niemcy pracowali na tych terenach, bo były tereny zajęte przez Niemców, w czasie działań wojennych zniszczone i oni byli wykorzystywani do odbudowy miasteczek popalonych. O nas powiedzieli ci Ruscy z karnych batalionów, oni dali znać tym, którzy ich pilnowali z kolei. Mówili potem: "Czewo wy nie gowarzili, sato wy Polaki? Job waszu mać, my dumali, sato wy Niemcy..." Siedzielibyście, mówili /oni nas tam jeszcze trzymali przy ognisku/ my bysmy poszli, nas by odprowadzili, wy bystre sobie poszli dalej...

Teraz zawiadomiono, przyjechali z NKWD, zabrali nas. Przywieziono nas do więzienia w Orszy, posiedzieliśmy w Orszy i z Orszy - do Moskwy, do więzienia na Butyrkach. Całą piątkę. Posiedzieliśmy niezbyt długo w tym więzieniu, przyjechali do nas z Kaługi ci oficerowie - dwóch rosyjskich oficerów przyjechało, jeden to był taki sadysta! Ja nazwiska jego nie pamiętam, drugi to nawet wciąż tamtego strofował podczas wiezienia nas do Kaługi. Ten pierwszy miał taki nieproporcjonalnie wielki łeb. Mysmy jego nazywali "Kocł Łeb". On najbardziej był wściekły nie na to, że po polsku tak na niego wołamy, tylko jak z niemiecka: "Katze Kopf, Katze Kopf", strasznie się o to wściekał. Zabrali nas na lesopował, pokazali nas: "Widzicie, uciekali"... No i cóż - do Kaługi. Zabrali nas do Kaługi do koszar. Bo nie wszystkich na ten lesopował wzięli, często została jeszcze w tych koszarach w Kałudze. Czym oni się kierowali, to nie wiemy, ale większość, 75% to oni wywieźli na lesopował.

W Kałudze nas osądzili. Na pokazowym procesie, w koszarach, tak zwany Wojenny Trybunał nas sądził.

Jakie tu mogło być nawet tłumaczenie? Dosyć mieliśmy tego

wszystkiego - jedno; wiecie, coście z nami zrobili, nasze miejsce nie tutaj, jesteśmy obywatelami Polski - takie były tłumaczenia. Jak oni to odbierali... Jedna strona sądu do nas po rosyjsku, my po polsku /mimo, że już na tyle znaliśmy język, jedynie po polsku odpowiadaliśmy/. No i ja dostałem 15 lat, Zając bodajże 15, Gronowski 10... Czym się kierowali? Nie wiadomo. Limit taki był i trzeba było jakoś to podzielić? W wyroku - nawet nie mogę sobie teraz skojarzyć, czy było użyte "więzienia", czy tych "robotniczo-wychowawczych łagierej", jak oni to nazywali.

W Kałudze, w więzieniu, nad samą Oką - cholerne jakieś, potworne więzienie, bo dziś pamiętam, jak nam otworzono bramę i strażniczka była kobieta, wojskowa. Ona tak na nas popatrzyła:"Czemuś wy natworieli, ziebiorać...", co wy narobiliście? Raczej w formie współczującej to powiedziała. Do dziś pamiętam ten zgrzyt zamykanej bramy żelaznej, takie aż piątki przeszły!...

Niedługo byliśmy w więzieniu kałuskim, z powrotem nas na Butyrki wzięto. Już nie mieliśmy kontaktu z ch., wszystkich porozbijali po innych celach, żeby nie było razem dwóch po jednej sprawie. Tam jeszcze inni, bo więcej już uciekiek z Kaługi w tym czasie było. A nas na Butyrki i tam znowu bierą na obrobię. W jakim celu uciekaliście?... Byśmy naprawdę nie dorośli do tych spraw, o które nas posądzano: i szpiegostwo, i "jak wy, nie z terenów wileńskich, a do partyzantki się dostali". Powiedziałem: że pracowałem z Niemcami - Boże! ile ja za to miałem!

Takie szczegółowe d u s z e n i e. Im chodziło o przyznanie się. Siedzieliśmy w celach razem z Rosjanami, to już ci Rosjanie mówią:"Przyznajcie się, bo oni was tutaj

wykończą". Różni ludzie tam przesłuchiwali, byli i tacy, że jakoś tam... ale byli i tacy, że bili solidnie. Mnie kiedyś takim wałenkiem pookładał, tak to potocznie się nazywało, to był taki rękaw filcowy napełniony piaskiem czy czymś jeszcze. Śladów nie zostawiał, ale po takiej obróbce wałenkiem to człowiek trzy dni chodził i zwracał, nic nie jadł...

Ja w tym więzieniu butyrskim siedziałem gdzieś do marca. W marcu 1946 przygotowywali etap z tego więzienia, bo tego etapu ludzi mieszanych. Z Moskwy transportem do Kujbyszewa, na Bezimiankę, miejscowość Bezimianka. Duży obóz, przy obozie tym była część wydzielona, to była peresyłka, obóz przesyłkowy. Więźniowie nie pracowali, było dość względne wyżywienie /jak na ówczesne warunki względne, z głodem się człowiek nigdy nie rozstawał/. Chodziło o to, żeby ludzie trochę odpoczęli przed wysyłką dalej.

Fama poszła dalszy etap. W czerwcu chyba z Kujbyszewa /z Bezimianki właściwie, bo na obrzeżach Kujbyszewa był ten obóz/ - do Krasnojarska.

R E L A C J A

pana Mariana Dobrowolskiego

nagrana 19.03.91 w Łodzi przez Tomasza Gleba

Wersja zredagowana.

Część druga.

Znalazłem się w Krasnojarsku. To już był chyba koniec lipca. Żadnej odzieży, nic, jak człowiek wyglądał...Powiedz komuś, żeby uwierzył! Łachami okryty, nic więcej nie dawali. Przecież nigdzie z innymi, cywilnymi ludźmi nie mieliśmy żadnego kontaktu. Wszystko - czy wyjście z wagonu, czy co - w nocy. Oni tak robili, że nawet jak do Krasnojarska przyjechaliśmy na stację, to trzymali do nocy. Tam pod górą był *przesylnyj* punkt i więzienie. W Krasnojarsku siedzieliśmy w jednej celi z Rosjanami i oni mówią:"Pod tą górą są cmentarze. Są jeszcze mogiły waszych, powstańców...". To był duży cmentarz.

Do Norylska płynąłem ostatnim etapem przed kończącą się nawigacją na Jenisieju. Swój statek zapamiętałem:"Sergo Ordżenikidze".

O tym, jak taka podróż wyglądała tyle jest publikacji - zaoszczędzę tego. Jeszcze mi ślad pozostał - tu mi rękę bagnetem jeden Ruski przebił. Ręce po wodę ludzie wyciągali...

Płynęliśmy z Krasnojarska do Dudzinki barkami, które ciągnął "Sergo Ordżenikidze". Tylko przed *ujść-Jenisiejskimi* progami jeszcze dodatkowe holowniki podczepiali /grupami nas troszeczkę na powietrze wypuszczano/. Tam jest jakieś przełamanie Jenisieju, jakieś 700 kilometrów od Krasnojarska.

z wody stercza olbrzymie skały, a prąd jest tak mocny, że odmawiają posłuszeństwa silniki prowadzące statek. Obserwować tego nie mogliśmy. Nastąpiło jakieś uszkodzenie maszyn, były z nami kłopoty: czy nas trzymać na barkach, czy wysadzić na brzeg. Oni za pomocą lin przeciągają statki między tymi skałami, żeby wir wodny nie rzucił na skały i nie rozbił.

Po pięciu-sześciu dniach zaczęło się robić coraz chłodniej. Nawet jak wypuszczano troszeczkę na pokład dla zaczerpnięcia powietrza - ludzie z tego rezygnowali. Widać było białe brzegi, na brzegach masa lodu, ale chyba ubiegłorocznego?Jak przywieziono nas do Dudzinki i przełożono z barek na brzeg pierwsze trapy , to te trapy były z resztkami lodu, takie, jak - zapamiętałem z dzieciństwa - drewniane i oblodzone miejsca, gdzie przy pompowanych studniach podstawiało się wiadra.

Jak nas przyjmują - widzimy: są olbrzymie rozpalone ogniska na brzegu, słyszymy szczekanie sfory psów, masa konwojentów. Grupami, grupami, trzymają na brzegu, w kucki, ręce do tyłu, krótkie przemówienia, że "stąd uciekać nie próbujcie, bo i tak..." Po raz pierwszy się człowiek zetknął z tym:*"Szag w lewo, szag w prawo scitajetsia w pobiegu, wołogodzki konwoj szczutek nie ponimajet, striełajet biez priedupriezdienia"*. U nich "wołogodzki" konwój to taki najbardziej oddany sprawie. I Wołogdy? Czy oni mieli tam specjalny nabór tych ludzi? Skąd to się wzięło, to trudno mi w tej chwili powiedzieć.

Chodzili oficerowie między nami, oglądali stan, jaki wygląd zewnętrzny. Przypominam sobie takiego opasłego pułkownika: chodził:*"Chołodno, riebiata? Scias tieplej, tieplej budiet..."*. Myśleliśmy, że może jakąś odzież, jakieś

cietogrietyki przywiozą... Później, jak już wszystkich wyładowano z barek, podzielono na kolumny - po sto? po więcej? - otoczyli to wszystko, konwojenci psami poszczuli... Do baraków było ze 3 kilometry i myśmy tak biegiem, biegiem...No, bez ostatnich, bo ostatnich to jak w piosence - była tutaj kiedyś taka śpiewaczka, z takim obrzydzeniem tego słuchałem: że "ostatnich gryzą psy".

W barakach na kilka dni się zatrzymaliśmy. Również łaźnia, *sanobrabotka*, odwszenie... *Kipiatku* było pod dostatkiem, tym się człowiek rozgrzał i oszukiwał żołądek.

I - w wagony. To jeszcze była wąskotorówka. I jeszcze nie mówiono *gorod* Norylsk, tylko *posiołek* Norylsk. Ale do Norylska nas nie dowieziono, może na 30 kilometrów przed Norylskiem było coś z torami i pognali nas przez tundrę. Mówili nam konwojenci, że wielkie szczęście, że mieszko już zginęła...

I tak trafiliśmy do Norylska.

Pierwsze moje zetknięcie z Norylskiem: robiący wrażenie, srogi krajobraz. Szczyty gór były już śnieżne.

Trafiłem do 10 łag-otdielenia. W tym 10 łag-otdieleniu mieliśmy kilka dni wolniejszych na odpoczynek, nie, to była wówczas tak zwana "kwarantanna", dwa czy trzy tygodnie, dokładnie nie pamiętam. Osobne baraki, wydzielony teren, odgrodzony drutem od obozu. Wyżywienie w porównaniu z tym, co mieliśmy w drodze... Rajskie życie. Ale nie więcej jak dwa razy dziennie gorąca zupa, 200 gram kaszy i 650 gram chleba. To dla niepracujących jeszcze. Lekarze przychodzili na badania.

Między częścią roboczą, obozową Norylska a samym miastem

była duża brama, z tego względu, że z zony roboczej wywożono urobek z kopalń drogą okrężną na BOF. Sroe części roboczej zajmował ROR: *Rudnik Otkrytych Rabot*. 1500 metrów poniżej Miedwieżki było 15 **łag-otdielenie** /wówczas, kiedy ja trafiłem do Noryleska jeszcze go nie było/. Była góra Schmidta, tak zwana **Szmitycha**, i **góra Rudna**, naprzeciw siebie. Szmitycha była drążona, wszędzie były wyloty kopalń. Gdzie były wyloty, tam stali strelkowie, i ktokolwiek stąd wyszedł, strzelali bez uprzedzenia. Były tam drążone sztolnie aż do samego szczytu. Między górą Rudna i Szmitychą był wąwóz. U podnóża góry Rudnej - jeden obóz katorżny /numeru nie pamiętam/. Niedaleko katorżnego - **BOF**: *Bałszaja Obogatitielnaja Fabrika*. Tutaj bezpośrednio trafiał urobek z Rudnej.

Tam były trzy dominujące góry: Miedwieżka /*Miedwieżi Gorá*/, Góra Schmidta i Góra Miedna, naprzeciw siebie; w dole w wąwozie między nimi były usytuowane obozy.

Jaka była organizacja: z *rudników* wożono rudę na BOF. Był jeszcze **Rudnik 3-7**. Co za cholerna ruda tutaj była! Wiem tylko, że bardzo często tutaj ludzi zmieniano. Wersje różne: czy to miało coś wspólnego z rudą uranową? Często widziałem, jak samochody wyjeżdżały, i nawet w pojemnikach tę rudę wożono, w metalowych, takich jak kanistry wojskowe. Rudnika to wywożono. Ale nie do BOF-u, BOF to było coś osobnego.

Tutaj przechodziła droga do Noryleska, a z prawej strony, poniżej *rudnika* była **siódma żeń-zona**, duży obóz kobiecy. Blisko, niedaleko tej bramy. Jak się z Noryleska patrzyło, to wszystko było w górach.

Za różnego rodzaju przewinienia trafiano do obozu **Kawargon**. To był jeden z najcięższych obozów, jeden jedyny w

Norylsku karny obóz. Nie miał numeru, po prostu Kawargon. Miał bardzo złą sławę. Był na płaskowyżu, koło drogi na Dudzinkę. To był obóz najcięższego reżimu. Tu nie byli katorżanie, tu było, przepraszam za wyrażenie, sobóro-jobóro, najcięższy element przestępczy. Całą tę górę, tę płaskowyżę nazywano Kawargonem, może od tego obozu.

Kawargon - oni nie mówili, że to karny obóz, mówili: wychowawczy obóz. Zsyłali tam na krótszy okres, przejściowy. Po pewnym czasie wracali stamtąd więźniowie do innych obozów. Wówczas nie było u nich kary śmierci.

J.M. - Kamieniołomy były chyba koło Kawargonu.

M.D. - Tak, budulec był dostarczany z Kawargonu. Tam jakieś kruszywa były... Ci, którzy powracali z Kawargonu mówili: "Jak masz trafić na Kawargon - od razu ucinaj sobie łeb".

Za bramą zaczynało się miasto. Główna aleja Lenina, w prawo odchodziła droga na Wałok, Długie Jezioro, domy Gorstroju, plac Centralny, ulica Sewastopolska. Stadion był bliżej bramy, pomnik narciarza - nie wiem, kto to był, myśmy go nazywali Tyżwa, bo trzymał w ręku olbrzymie narty. Takiego psa miałem, jak chwoję woziłem, zawsze jak tego narciarza zobaczył, to strasznie na niego szczekał.

A tutaj był Pekin. Tam - kogo nie znali, to tam nie wchodź... To były bońki sklecone z jakichś opakowań, bo ludzi z obozu zwalniali, a nie dla wszystkich było lokum. Na kim im bardziej zależało, kto był bardziej przydatny dla kombinatu, to mu znajdowano miejsce w tych nowobudujących się domach.

W części mieszkalnej, z prawej strony były obozy. Zaraz za bramą była olbrzymia huta miedzi, za bramą czy przed?... Ale obozy jeszcze się znajdowały w tym terenie mieszkalnym. Tu

był obóz nr.25, to nie był katorżny obóz.

J.M. - Tam były zakłady nr.25 i był obóz. Katorżanie też tam byli. Tam nie wolno było nikomu...Coś tam robili, diabli wiedzą co.

M.D. - Tu było jezioro, nie miało nazwy. Tu trafiała woda z huty. Do tego jeziora raz wpadłem, lód załamał się pode mną. Ale tam była ciepła woda. Szedłem do obozu jak średniowieczny rycerz, zamarznięta wszystko. Wodę dla elektrowni dawało inne jezioro, też nie zamarzało, była tam ocieplona woda.

Elektrociepłownia /TEC/ była z tej strony, przed drogą na Walok. Po drugiej stronie TEC-u był *chlebozawod*, jedyna fabryka chleba. Do niej zależał cały Norylsk, nie było innych piekarni. Ta jedna fabryka zaopatrywała miasto w chleb.

Ta droga prowadziła na Walok. Tu gdzieś ciekła Narylka, z Narylki rury na wysokich kozłach, ponad 1 metr średnicy, zaopatrywały Norylsk w wodę. Tu była pompownia wody, stacja pomp. Jej urządzenia były po prostu pieszczone, zawsze pracowały tam brygady więźniów, ocieplano wszystko, żeby funkcjonowało bezbłędnie.

Odległość z Norylska do Walka była do 15 kilometrów. Niedaleko z lewej strony był Awioport i szerokie rozlewisko Narylki, skąd zasilała się rzeka Tawa /Tawa to "niezamarzająca"/. Dalej - góry.

Narylka wpadała do jeziora Piasino, skąd wypływała rzeka o tej samej nazwie. Tu kombinowaliśmy sobie z tym Borisem Dimitriewem, jak prysnąć bo teren w stronę Duczinki był za bardzo obstawiony, nie było szans.

A ja tę swoją chwoję zbierałem na prawym brzegu Narylki, bo na lewym - wszystko kamienie. Dopiero na prawym brzegu zaczynało się jakieś życie. Tu była lesotundra, skarłowaciałe

drzewa, różnego rodzaju drzewa iglaste. Tutaj zbierałem chwoję. Miałem wybudowany *bałok*. Musiałem się bardzo często przemieszczać dalej. Posługiwałem się łódką, miałem tę łódkę zaprzęgniętą w psy, bo pod prąd było ją bardzo ciężko prowadzić. Lewy brzeg był czysty, płaski, prawy urwisty, zadrzewiony. Na to, żeby psy pomagały musi być brzeg płaski.

Za Miedwieżką, na skraju Norylska był Burgorodok. Naczelnikiem tego *uczastka* był Polak Wysocki, imienia nie pamiętam. To było osiedle górników, ale już nie więźniów. Tutaj byli wolni, geologowie badający złoża. O co chodziło – czy kopalnia *Rorstroj* ma się rozbudowywać, czy dalej będą też takie bogate pokłady.

Ja tam czasami byłem, bo można było tam kupić czasami machorkę. A za machorkę można było dostać wszystko – była na wagę złota. Nie zawsze mi się to udawało, ale później, jak się już upodobniłem z odzieżą, to wypuszczałem się... I tam właśnie poznałem tego Polaka.

Podałem tu główne obozy, te w pobliżu *rudników*, miejsc wydobywania. Gdzie były duże zakłady, tam blisko były obozy.

Wszystkie obozy były strzeżone jednym olbrzymim kordonem – *otcieplieniem*, ale każdy obóz oddzielnie również był strzeżony.

O elektrowniach atomowych w Norylsku nie wiem.

Za Norylskiem budował się nowy Norylsk, jak oni go nazwali?... Zapomniałem. Budowano za *Mied-zawodem*, na południe. Oni byli sprytni, jak coś już było *zasekretczonego*, to ci ludzie nie mieli kontaktu z innymi. Tylko wiedzieliśmy, że za Norylskiem buduje się inne osiedla. Ale z czym związane? Chodziły wersje, że tam odkryli jakieś kopalnie rudy uranowej. Z tym miejscem nie było absolutnie żadnej

komunikacji.

Na górze Schmidta wszystkie sztolnie zaczynały się od strony wąwozu. Z drugiej strony raczej były wyloty. Ta góra była na wskroś przeorana. Cmentarz był u podnóża góry, z tej strony, gdzie były wyloty sztolni. Tam zsypywali ze sztolni to, co pozostało nie nadające się: węgiel odpadowy czy coś tam, *porodą* oni to nazywali. To był tak zwany *odkos*. Sztolniami na wskroś przebita góra i tymi sztolniami zsypywano to do podnóża. Na ten cmentarz.

J.M. - Na świeżych miejscach, jak przyszło lato, to to wszystko... Przecież płytko kopali, bo to wieczna zmarzlina. Musieli potem znowuż zakopywać.

M.D.- Zmarłych wywożono do kopalń. Wiem to z relacji tych, którzy to bliżej widzieli. Wożono saniami. To było u podnóża Góry Niedźwiedziej, to była kopalnia rudy numer 7, dokładnie tego nie pamiętam. Przechodziłem obok niej, jak do swojego obozu jeździłem z chwoją. W rozmowach z więźniami - bo tam przy drodze pracowali więźniowie przy odśnieżaniu, to była główna droga - oni mówili o tym. Jak oni to nazywali?... "Karawany" chyba, "karawany już przyszły z Miedwieżki"... Kto ich tam dalej zabierał? Wersje chodziły, że w wyrobisku, w sztolnie u podnóża Miedwieżki chowano ich - i to potem zrywano. We wnętrzu góry.

W obozie nr 10 byłem bodajże do roku 1949: nastąpiła selekcja i trafiłem na Miedwieżkę. Miedwieżka to był też nowowybudowany obóz, w 1949 postawili baraki. Później na Miedwieżce była następna selekcja - zostawiono tylko element *osobo-opasny dla Sowieckowo ustroja* /tak mówili/, wyjątkowo niebezpieczny. Mnie powiadomiono na Miedwieżce, że mam o 5 lat zmniejszony wyrok - i skierowano do 15 łag-otdielenia.

Numerowano: litera A - pierwszy tysiąc, i tak dalej, żeby nie budzić dużymi cyframi jakiegoś zainteresowania.

W 15 łag-otdieleniu wychodziłem na *minnyje kołotce*, taka oryginalna nazwa: studnie minowe. To był odcinek robót, gdzie kopano studnie. Na odcinku chyba 100 metrów drążono kilka sztolni, załadowywano amonitem i zrywano.

Kopano metodą prymitywną: wiadro, lina jakaś, jeden na dół, drugi u góry. A że to zimą, to lepiej na dole, bo cieplej, więc były zmiany.

Pracowałem w jednym *zaboju* razem z Borysem Dimitriewem. Zaprzyjaźniliśmy się - mam jego zdjęcie, listy, jeszcze niedawno list mi przysłał. Mój rówieśnik, miał wówczas też ze 20 lat. I jak człowiek odczuwa - bo w normalnych warunkach nie zdaje sobie z tego sprawy - widzisz z gór, że jakieś życie, widzisz tundrę zieloną, rzekę, widzisz, że jest jakieś inne życie... A tutaj, w tych kamieniach - bo na Miedwieżce same kamienie i mech, nic więcej! I codziennie głód, wykańczająca praca, że człowiek przychodził z pracy (to trudno dziś zrozumieć) i ani nie myślał o jakimś umyciu (świerzb i inne sprawy były na porządku dziennym), tylko rzucał się na te gołe deski, na nary i tak spał do następnego gongu.

Jak przyszły te wiosenne, troszkę cieplejsze dni, wyszło słońce, to o niczym innym się nie myślało, tylko przewodnią myślą było:"żeby chociaż te kilka dni...". I ten kolega Borys Dimitriew namawiał mnie:

- Chociaż te kilka dni, chociaż *niedieliu*, ale na swobodzie *budiem...A dalszie...*

Ja mówię:

- *Kuda my dajdiomś*

- Aaa, gdzieś - mówi - dojdziemy, a jak nie dojdziemy...A ty chuj, jeżeli ty się boisz... Bo ja bolszewik...

Namawiał mnie do ucieczki.Jemu nie chodziło o to, co będzie dalej, jakie będą konsekwencje, co będzie - tylko żeby się z tego obozu wyrwać.

- Bo - mówi - i tak tutaj zginiemy, i tak, to chociaż na *swobodu nieskolko dni pożiwiom.*

To był młody chłopak. Takie były rozmowy.

Okaleczanie się ludzi - była masa tak zwanych *samorubów*, sama nazwa mówi, co to znaczy. Przeciąć sobie stopę czy coś takiego to dla niektórych nic nie znaczyło, bo on wiedział, że już nie będzie wykorzystywany do jakiejś pełnowartościowej pracy gdzieś w kopalni, że będzie zatrudniony w obrębie obozu. Jak ten Pisarkewicz, co obciął sobie rękę.

To była ciężka praca, tyle lat przeszło, a jeszcze widać odbicia rąk od kilofa. To były odbicia kości. Jak sobie odbiłem ręce, to już nie mogłem robić. Odwożono mnie do Norylska do szpitala, to się strasznie paprało, miałem operację. Potem ta ręka dawała o sobie znać bardzo silnym bólem głowy. Kto wtedy wierzył w ból głowy? Śmieli się, jak się poszło do kogoś, że "ból głowy"...

Trafiłem do izolatora - przy każdym obozie był izolator - bo już sobie później przekalkulowałem: 250 gram chleba, dwa razy gorąca zupa, to wolę sobie w izolatorze siedzieć, niż mnie mają do roboty wyprowadzać. Z izolatora też wyprowadzali, ale przeważnie tylko oczyszczać i wyrównywać śnieg.

Naczelnikiem 10 *łag-otdielenia* był Suchanow. Później był w piętnastym, bardzo krótko, ale był. Może dlatego, że on miał za sobą dobre zaplecze organizacyjne, a ten 15 łagier zaczął

się dopiero organizować.

Naczelnicy obozów to byli ludzie, do których więźniowie nic specjalnie nie mieli. Innym naczelnikiem 10-go *Łag-otdielenja* - przypominam sobie, bo on mi przepustki stemplował - był pułkownik Serdajew.

Suchanow był bardzo krótko, w tym okresie organizacyjnym, bo później po Suchanowie naczelnikiem był - nazwisko pamiętam, bo bardzo przyzwoity człowiek - pułkownik Koczeroszkin. *Koczeroszka* to jest haczyk do węgla, pogrzebacz, to mi się tak zapamiętało. Niektóre nazwiska były dobrze znane, jak Panikowa...

J.M. - Zwieriewa...

M.D. - Zwieriewa faktycznie natura obdarzyła nazwiskiem, albo on się do nazwisko swojego upodobnił."Zwieriew" to znaczy zezwierzęcony, zwierzęcy...W swoim postępowaniu był bezwzględny, rygor wprowadzał.

W tym izolatorze - Boże, tam takie rzeczy przychodziły... Pamiętam jeszcze nazwisko naczelnika tego izolatora: Kawandykow. Przesłany z 10 łag-otdielenia, jeden z dowódców basmaczy. To byli Azjaci, którzy podejmowali powstania przeciw władzy sowieckiej. Kto z Rosjan dostał się pod opiekę Kawandykowa...On dobrał sobie ze swoich *ziemiaków* ekipę /zasadą przetrwania w obozie było tworzenie środowiskowych grup/. Kto dostał się pod opiekę Kawandykowa, to już drugi raz nie chciał tam wpaść do tego izolatora. Ale on był wyłącznie do Rosjan tak usposobiony.

Człowiek nie władał językiem rosyjskim tak biegle, a on jak przyjmował, to zaraz zapisywał: jak, kto...No i:"Polak?"."Polak". Odnosił się do mnie bardzo dobrze.Zawsze dostawałem w tym izolatorze pół kilo chleba więcej, czy

jedzenia, jak dzielili, sam mi później przynosił. Ja już wyczułem, że mam u niego taki... jak nie Ruski, to już w porządku. Tylko żeby nie Ruski.

Kawandykow już był starszy wiekiem, mógł mieć wtedy około 55 lat. I przede wszystkim to już byli ludzie inaczej odżywiani, dla nich z kuchni było wszystko.

Najbardziej izolatorów bali się ci, którzy mieli do czynienia z żywnością: kucharze i inni, bo wiedzieli: to praca przejściowa, prędzej czy później on i tak musi do izolatora trafić, za kradzież. Kradzież nie powodowaną jego chęcią: do niego przychodzili różni *błatnyje*, i on musiał coś dać, bo wiedział, że go przypilnują i mu gdzieś łeb urżną. On musiał z nimi żyć! Ale nie było nikogo takiego, kto by zagwarantował, że nie wpadnie w jakiś sposób. A z tego to leciał na ogólne roboty do *ROR-Stroju*, a tam to już wykończenie szybkie.

Jak wyglądało zaopatrzenie w żywność tych górnych obozów, to jest cała historia. Każdy obóz miał swoje własne magazyny i z tych centralnych magazynów dopiero się zaopatrywał w żywność.

W okresie niedostarczania chleba w obozach panował głód. Na Miedwieżkę najtrudniej było się dostać, bo to były strome zbocza, podjazdy. Wszystko było zawiane śniegiem, a jakie zaspy tam się śniegu tworzyły, to jest nie do pojęcia.

Sprawa wyżywienia - w tych obozach nie było stołówek. Na Miedwieżce chodzili *dniewalni* i przynosili jedzenie do baraków. Ale w tych latach, kiedy byłem na dziesiątym, zdarzało się, że jak szedł - nadbiegali, dostał nożem, rzucił chleb...I jak później szedł *dniewalny* po chleb, to z eskortą, specjalnie już były przygotowane w baraku kije, pałki...A

najbardziej to nie kije, pałki, bo o to było trudniej, tylko *aaburszczyki*, szpikulce od młotków *odbojnych*. Tym się posługiwano.

Dniewalni chodzili po jedzenie z obstawą. Musiał ktoś pilnować. Widziało się takie obrazki: niesie dniewalny zupę /to były beczki, przybite rączki i niosło się to jak w nosidłach/, i jakiś miał w ręku naczynie - nie patrzył, że się oparzył, moment, w to naczynie złapał ile złapał, gdzieś uciekł, skrył się. To łatwe było, bo baraki - czy w 15-tym, czy na Miedwieżce - były na zboczach gór budowane. Budowali tak, że jednym brzegiem barak dostawał do zbocza, a z drugiej strony wyrównywano nierówność jakimiś palami... Tam różne rzeczy się działy, kości znajdowali...

Norylsk znajduje się w kotlinie, ale jest otoczony wiatrołomami. Na potężnych wkopanych słupach były deskami obite płaszczyzny, pod odpowiednim kątem nachylenia. Bo wiedziano, z której strony najczęściej ten wiatr atakuje. Bywało tak, że Norylsk był dosłownie zasypany śniegiem. Przecinano tylko "kanały", z wierzchu nakładano coś i dalej śnieg zasypywał, a pod spodem, w "kanale" była możliwość poruszania się. Wiatrołomy ukierunkowywały wiatr w okresie purgi. To był chyba północny wiatr. Od strony Miedwieżki raczej ich nie było, bo był już masyw górski. Wiatrołomy miały za zadanie przeniesienie fali wiatru ze śniegiem. To były sprytne urządzenia, tak ze sobą poustawiane, że ochraniały Norylsk przed zasypaniem. Były dosyć wysokie, do 8 metrów wysokości -w miejscach niższych, gdzie były te korytarze śnieżne największe.

Tam były najróżniejsze nazwy tych wąwozów, po których

hulał wiatr. Przed podejściem do Miedwieżki były tak zwane "Wrota Śmierci". Kto się tam zimą oderwał...Były tam liny naciągane, a nawet było tak, że kiedy zaczynała atakować *purga* - tak, bo to był atak tej wściekłej zimy, tej *purgi* - to wysyłano *śniegochody*, pojazdy na gąsiennicach. Bo kiedy brygady były na miejscu pracy, zwłaszcza w Rorstroju, w *Rudniku Otkrytych Rabot* - nie było możliwości powrotu do obozu. Wysyłano *śniegochody*, żeby ludzie szli przed nimi i podawali kierowcom właściwą drogę, żeby się gdzieś nie stoczył z tej góry, bo były wąwozy i zaoczа. Przy tych pojazdach były porobione liny i pętelki, każdy trzymał za swoją pętlę i taki pojazd kierował się do obozu.

Śnieg był tak zbity, jak asfalt - on się nic nie uginał, tak go ubijał ten śnieg i mróz! Pojęcie śniegu - inny jest śnieg u nas i inny na Dalekiej Północy. U nas weźmiesz śnieg i możesz go lepić, bo ma dużą zawartość wilgoci. Tam są zmarźnięte drobiny lodu.

Kto się oderwał czy w czasie purgi zaginął - nie było możliwości odnalezienia go, bo śnieg go zasypywał. Żadnych śladów. Nikt go nie szukał. Normalną rzeczą było, że wiosną, jak śnieg stopniowo taje, to tu gdzieś noga, tu gdzieś ręka, tu kogoś znaleziono... No ale z drugiej strony taki zamarznięty też dostarcza komuś czegoś... Kiedyś siostra przygotowała dla gości "uszka", a ja sobie przypomniałem inne "uszki", jak mnie poczęstowali Rosjanie...Dopiero później powiedzieli, co to jest.

Ale to były lata do 1949 , później już... Norylsk dostarczał rudę, dostarczał bogactwo, jakie posiadał. Każdy z naczelników obozów miał zadania do wykonania. A Rosjanie potrafili karać swoich ludzi za niewykonanie. Właśnie kosztem

nieliczenia się także i z tymi, swoimi ludźmi osiągano takie wyniki, jakie zaplanowano na dany okres.

Tak się o izolator obijałem,ale już w piętnastym *łag-otdieleniu*, już po zmniejszeniu wyroku. A na Miedwieżce skoncentrowano więźniów z wyrokami wyłącznie po 25 lat, tu już była elita katorżan. Tak było od roku 1948, 1949.

Ale to już mi się bardziej opłaciło, bo były wizytacje naczelnika obozu Suchanowa. A gdzie wizytacje - oczywiście w izolatorze.

Podczas takiej inspekcji Suchanow każdego o coś pytał. Pierwsze - *stacja*, paragraf. A w moim paragrafie mieściło się i 58, i 193 /opuszczenie jednostki/. Mnie też pytał, i widocznie polecił doprowadzić mnie do siebie. Na drugi dzień jeden z obsługi izolatora mówi:"*Sabirajsia, pajdiom k naczalniku łag- -otdielenia*". Poszedłem, rozmowa potoczyła się: ty skąd...Kiedy powiedziałem: skąd, jak, co - on powiedział:

- *Ty pażałsta gawari do mienia po polski, ja wsio panimaju, no gawarit nie magu.*

Niektóre słowa musiałem mu powtarzać, ale większość rozumiał. Nawet jak przechodziłem na język rosyjski:

- *Niet, niet, gawari po polski.*

I jeszcze, jak już wychodziłem, mówi:

- *Sato my zdies rozgawariwali - nikomu....*

A dopiero za którymś razem powiedział:

- *Ja nie Suchanow, a Suchanowski.*

Ale to troszeczkę potrwało, nie przy pierwszej wizycie.

Po tej rozmowie wypuszczono mnie z izolatora, chodziłem po zonie, nie nie robiłem, powiedziałem *nartadczymowi*, że ja do

spiec-otdieła, do specjalnego zarządzenia. Co zacząłem robić – poszedłem do "kawecze"/*kulturalno-pospitacielnyj etaż*/. Przykrzyło mi się po prostu. A to barak ocieplony, pomieszczenie ciepłe. I znowuż nie pamiętam imienia – był tam taki Gutkow. Więzień, miał 58 paragraf. Na ścianach zobaczyłem tam jakieś malowidła i zacząłem niektóre poprawiać, niektóre poprawiłem, niektóre sam zrobiłem. Gutkowowi to się bardzo podobało, mówił:"*To z tiebia niepłochoj chudożnik*".

Potem wydano mi w magazynie ciepłą odzież, i to odzież nową: watowane spodnie, *ciełogrejkę* i tak zwany buszłat, to jest jeszcze większa kapota / bo też były *drewiennie* buszłaty, jak ktoś *pouczył w drewiennyj buszłat*, no to.../.

Przy każdym obozie byli "bezkonwojni" – ci, którym kończyły się wyroki. Norylsk potrzebował też pracy "niekontrolowanej" i jeżeli ktoś był nieszkodliwy... Oczywiście według ich oceny. Duże znaczenie miała tu opinia obozowa /pod kontrolą byli wszyscy /, no i osobiste zachowanie. I wyposażyli mnie – Boże! W obozie Rosjanie mówią:

– *Nipolitowicz, sato s tobój, domoj jedłoee?* Gdzie oni ciebie tak wystroili?".

Kilku tych bezkonwojnych i to, co niezbędne – i pojechałem. Popłynęliśmy nad Narylkę. Z Walka to już obóz załatwił jakąś łódkę na drugi brzeg, pomogli mi postawić moją chatkę, *bałok*. Nieduża chatka, i było nas trzech wytypowanych do tego. Jeden Rosjanin, nazwiska zapomniałem, i jeden Polak, nazwisko Okulicz.

Było w obozie jeszcze kilku Polaków – wiem, że był nauczyciel z Lidy...

Z obozu raz na miesiąc otrzymywałem tak zwany suchy pajok. Sami gotowaliśmy.

Każdy musiał dbać o tę swoją codzienność, czy narąbać drzewa, czy coś, to były trudne sprawy, od chaty trochę dalej odejdziesz i toniesz w śniegu puszystym, sypkim. To nie jest śnieg jak u nas lepki, ale przemrożony, drobne kryształki. Było ciężko...

Miesiąc się kończył - ja jechałem do obozu numer 15. Tam pobierałem prowiant, względnie coś z odzieży. Jak to w życiu obozowym - jak trochę ryby przywiozłem świeżej, to u magazyniera mogłem sobie wybrać, czego tylko potrzebowałem. U siebie miałem już przygotowany zapas gałązek chwoji. Zabierałem z obozu konia, sanie.

A konie małe, syberyjskie, włochate, to były bardzo silne, mocne konie. Kiedyś wiosną wiozłem chwoję i na Norylce zapadł się lód pode mną. Koń wpadł do wody, mnie udało się zeskoczyć z tych sań w bok, jakoś podświadomie. Jak ten koń zapadł się pod wodę, to tylko mu łeb zobaczyłem. Dość głęboka tam woda była, niedaleko brzegu. I on takimi jakimiś silnymi skokami /jak gdyby ktoś go od spodu wyrzucał/ z tej przerębli wyskoczył.

Szedłem pieszo do swojej chaty od mojego miejsca, głównej bazy, gdzie zbierałem chwoję. Miałem do Norylska do 20 kilometrów, w górę rzeki Norylki, skąd ta Norylka brała źródła, tak zwany Zakon. Tam była również zasilająca tę Norylkę rzeka Tała /czyli "niezamarzająca", widocznie były tam jakieś gorące źródła/. Stamtąd miałem do Norylska jakieś 20 kilometrów, a w Norylsku wszystkiego z 5 kilometrów, na Miedwieżkę. Jechałem, kiedy miałem już zebrany zapas chwoji, pobierałem żywność na następny miesiąc, tam dawano mi konia i

sanie - pobieralem je z konnej bazy, bo w Norylsku była taka Centralna Konna Baza - i przywoziłem do 15 *Łag-otdielenia* chwoję, a sam z powrotem - piechotą do siebie.

Raz zimą śni mi się sen. Zerwałem się podniecony, spocony. Mieszkał w tej chacie też wykładowca w Szkole Wojskowej w Moskwie, ten nauczyciel pyta mnie:"*Ipolitowicz, szto z wami, szto z wami?*" /on zawsze tak kurtuazyjnie, nigdy nie zwracał się przez "ty"; miał z nami bardzo dobrze, człowiek w wieku ponad 60 lat/. I ja mu opowiadam...

- Iwan Makarowicz, mówię, śni mi się jakieś trzęsienie ziemi.

Widzę przepaść. Stoję na jednej krawędzi tej przepaści, a na drugim - nasza chata, *bałok*. Szczelina powiększa się. A na oknie tej chaty widzę ten mój "koński paszport", jak oni nazywali, przepustkę. I mówię: przecież ja bez tej przepustki jestem niczym, nie mogę nawet do Norylska iść..... Tam człowiek bez *biumagi* był niczym, musiał na każde zawołanie, na każde zatrzymanie czymś się wylegitymować...

Chcę przeskoczyć tę szczelinę,dopóki jest to w granicach moich możliwości. Dokładnie mi się to wszystko śni. I w pewnym momencie ktoś mnie zatrzymuje, jak gdyby za ramię. Ja się oglądam - człowiek o jakimś patriarchalnym wyglądzie: starszy, siwiusieńki, z długą brodą. Ale mówi do mnie - co ciekawe po rosyjsku! - mówi:"*Nie prichaj, nie prichaj.Nie nada. Skoro w Polszu pojediesz...*".

No to Iwan Makarowicz mówi:"Czuj się jak w domu po takim śnie". I w krótkim czasie to się spełniło...

Dlatego też mówię, że co mi się śni, to się po pewnym czasie spełnia. I teraz też cały czas, cały czas wydaje mi się, że ja muszę być jeszcze raz w tym Norylsku!

Raz siedziało nas trzech: dwóch Rosjan, między innymi ten Wiktor Borisienkow. Malenka chatynka - to nie u mnie było w chacie, tylko u jednego Rosjanina, jakieś 6-7 kilometrów od nas. To bardzo blisko, tam inaczej liczyło się odległości. Chodziliśmy wtedy na białe lisy. Za skórkę można było dostać trochę żywności, trochę prochu. Mnie oficjalnie nie wolno było tego robić, ale załatwiał to Borisienkow.
Troszeczkę mieliśmy takiej *brągi*, bo otrzymywaliśmy w miejsce chleba żytnią mąkę i z tego robiliśmy zacier. To fermentowało i jak człowiek trochę tego wypił, to pijaniał.

Wówczas tej *brągi* dość sporo wypiliśmy. A w tej chacie zimą to zawsze taki półmrok był; czym się rozświetlało: takimi *kopciurkami* - trochę rybiego tłuszczu, wygniatanego z ryby, to tak kopciło...

I nie wiem, skąd to się we mnie wzięło... Nieraz taka chandra... Pomimo tego, że w towarzystwie siedziałem, wziąłem sobie dwururkę między nogi - oni między sobą rozmawiają, zajęci rozmową, trochę odurzeni tą *brągą*... Dwoma palcami sprawdziłem, czy są oba naboje, zamknąłem i tak bezmyślnie... tylko o jednym myślałem: gdzie lepiej podstawić lufę, żeby nie szyja wyleciało, ale czubkiem głowy. I tak sobie reguluję, reguluję..."To teraz najodpowiedniejsze miejsce".Pociągnąłem po spuście. I trudno w to uwierzyć, ale to jest fakt - usłyszałem trzask. Niewypał. Zdarzało się, wiele zdarzało się takich niewypałów. Drugi raz łamię tę fuzję, napiąłem i w sufit wypuściłem. I z tej samej fuzji - poleciało.

On do mnie zaraz podskoczył, bo nawet nie widział, że ja tam manipuluję."Tu ludzie siedzą, a on *budiet strielat'*". I ten moment taki... Nie wiem - jakaś taka chwilowa depresja,

cos... I to już było w roku 1952.

W tej strefie klimatycznej jeszcze nie ma niedźwiedzi polarnych. Był specjalny gatunek - niedźwiedzie miały białe podbrzusza. Czy to jakaś mieszanka była, nie wiem. Te niedźwiedzie często widziało się.

Ja nie polowałem na niedźwiedzie, tylko jeden raz, tego niedźwiedzia z Bierłogi, ale to była stara, wyniszczona niedźwiedzica. I ona stała wypchana w muzeum norylskim z tabliczką, że z tym i tym dniu ustrzelona na przedmieściach Norylska przez młodego komsomolca Wiktora Borisienkowa. A on tyle miał wspólnego... Później przeklinał:"Wszyscy się ze mnie teraz śmieją w Norylsku, żadna dziewczyna nie chce ze mną chodzić: "komsomolec"...". Tam też były ścierania się... że komsomolec...jeżeli ktoś był w partii... Przed tą swoją Gałką, z którą chodził, zrehabilitował się tym niedźwiedziem. A ja zawsze się podśmiewałem:"Zobaczysz, Gałka sama do ciebie będzie wybiegała, jak zobaczy, że ty ciągniesz sobie na *nartocakach /nartocaki* to takie płozy zrobione z nart/ niedźwiedzia." No i potem to się wszystko ziściło - ulicą Sewastopolską ciągnął "swojego" niedźwiedzia...

Bardzo ciekawe - kiedyś stado wielorybów wpłynęło w Jenisiej aż w okolice Dudzinki i przeszły Dudzinkę idąc pod prąd do źródeł Jenisieju. Ale za Dudzinką- i to ciekawostka - po brzegach Jenisieju są położone osiedla rybackie. I wówczas te osiedla wypełniły plan na kilka lat do przodu! Tak olbrzymie były połowy ryb ! Czy to było spowodowane wypłoszeniem tych ryb przez te buszujące wieloryby?... Wielorybów nie łowiono. Popłynęły gdzieś za Dudzinkę i

zawrociły.

Pamiętam to, radiowe komunikaty docierały nawet do Norylska: że kołchozy położone nad brzegami Jenisieju wypełniły plan na kilka lat do przodu...Że obfite były połowy nelby, maksuna, moczykora... To są olbrzymie okazy tych ryb. Szukałem nawet kiedyś w encyklopedii polskich odpowiedników tych ryb, ale nie znalazłem. Nelby myśmy łowili w Noryłce. Ryba nie drapieżna, ale dużych rozmiarów. Mnie przychodziło wyciągać taki okaz, do 40 kilogramów, duży już opór stawia, ciężko ją sieciami wyciągnąć.

Pewnej zimy w Dudzince musiała zostać na zimę cała flotylla statków rybackich - statek-baza i statki pomocnicze.

O rosomaku opowiadał mi jeden Rosjanin. Obok mnie mieszkał, zwolniony już, wiekowy człowiek. Z tundry się utrzymywał, z tego żył...Mówił:"No nie wiem co... zobaczyłem go..". Rosomak ma to do siebie, że nawet jak coś upoluje, czy renifera, czy coś - jak nie zeżre, to nie pozostawi tego, tylko rozćwiartuje i sobie pozawiesza na sęczkach *suchostojów*. Bo tam w tundrze bardzo dużo jest takich *suchostojów*. To jest drzewo martwe, ale tak wysuszone, że jak uderzysz w nie, to dzwoni jak stal! I co ciekawe - rosomak sobie tylko na tych *suchostojach* zawiesza! I ma taki zapas.

I on mi mówi:"Idę sobie kiedyś i widzę, że coś wisi. Jakąś żerdź wziąłem i zobaczyłem niedaleko tego rosomaka... I co mnie podkusiło, żeby strzelić?...". I później, jak on tak samotnie się włóczył po tundrze, i mówił:"...czy ognisko gdzieś rozpaliłem, czy coś - spać spokojnie nie mogłem, bo wiedziałem... i zimą również, to trwało kilka miesięcy...". Zawsze ten rosomak gdzieś za nim...Ten raniony, bo z innym on sobie tego nie kojarzył, tylko z tym ranionym.

Zorze polarne zaczynały się w zimie. Nasilenie - styczeń, luty, wtedy były najsilniejsze. Dla mnie osobiście to nic to dobrego nie zwiastowało - świadczyło, że idą silne mrozy. Ani się tym człowiek specjalnie nie zachwycał - jest zorza polarna, to trzeba wziąć sanki, paliwa trochę więcej przyciągnąć, oporządzić przerębel, skąd się wodę brało - to było bardzo ważne, bo głęboko lód przemarzał i były trudności z braniem wody.

Zawsze sobie kojarzyłem na 1 Maja, jak niesiono szturmówki z delikatnego materiału, przewiewne /nigdy nie dałem namówić się na pochód pierwszomajowy, miałem z tego powodu nieprzyjemności w pracy/ i dopiero jak widziałem te szturmówki - to jak zorza polarna, jakby delikatne materiały w delikatnych, pastelowych kolorach po niebie przeciągać. To niebo grało...

Nieraz zastanawiałem się - na północy nie było żadnych burz, żadnych wyładowań atmosferycznych.

Nie będziemy w to wnikać. To był susełeczek, taki, który suszy *walenki*. Nie miał lewej ręki /powyżej łokcia/. I jak przyjeżdżałem z chwoją, to nie chciałem w baraku spać, tylko u niego. Bo on miał pomieszczenie: olbrzymie dwie rury od pieca dochodzące, nad nimi te *walenki*, jak brygady przychodziły z pracy, to tam je suszono. A przy tym miał takie maleńkie pomieszczenie, gdzie mieszkał, taką kopciorę, jak nazywali. Tam u niego było łatwiej, bo ja już byłem inaczej ubrany, miałem wszystko porządniejsze i gdybym spał w ogólnym baraku, to bym się obudził goły. A u niego nic mi nie zginęło, zawsze jemu przywiozłem świeżej ryby czy czegoś... To było na 15-tym.

Kiedy on się rozbierał, ja zwróciłem uwagę, że on ma bryczesy polskie, tylko już były przez niego przerobione - te bufy pd kolana były już ścięte, tylko co mnie uderzyło: charakterystyczny krój, bo one były aż do kolana sznurowane, opinające miesień udowy. Patrzę, że to jest zielone. Dziś nawet jego nazwiska nie pamiętam, tam naprawdę nikt się nie pytał o nazwisko, tylko wszyscy do niego wołaliśmy "*dziadzia* Misza, *dziadzia* Misza", i ja też tak do niego się zwracałem, bo wówczas była różnica wieku, to był starszy człowiek.

- *Otkuda u tiebia eti brukie*

Wtedy on jakby tak... jego coś... nic nie odpowiedział, "*Nicziewo, ja imieju, ja kupił...*". Jakoś starał się mnie pozbyć. Ale później ja widzę, że i serdak u niego, taki bezrękawnik, ale też z munduru zrobiony. Jeszcze kieszenie na piersi, kieszeń tam była wielkim dobrodziejstwem, można było coś schować...

- A skąd ty masz to? - mówię.

I on tego wieczoru jakoś pozbywał się mnie, pozbywał. I kiedyś - przy drugim moim przyjeździe - ja jemu nie dawałem odporu:"Skąd, skąd to masz?...". Sądziłem, że on mi odpowie, że tam ktoś z Polaków, mnie to interesowało: wojskowy, w mundurze tutaj przyjechał... Wiedziałem, jak moja droga wyglądała: z Moskwy do Kujbyszewa, tam nas obdarli ze wszystkiego, nic, absolutnie nic nie mieliśmy z tych rzeczy, które mieliśmy podczas aresztowania...

W końcu ja przywiozłem - można wtedy było kupić w Norylsku - troszeczkę spirytusu. Wypiliśmy trochę, i znowuż przyszedł ten temat, ten temat wracał:

- *Skażitie pożałsta...*

- *Ty synok* - mówi - *pomałkiwaj i nie gawari...Puskajem eto*

między nami...

On był w tym czasie w Dudzince, pracował w łaźni. Był *zawiedującym*, jakby kierownikiem łaźni. I kiedyś, mówi, "przywieziono grupę Polaków, wszyscy byli mundurowi. I cóż - mnie polecono, żebym przygotował tę łaźnię na kilkaset osób. Z czym to się wiązało: więcej paliwa przygotować itd. I wszystkich moich pracowników - tam było kilku etatowych - odprawiono, a dano mi pomocników z tych konwojentów. A ja tylko jeden tam byłem.

Oni swoje odzież oddali do odwszenia i biorę się do tych swoich rutynowych czynności, żeby to pozawieszać na tych metalowych spinane koła. Ale oni, że nie, opuścimy tę czynność, *dawaj wsio w kaczygar*, to znaczy pod piec palić. Żwijałem to, mówi, chociaż dusza mnie... Boże, takie ładne rzeczy!.."

- *Ipolitowicz* - do mnie mówi - *ty znajesz, eto szest, nastajaszcza szest!.../* wełna/

To się nie chciało normalnie palić, tylko węgliło się, żarzyło, jak się zachowuje wełna. To mu komplikowało palenie pod piecem. Jeden, drugi, trzeci zwitek tej odzieży on tam wrzucił, później musiał to z powrotem wygrzebywać, wygarniać. To oni to wzięli i zaczęli przed kotłownią palić, polewali mazutem i palili. Przecież wiesz, mówi, dusza bolała, tyle dobra marnuje się, to sobie schowałem coś-niecoś...

Kiedy później przyprowadzili pierwszą grupę - grupami po 100 osób przyprowadzano - tę, której odzież palono /oni o tym nie wiedzieli, że ich odzież jest palona/, kiedy po wymyciu się, po *sanobrabotce* wydawano im odzież *posłiedniewo sorta*, to znaczy nie pierwszej świeżości: fufajki i inne rzeczy, poprzywożono to pęczkami na saniach, to śmród od tego, gdzieś

w magazynie leżało dłuższy czas. Oni tej odzieży nie chcieli przyjąć. Żądali swoich mundurów. I tak, mówi, jak byli rozebrani, tak pogoniono ich półbiegiem z powrotem na te barki i już więcej nikogo z barki nie przyprowadzono na *samobrobotkę*. Specjalnie, mówi, nie wiem, ale w zasięgu mojego wzroku to było - barki popłynęły w dół rzeki, w kierunku Diksona, to jest ta wyspa w ujściu Jenisieju do Morza Karskiego.

To wszystko, co on mógł mi powiedzieć.

On mnie zawsze prosił:"Nie mów, nie mów, bo wiesz, że mógłbym...".

Idę kiedyś ścieżką, wracam do swojej chaty, i idzie za mną kilku Rosjan. Nagle widzę - w śniegu noga sterczy czy ręka. Ktoś w białym kożuchu. Odwracam go na plecy - śpi, pijany do nieprzytomności. I wtedy ci Rosjanie podchodzą:"Aaa, to ten, *job jemu mat*, ty wiesz, co to za sukinsyn?!...Zostaw go, niech zdycha sukinsyn...". I jeden nogą mu jeszcze na twarz... To byli już ludzie o innej mentalności. Ja bym go pociągnął, kim by on nie był, pomógłbym mu. Też bym powiedział:"*Mat twoju job pierdejom*...", jak to oni mówili, ale pomogłbym. Oni nie. Oczywiście on tam zamarzł.

To był 1951 rok. Mieliśmy kontakt z tymi lotnikami na *wałkie*. Tam stało kilka samolotów, hydroplatowców, jak oni nazywali. Z lotnikami mieliśmy kontakty z tego tytułu, że miejsce, gdzie ja miałem pierwszą swoją chatę, na występie skalnym, gdzie wypływała rzeka Wałok /potok górski, ale potem już duża rzeka/, było bardzo dobre na stawienie sieci. I kontaktowaliśmy się z nimi - sieci od nich otrzymywaliśmy i

rzeczy sprawy, które były potrzebne.

Jednego razu oni przy przeglądzie sieci - ja byłem blisko brzegu - oni krzyczą:"Przyjdźcie do nas wieczorem, mamy polską kartinę 'Ciortowe uszczele'", to mi się tak zapamiętało, jak to przetłumaczyć? - "piekielna przełęcz" czy coś takiego. Fabuła filmu - o przemycaniu dzieł sztuki przez Karpaty, ale to już nieważne. I ja sobie pojechałem, pojechaliśmy we trójkę, a dwóch zostało w chacie.

Powróciliśmy, to zastaliśmy ich już... Obaj zginęli. To była jakaś ucieczka z obozu, uciekinierzy sądzili może, że to *sekretnyj post*...Wzięli żywność /trochę mieliśmy ryby suszonej/, trochę odzieży...Uciekali, na coś widocznie liczyli...

Błatnyje raczej nie organizowali ucieczek. Jeżeli ktoś organizował, to polityczni. Dla *błatnych* obóz to był drugi dom, świetnie się czuli, żyli kosztem innych, tak zwanych faszystów /inaczej wtedy nie nazywano więźniów politycznych/.

Cały Norylsk był jednym olbrzymim obozem.

Dlaczego Rosjanie mówią, że tundra *nieprechodimaja*? Latem błota, a zimą mróz - bez pomocy zginiesz. I *zagrad-odrady*, specjalne jednostki odcinające, *sekretne posty*, posterunki w miejscach, gdzie byłyby szanse ucieczki. Ludzie ci byli specjalnie premiowani. Za każdego pochwyconego więźnia, za dostarczoną - ja mówię fakty, z całą odpowiedzialnością - lewą dłoń byli premiowani. Tak jak w tej piosence: *wtom nieczayno, nieżdano, niegadano*..."niespodziewanie, byli zmęczeni, znaleźli coś, chcieli odpocząć", no i trafili na tą właśnie *zagrad-odradę*.

Oczywiście słyszałem o ucieczkach. Ale ucieczki jakie: dobrze zaopatrzeni w "konserwę", żywą, ludzką. Tak było.

Jeżeli złapano uciekinierów, to było obowiązkiem przywieźć ich na miejsce. Bo tu jest następna istotna sprawa - my tu troszkę sielankowo mówimy o tym. Jeżeli uciekinierów złapano głęboko w tundrze - trudne jest konwojowanie takich więźniów, on wie, co go czeka i jest gotów na wszystko - to ci z *zagrad-odradów* raczej nie chcieli ryzykować... Ale jeżeli kogoś złapano i była możliwość dowieźć go, to stawiano go podpartego czymś przed wejściem do obozu i on tam kilka dni z odpowiednią tabliczką stał i patrzcie, takie są losy każdego, kto podejmuje ucieczkę. I na Miedwieżce to nie należało do rzadkości, że tacy podparci stali.

Głośna była ucieczka tych lotników. Nie znam bliżej szczegółów, fama głosiła, że uciekli z jednego z obozów. Ja nawet Suchanowa kiedyś w rozmowie zapytałem, czy to jest prawda. On skinął głową: "*Uszli*". Wszyscy byli z tego zadowoleni, nawet ci wolni - że komuś się udało. O ile się nie mylę, to był rok 1951.

Uciekać na Dudzinkę i wzdłuż Jenisieju do Krasnojarska - mowy nie było. Do Morza Karskiego - też nie, bo Dikson był bardzo obstawiony. Dikson to była baza wojskowa.

O Diksonie opowiedzieli mi ci Rosjanie, co na Wołkie byli, lotnicy. Mówili, że byli na Diksonie. To była wyspa u ujścia Jenisieju. Na pewno tam coś było, bo o wojskowych *dietach* to oni niechętnie mówili.

Możliwości, żeby wzdłuż Jenisieju - czy w dół, czy w górę - żadnych. Na brzegu Jenisieju były przecież *płotyje prieski*: Podkamienna Tunguska, Niżna Tunguska. To były miejsca tak obstawione, że możliwości nie było najmniejszej. Kutrem też nie - jaki kapitan kutra czy statku zgodziłby się kogoś takiego wziąć?

Dudzinka była bardzo pilnowana, no a na Piasino też bardzo ciężko. No bo przejść przez tundrę... Dlaczego oni mówili, że tundra *nieprechodimaja*?

Ale jeśli ktoś się decydował na ucieczkę, to nie z myślą o tym, żeby uciec. Skąd to się brało...W takich luźnych rozmowach, bo były takie czasami... Każdy miał tego wszystkiego już powyżej uszu... Część po prostu chciała - "niech się dzieje co chce, dosyć mam tego"...

Ucieczki z obozów tylko tym Tungusom się udawały. Bo gdzieś skontaktowali się, swoi czekali, na reniferach gdzieś...

O czym jeszcze chciałem powiedzieć: u nich tam były granice w e w n ę t r z n e. Przecież dostanie się od Krasnojarska do Norylska to było już nie do przejścia. Do jednego z panów - on często w mojej chacie był, on był wykładowcą na Akademii Wojskowej w Leningradzie, dostał 25 lat, ale później go zwolniono, był na wolnej stopie - żona chciała przyjechać i nie mogła tej granicy wewnętrznej pokonać. Pokonanie jej takie same trudności nastręczało, co pokonanie tej zewnętrznej granicy.

Panoszyła się ta *sepana*, w języku obozowym *sepana*, a oni mówili ordynarniej: *seobło-jobło*. To ci zsuczeni *błatnyje*, którzy nie chcieli pracować, tylko żyli kosztem więźniów. Im władza chętnie powierzała funkcje, bo mieli według własnych zasad trzymać wszystko w ryzach. My byliśmy dla nich "faszyści". Nigdy nikt z paragrafu 58 politycznego nie miał żadnej funkcji.

Ale począwszy od roku 1951 więźniowie zaczęli się organizować. Tam było bardzo dużo więźniów-wojskowych, nawet

z wysokimi stopniami oficerskimi, i oni zaczęli to organizować. Zaczęło się podziemie.

Jeszcze przed śmiercią Stalina było bardzo dużo wyroków na szpicli. *Pożarnicy* to byli szpicle i donosiciele. Niektórzy z tych pożarników byli skazywani przez sądy obozowe, nawet na karę śmierci, i byli powieszeni. Tak było w obozie piętnastym i w obozie na Miedwieżce.

Wówczas już opanowano ten terror tak zwanej *sapany* - *błatnych* i innych. Już niewiele mieli do powiedzenia. Przecież ci, którzy najciężej pracowali, ci *czarnorobocije*, którzy ciężko na swój kawałek chleba pracowali - nie zawsze mogli z tego skorzystać, bo byli terroryzowani przez tych złodziei i innych. Nawet w kopalniach było tak, że tamci sobie siedzieli, a inni musieli na nich pracować. A ogólny wysiłek brygady się liczył - czy brygada wykonała plan.

I już przed śmiercią Stalina to zjawisko całkowicie było wyeliminowane. Przestali istnieć ci *błatnyje*. Gdziekolwiek były jeszcze takie wypadki - bardzo szybko ginęli i nikt nie dociekał, *naczalstwo* obozowe też nie, bo oni też wiedzieli, że to jest plaga, im to nawet było na rękę.

Błatnyje tworzyli swój odrębny świat. Jaki dziwny... Jakich przedziwnych zwrotów używali... Dwóch błatnych jak rozmawiało, to trudno ich było zrozumieć.

Pietrow Cynga to był dwukrotny bohater Związku Radzieckiego. Jak przyjeżdżałem do obozu, to Cynga zwracał się do mnie, żeby mu przywieźć herbaty. Wówczas w Norylsku można było coś niecoś kupić w sklepach, bo trzeba przyznać, że w okresie nawigacji sklepy były tam dobrze zaopatrzone. Cokolwiek było z nie psujących się produktów, to ci norylczanie robili zapasy. Jeszcze u nas niedawno żona

oddawała, kto miał kury, bo ja lubiłem chleb suszyć...

On prosił mnie tylko o herbatę, żeby jemu dostarczać herbaty. A oni pili tak zwany *cayfir*. Tyle herbaty nasypał, ile naczynie mieściło, zalał wrzątkiem i ten narkotyk oni pili. *Cayfir* był tak ogólnie przyjęty.

Wymówić mu się też nie można było, bo cholera wie... oni nad wszystkim tam mieli pieczę... W takim obozie mieścił się na przykład cech krawiecki, gdzie reperowali odzież, walonki podszywali. Nieraz człowiekowi było coś potrzebne - on wszystko przyniósł, załatwił. Ale jeżeli on czegoś potrzebował, to też trzeba było się z tego wywiązać.

Najgorszym było dla mnie - ale i na to szedłem - jak prosili, żeby spirytus przywiózł.

Tego **Pietrowa Cyngę** zabito później, i to zabił go jakiś zwykły *robotiaga*, zwykły robotnik z kopalni, miał widocznie z nim na pieńku, nie spodziewał się, on jego uderzył zaostrzonym... To było komentowane - że jak Cynga sobie pozwolił... zwykły *robotiaga* i zabił. No, czasami tak bywa - ocean przepłyniesz, a w kałuży... Z takimi sławami sobie radził, a tutaj...

Cynga nie należał do organizacji - to był już raczej inny element, inny świat. To był świat przestępczy. I ci polityczni też nie chcieli mieć z nim nic wspólnego.

Był też **Cygan**, ja jego nazwisko znam: **Kostia Krasnopiorow**. Był takiej solidnej budowy ciała, *bitnoj*, wkoło siebie też miał odpowiednią falangę. On był ostatnio w 15 *łag-otdielenitu*. Ale on był z pochodzenia Cyganem, to nie był pseudonim, *kliczka*. Zastrzelili tego Cygana, i to krótko przed buntem. Pamiętam, bo to szerokim echem się odbiło. Zastrzelił go wartownik, i to też było komentowane w ten

sposób, że najpierw miał na niego ten wartownik... Czasami między tymi wartownikami a pracującymi też wytwarzały się utarczki słowne czy coś... I on już na niego "miał oko". No i kiedyś ten Cygan gdzieś za blisko podszedł - ale jeszcze był w tej chronionej strefie - i ten do niego palnął, pojechał po nim w automatu, przełożył później *zapretkę*... Potem niektórzy zeznawali, bo w obozach byli sędziowie śledczy, tzw. *oper upełnomocny*. Wzywano niektórych:"jak tam było", i mówili, zeznawali. Wartownikowi nic nie było, najwyżej gdzieś, żeby nie robiono, to przesunięto go do innego obozu i skończyło się, wszystko było w porządku.

To było w roku 1950-1951. Zatrudniono grupę Niemców do budowy czegoś na TEC-u. Ale oni powiedzieli, że zrobią to w zamian za zwolnienie. Niewiele o tej sprawie wiem, tylko z wersji, jakie krążyły. Obiecano im to zwolnienie i nie dotrzymano słowa. I coś z tych obiektów, które oni budowali, zostało przez nich zniszczone. Mówiono o tych Niemcach, że uprzedzili przez radiowęzeł, żeby ludzie opuścili zagrożone miejsca. Podobno były jakieś wybuchy, zniszczyli to, co zbudowali.Co się z nimi stało - nie wiadomo. Trudno powiedzieć, czy zostali wywiezieni z Norylska, czy zostali. To wszystko było w ścisłej tajemnicy, jeżeli coś się działo, to było w tajemnicy. Ale ludzie... ktoś zawsze widział i gdzieś jedni drugim przekazali...

Słyszałem o tym, że zbuntowali się więźniowie estońscy wojskowi. Nie wiem, czy oni byli w piątym *łag-otdielenii*, czy gdzie... Spotkałem się na 15 *łag-otdielenii* - to chyba był 1951 rok albo 1952 - że do tego 15 *łag-otdielenia* trafiła grupa Estończyków. Oni wyróżniali się i ubiorem, i jakoś tak... Mieli kontakty, paczki jakieś otrzymywali. Gdzieś oni

byli w jednym obozie i potem ich wszystkich z tego obozu rozprowadzono po innych obozach, po kilkanaście osób. Bo wiem, że ci Estończycy do nas trafili w roku 1951 albo 1952. Może około 50 osób, nie więcej. Na skutek czego ich rozprowadzono - nie wiem. Oni znacznie wcześniej byli w Norylsku. To było środowisko ścisłe, do nich trudno było... Tam każdy był bardzo podejrzliwy, nikt za wylewny nie był, nikt o sobie za dużo nie mówił.

Kiedy ogłoszono śmierć Stalina - to było przed ósmym marca, bo były komunikaty, żeby nie świętować 8 Marca, bo wie pan - każda data była dobrą okazją, żeby sobie... Rosjanie nie przepuszczali, pili... Ale 8 Marca tak świętowali, że chyba od okresu rewolucji, od okresu, jak powstało to święto to tak nie świętowali! - pod pretekstem Dnia Kobiet. I wszędzie słyszało się śpiewy, specjalnie jeździły milicyjne karetki - gdzie za wesoło było, to zwijano tych gości i zabierano.

Ja idę ulicą i idzie dziewczyna, mogła mieć 14-15 lat i płacze, płacze!... I idzie taka grupka dwóch, trzech czy czterech podpitych:"*Gdzie ty... suka taka riedajesz?! Radowatsa nada! Jebat jewo, takowo....*". Takie były reakcje ludzi. Wierzyli, że coś się zmieni, że coś będzie...

To było wśród wolnych, nie w obozach - bo w obozach była pewnie cicha, utajona nadzieja, że coś się zmieni.

Zastanawiałem się nad tym długo, ale nie wiem, w którym obozie - zaczęło się od tego, że zastrzelono kilku więźniów; czy to odmowa jakaś była, czy w trakcie prowadzenie? I to było zaczątkiem buntu. To trwało około dwóch miesięcy, może

więcej.

Ja bardzo często przyjeżdżałem na Walok, bo tam był sklepik. Można tam było coś kupić, bo mieliśmy pieniążki. Rosjanie nie obchodzą świąt Bożego Narodzenia, ale obchodzą Nowy Rok. I ja sobie przygotowałem choinki. Rozchwytywane były, jak się je do Norylska przywiozło! Sporo tych pieniążków miałem, mogłem sobie już coś kupić. A te sklepy były tam nawet niezle zaopatrzone, bo tylko dla żyjących na wolności. Coś już wówczas można było kupić, nie zawsze, ale już chleb można było kupić /Boże, to był jakiś rarytas, że ja już sobie mogłem do tego, co dostawałem, chleb dokupić/. Wówczas już, będąc w tej tundrze, nie cierpiałem już takiego głodu, bo: ryby... Mnóstwo ryb, człowiek się nawet nieraz zastanawiał, że utworzyliby jakieś brygady rybaków, nawet pod kontrolą - jakim to byłoby dobrodziejstwem dla obozu.... Jaką to byłoby pomocą dla obozowiczów... Ale widocznie nikomu na tym nie zależało, żeby tych ludzi dokarmić, ale żeby ich wyeksploatować.

Przywiezione worki chwoji były przeglądane przez strażników. Ale oni też zbyt dobrego zaprowiantowania nie mieli, oni też chętnie i mili widzieli, jak im się coś przywiozło, a na resztę - nawet jak coś zobaczyli, to udawali, że nie widzą...

Jakoś musiałem sobie radzić, musiałem wykorzystać to, że jestem tym półwolnym; jeszcze nie jestem całkowicie wolny, ale mam możliwość poruszania się.

Ja jechałem z Walka drogą na przedmieścia Norylska. Na przedmieściach, tam., gdzie kończyła się droga na Walok, był tak zwany *chlebozawod* - jedna olbrzymia piekarnia, fabryka chleba. I ja tylko dojechałem do tego *chlebozawodu* - dalej

już mnie straże NKWD nie przepuściły. Już na tych przejściach - tylko na przejściach przy drogach, bo drogi na Wałok ominąć nie można było, bo dalej były jakieś mokradła, trudne do przejścia, zimą tak, ale latem trzeba było trzymać się drogi - stały posterunki. Zawracają. Ja nie mam prowiantu, a przecież muszę czymś się żywić. No to wzięli mnie na ten *chlebozawod* i mówią:"*Bierz*... Bierz worek chleba i zawracaj z powrotem. Masz chleb i wodę - chleb w worku, a wodę w Norylce - to przeżyjesz". Rozmowa krótka, tam nikt nie wnikał w to, kto jesteś, jak, co. Musiałem mieć z sobą swój dokument, przepustkę, i tam było wyszczególnione:"do zbierania chwoji". To było moim glejtem.

I musiałem wrócić z powrotem.

Wszędzie były już posterunki, wszędzie pilnowali, żeby nie było jakichś kontaktów. Ale chorągwie były wywieszane czarne, chorągwie były.

W czasie buntu brygady z obozów górnych pracowały w *Górstroju*. Ci zbuntowani nie chcieli powrócić do obozów, tylko byli na miejscach pracy. Miejsca pracy też były otoczone drutami, bardzo pilnowane. Ich chcieli za wszelką cenę doprowadzić do obozu. Oni na to nie pozwolili. Było tam odpowiednie uzbrojenie - posługiwali się przecież narzędziami pracy: siekiery, łomy i tak dalej. A jedną z najwygodniejszej broni dla więźniów były tak zwane *zaburniki*. To są końcówki od młotków pneumatycznych, swidry. One były najrożniejszej długości - i dwóch metrów, i dłuższe, i krótsze.

Jak przyjechałem do *Wałka*, to już mi mówiono:"W Norylsku bunt, bunt". Już ci wolni mówili, że bunty... Była propaganda: ogłaszane przez radio komunikaty, żeby czuwali

wolni! To pamiętam: żeby czuwali wolni, bo jeżeli z obozu wyrwą się *zaklucani*...Oni starali się z tych ludzi zrobić bestie! Wmówić wszystkim, że to są bestie.

Przecież nieraz obserwowało się na ulicy takie obrazki: prowadzą kolumnę więźniów, i jak szli chłopcy /- dziecianrnia, bo starsi to już wiedzieli/, to mówili, że wrogowie ludu albo krótko - faszyści.

Owszem, byli kryminaliści, ale była masa ludzi - Boże! jacy to ludzie byli wspaniali! przecież ilu było oficerów, wyższych oficerów...

J.M. - Inteligencja była. Przecież od procesu Jagody jeszcze siedzieli, u mnie było takich trzech czy czterech. Mieli wyroki po 25 lat.

M.D. - Jeszcze w 15 *łagotdielentu* spotykałem się ze Żdanowem. On często się do mnie zwracał. To był człowiek naprawdę oddany sprawie, jeden z głównych ze sztabu buntu. Jeszcze przed buntem, kiedy przyjeżdżałem z chwoją, to on się ze mną kontaktował. Początkowo sprawy błahe, starał się mnie wybadać: czy mam możliwość herbaty jemu przywieźć, bo to były rarytasy tam. Ja mu często przywoziłem. I później po jednej z takich rozmów on mówi, że jeżeli ja gdzieś tam będę i będą brygady pracowały w *Gorstroju*, to on przygotował odpowiednie...

- Postaraj się - mówi - jak będziesz gdzieś przechodzić czy przejeżdżać, podrzucić to...

To były jakieś pisemka. Już coś się przygotowywało. I ja często to robiłem. Co było w tych pisemkach - tego już nie kontrolowałem. Mówił mi:

- To są bardzo ważne rzeczy i staraj się, żeby nie wpadły w niepowołane ręce. Jeżeli gdzieś będziesz, to podrzuć to...

Bo tam nie było takich kontaktów między obozami.

I tak było kilka razy, nabrał do mnie zaufania, pytał mnie się, czy to zostało zrobione. Zdawałem sobie sprawę, jakie to ma znaczenie. Kiedyś mi powiedział:

- To są sprawy bardzo ważne, kiedyś będziemy wszyscy z tego korzystać".

Nie miałem tego podrzucać w jakieś konkretne miejsce. Sądziłem, że to były jakieś ogólne powiadomienia - podrzucałem tam, gdzie pracowały brygady. Było mi to bardzo łatwo zrobić, bo wzdłuż całej tej 12-14 kilometrowej trasy na Wałbk pracowała bez przerwy brygada przy brygadzie... Odśnieżanie, ocieplanie rur, wszelkie uszkodzenia...

- Gdzie możesz, to.... Postaraj się robić tak, żeby to było w zasięgu wzroku, a w wypadku czego, to nie ty...

To było niewielkie, jakiś karteluszek zapisany, odpowiednio obciążony...

Żdanów był w stopniu pułkownika. W obozach życie środowiskowe, ci oficerowie starali się jakoś między sobą trzymać, tworzyć grupy, wspomagali się... I on tam cieszył się bardzo dużym szacunkiem.

Obozy były obłożone planem i za niewykonanie planu naczelnik obozu mógł mieć nieprzyjemności. A naczelnikiem tego obozu był bardzo przyjemny gość, Krokodinow chyba jego nazwisko. On najpierw był naczelnikiem 10 łag-ołotelenia, przyszedł na 15-te. U nich była bez przerwy rotacja, zmiana. Żeby ktoś na jednym stanowisku za długo nie siedział. I Żdanow cieszył się takim szacunkiem wśród więźniów, że gdy były jakieś zagrożenia,cokolwiek, jakieś niewykonanie planu - że to groziło temu naczelnikowi obozu jakimiś przykrymi konsekwencjami - to on był wzywany, żeby przez swój

autorytet, przez wpływ na brygadzistów, żeby ten plan podciągnąć. Bardzo, bardzo znana postać.

On uczestniczył w buncie. Co się później z nim działo, tego już nie wiem. Bo po uśmierzeniu buntu - oni tym ludziom nie popuścili, ich wszystkich potem wyłapywano... On był w tej grupie, która przemawiała w czasie buntu.

To, co mówiono w obozie, nie mogło być przeniesione na zewnątrz. Obowiązywało: gdziekolwiek ktoś "parę puścił", sprawiedliwość go dosięgła. Tam już później się sądy w obozach potworzyły. Potworzyły się podziemne organizacje. Jeszcze przed buntem. Zaczęto się organizować znacznie wcześniej przed buntem, żeby się ustrzec przed tymi różnymi...przed wewnętrznym terrorem świata przestępczego. Bo to był terror świata przestępczego. Spokojnie pan nie zasnął, spokojnie pan nie zjadł... A władza obozowa nie miała na to wpływu, nie miała znaczenia... Zaczęto się organizować i zlikwidowano to, bardzo szybko. W miarę jedzenia rośnie apetyt - "skoro uporaliśmy się z tym, to może i z innymi sprawami?..". I później wybuchł bunt.

Ale ja nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, czy to się zaczęło przed śmiercią Stalina, czy po. To nie było ściśle ze sobą związane. Jeszcze, jakby powiedzieć - "niedojrzałe" bunty były w obozach przed śmiercią Stalina. - Ludzie nie chcieli do pracy wychodzić. Bunt nie był spowodowany śmiercią Stalina, ale brakiem odzieży, wiecznie człowiek głodny był... Czy ktoś sobie może pomyśleć, jak to można być wiecznie głodnym? Człowiek się robi na wszystko obojętny, jest mu wszystko obojętne...

Konwój - skąd oni dobierali tych ludzi?... Był tak bezwzględny, do lat 50-tych. Później przysyłano młodych

konwojentów, oni bardziej byli... więcej ludzkich odruchów. Bo ci pierwsi, do roku 50-tego - myśmy się zastanawiali, gdzie ich hodują, tak bezwzględni byli. Było wówczas przyjęte: za zastrzelenie więźnia 3 dni wolnego dostawał. Powody... Robili takie rzeczy: potrzebował te 3 dni na swój sposób wykorzystać - zastrzelił, przesunął tę wireczkę, tę zapret-zonę, żeby dać uzasadnienie, na podstawie czego on go zastrzelił.

Już po roku 1950 niewiele było takich przypadków. Później nieraz byłem świadkiem takich rzeczy, że powraca brygada z pracy, idą przez Norylsk w czasie purgi, a w środku pomagają tym wartownikom, prowadzą ich w środku. Ci młodzi chłopcy niezwyczajeni... Jeden mi powiedział:"Wam się skończy wyrok, a my - nie wiemy". Wisi mu na szyi pepeszka, prowadzą go więźniowie... Stąd też taki był stosunek tych konwojentów do więźniów.

Podczas buntu NKWD zaczęło z obozów wyciągać obcokrajowców: Węgrów, Czechów, Niemców było bardzo dużo. Wyznaczono im miejsce w Gostroju, tam był prowizoryczny obóz. W tym czasie ja byłem poza obrębem zony, na wolce. Ci więźniowie zbuntowani nie pozwolili tym obcokrajowcom na wychodzenie z obozów, bo uważali, że jak będą ich trzymać jako zakładników, to nie będzie może jakichś mordów po buncie. Spodziewali się, że może jakieś ostrzelanie baraków będzie? Że skoro oni będą mieć tych ludzi jako zakładników, to będą oni dla nich jakąś tarczą.

Bunt był wcześniej przygotowany, wiem na podstawie rozmów. Ja często z tym Żdanowem rozmawiałem i z innymi, jeden bardzo znany był, nie mogę sobie jego przypomnieć... To był Gruzin...Gruzini w hierarchii obozowej umieli siebie prowadzić, dużo znaczyli, dość wysoko byli w tej hierarchii.

Bunt nie był zaskoczeniem. Przed buntem jak najbardziej przewidywałem, że coś takiego może nastąpić. Już były niepokoje, masa drobnych incydentów: odmowy pracy, jak gdyby strajki... Gdzieś brygady odmawiały pracy w kopalniach, trzymano ich po kilka dni w sztolniach, na wytrzymałość - bez wyżywienia... Wystąpienia te nie powodowały akcji NKWD na większą skalę, ale w celu zastraszenia zawsze ktoś życiem zapłacił, z tym się nie liczono. Pięć, sześć, dziesięć osób zginęło, żeby pokazać, jaką cenę się za to płaci.

Wiem, że bardzo dobrze pracowały organizacje. To podpolie, podziemie obozowe pracowało dobrze. To było ściśle zakonspirowane. Przecież każdy sobie zdawał sprawę, że tam nie było jakichś sądów, że pod najmniejszym pretekstem tracił życie i nie ma... I nikt nie wnikał w to, kto to zrobił i w jakim celu...

Opozycja wewnętrzna organizowała się wcześniej.

Japończycy chętnie nawiązywali kontakty, bo byli bardzo dobrze zorganizowani, ale nie z Rosjanami. Jeżeli wiedzieli, że ktoś jest Rosjaninem...

Oni tak wszędzie byli, robili niezbędne rzeczy w obozie, jakieś lekkie buty, coś zawsze zorganizowali, szyli. Ja też byłem z jednym Japończykiem zaprzyjaźniony. Ja przyjeżdżałem do tego obozu - on był chory, nie opuszczał baraku, nie mógł dostać cukru czy czegoś. Kiedyś jeden z tych Japończyków przyniósł mi takie lekkie buty, ładnie zrobione z jakichś pozostałości z rzemiennych pasów. I on mi napisał kartkę, że przez kolegę przesyła. Po rosyjsku, uczyli się języka rosyjskiego, dobrze mieli opanowany język rosyjski, nawet w piśmie. I co pisał - że prosi mnie, żeby dostarczyć jemu trochę cukru, bo jest bardzo chory. A podpisał się: japoński

major - po ruski sołdat. Takie charakterystyczne, jak oni odczuwali to odnoszenie się do nich.

Organizacja: magazyny żywności były obstawione przez więźniów, żeby nie było rozkradania, idealnie wszystkim wydzielano. W każdym obozie był magazyn, który ze względu na warunki zimowe - nie było dojazdu - miał żywności przynajmniej na miesiąc. To były magazyny wewnątrzobozowe, trochę oddzielone, odgrodzone drutami od obozu, ale były w zasięgu.

Kiedy się zaczął bunt, przyjechała pierwsza delegacja z Krasnojarskiego Kraju. Bo naczelnicy w obawości o własną skórę chcieli ten bunt zdławić własnymi siłami, żeby się to dalej nie rozprzestrzeniało. Bo to im chwały nie przynosiło. Ale skoro to już przeniosło się na szereg innych obozów, nie byli w stanie i została powiadomiona o tym Moskwa. Bo przedstawiciele komitetu obozowego żądali wyłącznie przedstawicieli z Moskwy. Kiedy przyjechała pierwsza komisja, na czele której stał bodajże generał Zwieriew, to i z nim nie chciano rozmawiać. Powiedziano mu:

- Ty masz spaprane ręce po łokcie w ruskiej krwi. Z tobą rozmawiwat nie budiem!..

W następstwie tego przyjechała delegacja z Moskwy.

Ogólna sympatia Norylczan była po stronie więźniów. Bo nawet, jak ja z Wołka jechałem, było obowiązkowe sprawdzanie dokumentów czego wcześniej nie było/y, bo część więźniów nie chciała wrócić do obozów, tylko zostawali na swoich miejscach pracy. Tam w co można było, to oni się uzbroili - oni już podjęli walkę, podjęli decyzję. A nawet narzędzia pracy mogą

być bronią.

Wolni o wszystkim wiedzieli z tego względu, że ustało życie w Norylsku. Oni przychodzili pod obozy z żywnością, tylko ich nie dopuszczano.

W Gorstroju, za jeziorem, gdzie budowano domy, rzecz polegała na tym, żeby więźniowie nie przychodzili do obozu, żeby byli na miejscu pracy. A takich wewnętrznych, wydzielonych miejsc pracy było w Norylsku bardzo dużo. Tam im nie dostarczano żywności, tylko głodem brano. Po kilku dniach oni byli i potem przeciwdziałano solidaryzowaniu się tych Norylczan, którzy mieszkali poza obozem, którzy dostarczali ze swojej strony żywność. Władze na to bardzo energicznie reagowały, nie pozwalali na to, do prostu strzelali. Ale kiedy budowano tej Gorstroj, to budowano zespół budynków (pojedynczo nie budowali), a w połowie już były domy mieszkalne, zamieszkałe przez ludzi. I z tych domów mieszkalnych zrzucano żywność na teren wydzielonych miejsc pracy, gdzie byli więźniowie.

Już później był inny stosunek do więźniów, już nie nadużywano - bo dawniej "/osaist" to było nagminnie zwracanie się - to już zanikało. Okazało się, że jest jakaś inna sytuacja, że coś, coś... Przecież docierało to, co się wówczas w Rosji działo, te sprawy...

W obozach, żeby ktoś posługiwał się radiem, to nie do pomyślenia, takich nie było. Jeden ogólny radiowęzeł i komunikaty. Ale do pracy w kopalniach część przychodziła już z Norylska tych wolnych osiedleńców. I jakieś wiadomości docierały, co się dzieje w świecie.

W czasie buntu nie zrywano głośników, ale wykorzystywano do innych celów. Jedna część naglaśniała z jednej strony: że

będą represje; a druga strona swoje... Bo przecież tam też były węzły radiowe. Oni jak mogli, to wyciszali...

Z góry, z obozów, które wyszczególniłem, z tych niżej położonych byli ludzie doprowadzani do Gorskrożu. A każda ta strefa budowlana to też były druty kolczaste, wysoki, tak jak obóz pilnie strzeżona. Na nocleg dopiero prowadzono do obozu. I celem zbuntowanych było nie dać się doprowadzić do obozu.

A jak budowano: tutaj jeden dom jest zamieszkany, z drugiej strony do też, a w środku budują.

Podczas buntu o to chodziło - żeby stworzyć względnie ludzkie bytowanie. Bo nikt z więźniów nie otrzymywał żadnych listów. Ale i z tych wolnych, czy oni listy pisali? Miałem rodziny, u których bywałem w Norylsku, z tych wolnonajemnych, jak ich nazywali, czyli jakby ochotników. Mówiono, że przyjechali do Norylska ochotniczo za karę.

Należałoby właściwy sens pokazać - jak było w tych obozach. Że na skutek warunków, jakie tam były, wybuchł bunt. Bo kto nie ma wyobrażenia o obozach, myślałby, że tam naprawdę tak wszystko przechodziło. Wskutek dużej śmiertelności, morderczej, głodowej pracy wybuchł bunt. Desperacja, ostateczność doprowadziła do tego buntu.

Jest też istotne, jak ci zwolnieni chcieli wyładować nienawiść do władzy, jakoś z stanie..., wyładować na kim - robili napady na milicję. Tam milicjanci pojedynczo nie chodzili, tylko trzech, pięciu. A jak gdzieś ich tam ci zwolnieni gonili, to chowali się. Tam wszędzie załamarki, domy stały jak na nogach, śniegiem to pozakiewe, schować się...

J.M. - Fundamenty to były słupy takie, można było wejść pod

budynek. Nie było zagospodarowane jakieś piwnice czy coś... Nie było piwnic.

M.D. - Nierówność gruntu sprawiała, że w czasie zawiei śnieżnych w jednym miejscu robiły się olbrzymie zaspy, w drugim zostawał teren goły - nierówny teren, wszędzie łatwo się schować. Ci zwolnieni z obozów polowali na milicję i robiono z milicjantów "samoloty". To znaczy: rozbierano do gola, zostawiano tylko czapkę i co miał, automat czy karabin / z karabinami to już mało chodzili, ale jak było dwóch automatczyków, to musiał obowiązkowo być i jeden z karabinem, żeby na dalszą odległość, w razie jakiejś ucieczki czy czegoś - dosięgnął z karabinu/ przywiązywali z tyłu do pleców, do rąk. Nikt nie pomógł takiemu, nawet nie podszedł, bo z drugiej strony zaczynały się pytania:"Może widziałeś kogoś?...",...

Bardzo często zdarzający się wypadek na ulicach Norylska - idzie oficer: charakterystyczny biały kożuszek, czapa, buredki, czyli wojłokowe buty, ale jeszcze pięknie skórą obszyte; wyposażony we wszystko potrzebne w tym klimacie - i jak naprzeciw szła grupka dwóch-trzech, to on już łapał za kaburę, wyciągał pistolet i nie szedł naprzeciw nich, tylko kazał siebie obejść, ominąć w odległości kilku metrów. To było normalne zjawisko. Sumienie było czymś obciążone... że nie wiedział, kto idzie naprzeciw.

Po buncie powrotem trafiłem do 15 łag-otdielenia, jeszcze z raz czy dwa w tundrę pojechałem, później zostałem powiadomiony przez naczelnika spec-czasti /gdzie były nasze dokumenty złożone/, że już mam w ogóle nie wyjeżdżać w tundrę. Jeszcze różne przedmioty osobistego użytku miałem, to

jeszcze raz pozwolono.

To było w 1953 roku, przecież już mój wyrok też zbliżał się do końca. Liczyłem się z tym, że muszę do tego troszeczkę się przygotować. Już w Norylsku były sklepy jako tako zaopatrzone - może nawet lepiej, niż w centrum kraju. Można było kupić sobie przyzwoity garnitur. Ja miałem tę możliwość, że mogłem docierać do różnych miejsc. Ryby miałem, to sprzedałem na *Walkie* czy nawet w Norylsku miałem stałych ludzi, którzy ode mnie odbierali i z tego miałem pieniądze.

Pieniądze miałem złożone u pani doktór **Nadieżdy Arkadii Lebiediowej**. Ona mieszkała w *Gorstroju*, w tym domu, gdzie była poliklinika.

Kiedy wyjeżdżałem z Norylska, wziąłem dobrą wódę i poszedłem pożegnać się z panem **Suchanowskim**. A oni w Norylsku mieszkanka mieli takie ciupeczki! Bo jak najwięcej ludzi... Przecież tam bardzo drogie budownictwo było. Jak ja kiedyś komuś z budowlanych powiedziałem, że w Norylsku budowano przy 30-40 stopniowym mrozie:"Pan jest nienormalnym człowiekiem". To było strasznie kosztowne budownictwo!

J.M. - Budownictwo - nie daj Bóg. Jak okna były zamknięte, to już pan nie otworzył. Jak były otwarte - to już pan nie zamknął. Dlaczego - bo spław drewna odbywał się Jenisiejem, i często drewno zostawało już po nawigacji w rzece. Całą zimę, 10 miesięcy leżało w wodzie. Potem jak było potrzeba na stolarkę, to kiedy mieli wysuszyć? Wyciągali, troszeczkę obeschło i z tego robili okna, podłogę...

W pomieszczeniach tynkowało się cementem, bo nie było gipsu. Cement był z Polski, szkło z huty w Piotrkowie przychodziło. A jak nie było cementu, to gliną.

M.D. - Okna bardzo małe, maleńkie.

J.M. - Ale zakamarki, gzymsy, różne pierdułki, filarki, filary - to było wypracowane. Ja przez jakiś czas pracowałem jako sztukator, gzymsy trzeba było ciągnąć dookoła przy suficie. Nawet w sraczyku musiał być gzyms! Myśmy chcieli bez - a nie! Nie przyjęli, musi być! To było bardzo pracochłonne, wprawdzie szablonem się robiło, ale...

M.D. - Specjalistów jakich chcieli to w obozach wszystkich znaleźli. Za pracę nie płacili.

J.M. - Myśmy dawali mocną zaprawę z cementu - żeby normę wyrobić - potem przychodzili elektrycy, żeby kłaść przewody: mowy nie było, żeby on tam wbił coś, to był żywy beton. Kleli jak cholera. Ale myśmy musieli prędko robić. Mało - rzuciło się ten cement żywy i na to wapno niegaszone w proszku, to od razu zastygało jak gips. A normalny cement ze 3-4 godziny musiałby schnąć. Taka robota...Oddawało się budynek, już przyjechało *naczalstwo*, orkiestra obozowa, i taki pierwszą klatkę, drugą i trzecią oddają, my w czwartej jeszcze tynkujemy, a na dolnym piętrze malują już! Taka gonka, głupota.

M.D. - Na naradzie budowniczych ze Wschodu i Zachodu - teraz już - ktoś z naszych panów mówi, że u nas jest taka sprawność na budowie, że drugie piętro budujemy, a na pierwszym już firanki wiszą. A ktoś z Rosjan wstał i mówi:*"U nas wtoroj etaż etroim - na pierwom uże kapitalnyj remont!"*.

J.M. - Tam w domach o żadnych firankach mowy nie było. Wszystko z cegły. Mróz 40% - a oni kładli cegły: tylko rzucił, przyłożył i już zamarzła ta zaprawa! Ale potem taki dom - latem - 7-10 centymetrów "siadał".

M.D. - Już popękane te domy były.

Jestem u tego pana Buchanowskiego, popiliśmy sobie serdecznie, i co pożegnaliśmy się, pocałowaliśmy, to oni "Sadis". Co jest? A on drugie drzwi otwiera, a całe jego mieszkanie było mniejsze chyba jak ten jeden pokój, drzwi otworzył, a tam córka jego spała i akurat gdzieś do połowy kocem czy kołdrą nakryta, a tu, jak to młoda dziewczyna, /miała chyba 17 lat/ - cały tyłek na wierzchu, różowy, apetyczny.

- *Smotri* - mówi - *kakaja zopa...*

Tacy byli też ludzie. Odpowiadało mu to, żebym został jego zięciem.

Miałem kupiony granatowy garnitur / w nim przyjechałem/, miałem kupiony granatowy płaszcz - ja się bardzo przyzwoicie prezentowałem. Nawet jak jechaliśmy z Podmy, to mówią: "Ty, bo nas napadną, bo wiedzą, że taki fiśz jedzie". Zostałem oficjalnie z 15 *Łag-otdielenia* zwolniony do obozu przejściowego, który był tylko odgrodzony, gdzie nas pilnowali tylko i wyłącznie ci z NKWD, *Krasnopagonnicy*. To było przy drodze prowadzącej do stacji, niedaleko stacji kolejowej. Przygotowywali nas do odprawy. I ja - czemu to zawdzięczam? - z grupą innych /tam jechali Węgrzy, dwóch Anglików, Amerykanin był też jeden, co ciekawe/, zostałem przewieziony wojskowym samolotem do Krasnojarska. To mógł być koniec sierpnia 1953.

W tym czasie, kiedy myśmy powracali, wszędzie w Związku Radzieckim były niepokoje.

Jest istotna sprawa, którą należałoby podkreślić - że to wszystko trwało w okresie niestabilizacji, pierwszej od czasu

zakończenia wojny. Była wówczas u nich sprawa Berii, rozprzężenie, wszystko się mogło zdarzyć.

To było transmitowane przez radio, celowo, wszędzie stały głośniki, na stacjach, wszędzie, i mówiono, jak to się odbywało, że takiego i takiego... Jak oni zaczęli te wyroki, od rana mówili, krótko: "*zamiennik rodiny, tamoj, tokoj, smiertnyj prigawór...*" i za kilka sekund dosłownie powtarzają:"Wykonano", i następny, i następny. Były komunikaty, że to wszystko opanowała grupa wrogów narodu, chcieli jakoś to załagodzić. Ale to były pierwsze niepokoje po wojnie na większą skalę.

Wyleciałem pierwszą grupą z Norylska samolotem. Jak nas prowadzili pod konwojem w Krasnojarsku na lotnisko, nie wiadomo skąd znalazła się grupa młodych ludzi, i na konwojentów:"*Ciewoć wy, sobaki! Rieblata, dawaj na nich!*".I tych konwojentów rozbroili! I oni bez wystrzału oddali broń, ci, którzy nas pilnowali! Co się później stało, nie wiadomo.

Co tutaj podkreślam: u nich zaczęły się niepokoje. Stłumili je. My byliśmy tak izolowani, że nie mieliśmy informacji, co się dzieje na zewnątrz.

Był taki system: gdziekolwiek był region, że były jakieś niepokoje - przerywano dostawy żywności. Brano głodem po prostu - wolnych ludzi. To była u nich pierwsza broń - głodem wziąć.

W Krasnojarsku mieliśmy się zameldować... jak się nazywał ten cholerny ich urząd... jakiś komisariat *wnutriennych diełow*, spraw wewnętrznych. Bo dostaliśmy *sprawki* w Norylsku, gdzie się zameldować w Krasnojarsku celem otrzymania dalszych dokumentów. I jak myśmy się pytali na lotnisku w Krasnojarsku, gdzie to się znajduje, oni nam dali *striełka*,

żeby nas tam doprowadził. Była nas grupa, różnych narodowości, ten *striełok* prowadził nas z pepeszą. Z lotniska wyszliśmy tylko na ulicę Krasnojarską - szła grupa młodzieży:"Czewoż ty, swołocz, ich *wiedziosz*", i do nas:"Czego wy się tak pozwolicie prowadzić, jak...", wymienił nie wiem co..."Czewoż ty sukinsyn, z automatem za ludźmi idziosz?". To świadczyło o nastrojach, jakie panują. Wszędzie wówczas były niepokoje.

W Norylsku jeszcze, po tym buncie były komunikety, żeby zachować spokój, że część ludzi jest już amnestionowanych, w przygotowaniu są dokumenty, tylko brak środków lokomocji na wywiezienie tych ludzi...Proszono o zachowanie spokoju. Już wówczas złagodniał reżim, już wprowadzono sklepy w obozach, gdzie można było coś kupić, i zaczęto ludziom dawać trochę pieniędzy.

J.M. - Już była wolna stołówka, można było za rubel piętnaście kupić w kiosku chleb, jakiś tłuszcz, cukierki, herbatniki...

M.D. - Otrzymałem w Krasnojarsku dokumenty i później jechałem... do Kujbyszewa. I z Kujbyszewa dopiero nas samochodami odwieziono do Podmy. A tak jechaliśmy sami.

W Podmie już mieliśmy sanatorium. Było dobre wyżywienie, nikt nie mógł powiedzieć. Tylko obóz... przez tyle obozów przejechałem, ale nie widziałem takiego: palisada! Wysoka palisada. Piękna sosna tam była, zastanawiałem się, skąd oni takie sosny wysokie mają... Ostrokoły, żadnego kontaktu z innymi obozami nie było.

J.M. - To był obóz karny.

M.D. - Kiedyś musiał być, przed nami. Bo do tego obozu, do tej palisady przylegały inne obozy. Nadal funkcjonujące

obozy z drutami. Ale wysmy byli w takim wyodrębnieniu.

Ja się tak zastanawiałem - wszystkiego wszystkiego brak. Najlepszym przykładem tego, jak przed przysięgą wydali nam te kawałeczki materiału, żeby sobie podszyć kołnierzyki, a igieł nam nie dali! Nie mieli, bo gdyby mieli, to by dali. Jak ci ludzie tam żyli? Popatrzeć na tych wolnych ludzi - obraz nędzy i rozpaczy...! Ubóstwo i jeszcze raz ubóstwo.

A nad jednym się zastanawiałem, że czego jak czego, ale ile oni muszą mieć fabryk tego drutu kolczastego...! Krasnojarsku całe kołytarze, jak małpie wygony, prowadzące do portu - wszędzie podwójne, potrójne zasieki. Jak się jechało na trasie Omsk, Tomsk, Czelabińsk i dalej - nic, tylko się widziało wyżki, wyżki, wyżki...Świadczące o tym, że były tam jakieś miejsca zakłuczenia.

Jednej rzeczy - drutu kolczastego - nigdy nie brakowało w tym kraju.

Kołchoz, w którym pracowaliśmy, zrobił na nas wielkie wrażenie. Chcieli z nami jakoś tak kurtuazyjnie postąpić. My z prostej ciekawości, dla nas było wielką frejdą mieć kontakt z wolnymi ludźmi. Jak przyjeżdżały auta i prosili - nie to, że "kto chce", tylko prosili nas, bo nie są w stanie wykopać kartofli, nie ma rąk do pracy - czy nie moglibyśmy pomóc im. Bardzo dużo chętnych było, żeby pojechać, jak to mężczyźni: "a to dziewczynuchne sobie przygruchne" i tak dalej /i takie kontakty były z kobietami/.

Skończyło się to kopanie kartofli / ja to pewno z 5-6 razy na tym byłem/ i przyjechał płatnik z tego kołchozu, żeby z nami rozliczyć się za naszą pracę, bo obrzadek musi być. Nie mieli drobnych - wypłacali nam / jak dziś to pamiętam/ stemplowanymi kopertami po 15 kopiejek. Ile kto tych kopert

zarobił: jeden 15, drugi 20, jak oni liczyli? Przecież nam na tym nie zależało, myśmy chcieli trochę kontaktu mieć z tymi ludźmi.

W Połmie zaczęły krążyć wieści, że jeszcze możemy pozostać. Nasz wyjazd się odkładał. Codziennie pytaliśmy, kiedy odjedziemy, kiedy odjedziemy. Celem tego naszego pobytu tam było doprowadzić każdego do jakiegoś względnego wyglądu. Bo myśmy do siebie byli przyzwyczajeni, ale widocznie oni sądzili, że my jeszcze nie nadajemy się. A zobaczyliśmy, jaka jest różnica między tymi, którzy byli w obozie, bo kiedyś zwrócono się do nas latem, żebyśmy pomogli w sąsiednim kołchozie kopać kartofle. Bez ochrony, tak nas wzięli. To jednak widzieliśmy tę różnicę.

Nasz wygląd zewnętrzny jeszcze się nie kwalifikował. Często były wizyty lekarzy, oni obserwowali, jaki jest postęp w naszym doprowadzaniu do normalnego wyglądu. Później zaczęliśmy organizować różne zawody sportowe. Było normalne wyżywienie, nie pracowaliśmy.

O co tam bardzo dbano... Wszystko było stemplowane:NKWD, NKWD. Później, przed wyjazdem zaczęto dbać o to, żeby nic stemplowanego nie pozostało. Kilkakrotnie rozbierano i sprawdzano.

Był z nami kolega, nazwisko Mironowicz, i on miał wytatuowane na lewym ręku:"Norylsk" i jakieś tam jeszcze, obóz, w którym był. To jego zabrano do Kujbyszewa i usunięto tatuaż, potem z powrotem przywieziono. I dlatego jak niektórzy mówią, że jakieś dokumenty przywozili stamtąd... Niewiele jest chyba dokumentów z Dalekiej Północy.

Nawet Rosjanie, z którymi raczej na korzystnej stopie byliśmy, oni też mówili:"Zapomnijcie, że wy kiedykolwiek do

Polski powrócicie. Byliście świadkami spraw, jakie tutaj się działy". Bo troszeczkę jest w naszej rodzinie takiej sielanki, a codzienne życie tak nie wyglądało.

Rumuni, z którymi rozmawiałem w Polnie, byli w większości oficerami rumuńskiej armii, którzy pod Stalingradem dostali się do niewoli.

Osobny temat, brak słów, żeby to określić - najlepiej odzwierciedli to taka anegdotka rosyjska: idzie kobieta spod sądu, Cyganka, i strasznie zawodzi. Przechodzi obok Rosjanka: "Czewoż ty kriedujesa taka?". "Moj mup 10 let powczyt". "Dumaja tut ja na wiesenuj wołbrź w kołchoz popoła i nie płaczu". Takie z życia wzięte.

* * *

Jaki jest po obozach nasz stosunek do ludzi, może dosłownie odczucie: nie zdajemy sobie sprawy, że to nasze życie - chociaż jest przykre, jak niektórzy mówią - ale że żyjemy w raju. Bo zawsze się pamięta... Ile ludzie tracą czasu na różnego rodzaju dziwne konflikty, bo jakoś nie mieli do czynienia z czymś...

Jak człowiek pragnął takie s p o k o j u... Moim największym marzeniem było - żebym mógł sobie założyć koszulkę z krótkim rękawem, lekkie spodnie i wyjść gdzieś na ulicę popatrzeć na ludzi. Nic człowiek więcej nie chciał - tylko popatrzeć na ludzi, b y ć między ludźmi. To było moje marzenie. I gdy teraz w domu żona robi a czegoś próbuję, kiedy były takie niedobory, "tego nie ma, pójdę w kopystać"... - mówię:

- Zastanów się, masz w domu kartofle? masz trochę oleju? Ty

wiesz, jakie to bogactwo? A ty mówisz, że czegoś nie ma...

Człowiek jak miał takie podstawowe rzeczy tylko, no to już czuł się... Wyjeżdżając z Norylska - i to mówili ludzie nie tacy sobie przeciętni, ludzie, którzy mogli mieć jakieś inne pretensje do życia, ze względu nawet na wykształcenie - ja pamiętam słowa jednego, jak wyjeżdżałem:

- Marian, niczego ci nie zazdroszczę, tylko, że wreszcie się chleba najesz do syta...

Proszę sobie wyobrazić, że były takie okresy w Norylsku... To tutaj mówią, że są "trudności z dowiezieniem, że troszkę tam zasypało, zawiało". A tam, żeby dotarły konwoje z żywnością do Dudzinki, ile po drodze było: po jednej stronie obóz, po drugiej. Dlaczego takie było usytuowanie tych obozów - ponieważ zadaniem tych ludzi było obsadzanie borów. Kiedy już wiele, to się wszystko kończyło, żaden strażnik... A jak się zorganizowali, wychodzili przez druty poza zonę. Tam po śniegu jak po asfalcie, wychodzili, bo wiedzieli, że z Dudzinki będzie jakiś transport jechał. Nie było krytych wagonów, ładono na platformach. Śniegiem zawiało, oni tylko stawiali jakieś pajaki, gdzie tam beczka z trzeką albo worek z mąką... Te obozy, pomimo, że strasznego reżimu, ale dobrze się mieli, bo wychodzili na taki rozbój.

Kalendarz był obcym pojęciem. Nawet ja, będąc tam zastanawiałem się: "Jest już Boże Narodzenie czy nie?" No, to chyba będzie już, obchodziny".

Żona się na mnie wówczas denerwuje: "Cholera, dziadu, obiad ci przygotuję...". A co daje mi największe zadowolenie - śledziowe filety, bo tak człowiek do tego... I ugotuję sobie trzy-cztery ziemniaki w mundurach, lepiej mi smakują niż

najlepszy obiad.

Po powrocie byłem jak w transie. Opowiem taką śmieszną sprawę – tam, gdzie pracowałem było jak to zwykle portiernia. Szedłem sobie do pracy, tu obok idą znajomi (wiadomo, że Dobrowolski jest nienormalny, ale to osobny temat), a ja sobie mierzyłem po płytach chodnikowych: "iść – nie iść – iść – nie iść". Jak płyta chodnikowa, która szła równolegle do portierni, wypadła na "nie iść", szedłem sobie prosto dalej i nie szedłem do pracy. Nie ma sprawy. Dosto tu do uszu kierownika, do dyrektora...

Ludzie, z którymi pracowałem mówili: "Hopla ma". A mnie to sprawiało taką przyjemność, że ja nie pojadę do pracy i nie będę miał z tego tytułu żadnych przykrości. Tam za opuszczenie 3 dni pracy mógł człowiek zarobić 5 lat i więcej. Nikt nie mógł samorzutnie zmienić pracy. Przecież myśmy mieli kontakty z Rosjanami i jednego do dziś pamiętam, jak mówił mi, że on 100 metrów bieżącej tkaniny ukradł. Ja myślałem, że to zwój jakiegoś materiału. A on mówi:

- Wiet, ja karobiec u niciek bazar i mienia w mietrach pościdał...

Wziął szpulkę nici, a mu w metrach tkaniny policzyli. Pamiętam tego chłopaka.

Nie mogłem się nacyć, że nikt za mną nie chodzi... Jeżdżenie – bez potrzeby, obojętne. "Dzisiaj sobie pojadę do Torunia". Że mogę z nikim tego nie uzgadniać. P o g e . sam jestem gospodarzem swego dnia. Żadnej trudności, jakie by nie były kłopoty – na dworcu przesiedziałem na ławce, troszeczkę się na tym dworcu przespałem, poszedłem sobie na perony, bardzo to lubiłem, tych podróżnych, te wagony, można gdzieś pojechać...

Nie czułem się zmęczony. To mi sprawiało taką radość, że mogę sobie ber... i tak mi niewiele trzeba było! Naprawdę nie za wiele tych pieniądzów było, człowiek nie myślał, żeby gdzieś w hotelu - aaa, kupiłem sobie bułkę, herbatę...

I taka nerwowość - ktoś podszedł, słowo powiedział, ten wysiłek do góry! Mówiono u mnie w pracy: podchodzisz do Dobrowolskiego, to spokojnie mów albo najpierw dorzadz, że podchodzisz, bo ci zęby wybije, jak podskoczy. Nie - wręcz odwrotnie, nikt nie był wrogiem! Człowiek jakoś to tak p r z e t y k a i...

Inną sprawą było słownictwo. Tam w żargonie obozowym słowa takie jak "ni w pizdu" człowiek wszędzie władał. I tu nieraz w rozmowie człowiek nie zdawał sobie sprawy, siedział za stołem i coś opowiadał... Trzeba było nad sobą panować.

Następna sprawa - jak wychodziłem na Piotrkowską, jak widziałem te sklepy (to był rok 1954, u nas było jeszcze względnie dobrze, nie było kartek)... Na Narutowicza były prywatne sklepy. Najbardziej mnie rozśmieszyło, że wisi jakaś kaczka oskubana, i ja mówię - myślałem kategoriami rosyjskimi jeszcze:

- Przecież tu można całe życie nic nie robić, bo tu wszystko jest w zasięgu ręki!

I jak miałem pieniądze, to zawsze coś kupowałem. Byłem uwrażliwiony - były te gęsi, przecież to 3 kilogramy - to tak niebrogo mi się zdawało - kupowałem... Przynosiłem te gęsi do domu. Rodzina mi nie zwracała na to uwagi, tylko jak znajomi byli, to jakoś przekładali to im, żeby wzięli. A mnie się zdawało, że to jest, a jutro już nie będzie. Na zapas, na zapas.

Od czasu do czasu coś na mnie takiego przychodziło. Nie

mogłem spokojnie przejść, jak zobaczyłem na wystawie, musiałem iść i kupić. To nie było tanie, ale kupowałem.

Musiałem podjąć jakąś pracę. Zapytałem:

- Ile mogę zapracować?

I jakimi kategoriami myślałem: czy ja mogę zapracować, żeby mi starczyło kupić - taki kosztbryl robiłem: pół kilo chleba liczyłem 6.30, następnie litr oleju do tego - i tak się zastanawiałem:

- Boże, litr oleju, może to za dużo na miesiąc?

Jak sobie policzyłem to wszystko, na wyrost, to wyszło, że mi więcej jak połowa tych pieniędzy zostanie.

To trwało. Tak było ze trzy lata. Przez trzy lata nie byłem sobą.

Mówiliśmy to o podstawowych rzeczach. Ale to nie jest to, czym był Woryłek. Dlatego, że nam się trochę w życiu... my nie byliśmy tak traktowani jak ogół. Nawet z tej katastrofy lotniczej też się kilka nieraz uratuje. Tak i my. Nie trochę, jak to mówią po rosyjsku, "podwiodło" - że nie miałem do czynienia z obozami, tyle, żeby pojechać, bodaj chwilę i wracać. Ale kto był na tych ogólnych robotach - to nie wyglądało tak.

Każdy normalny człowiek tego nie zrozumie, jeśli nie był tam. Zobaczyć przeciętny dzień obozowicza... Jak to wyglądało... Rano gong budzący. Na środku każdego obozu jest szyna, i ten dźwięk - tam czyste powietrze, niesie się głos. Człowiek zrywa się podświadomie z nar, i pierwsze co słyszy, to "Szeroka strana rodnaja"... Z głośników, codziennie. Ludzie szału dostawali od tego...

Człowiek się zastanawia, czy to wszystko było prawdą, czy

to tylko takie... Gdybym tego nie widział na własne oczy, a ktoś z detalami opowiadałby o życiu obozowym - ja bym osobiście nie uwierzył.

Po przyjeździe tutaj, po 2-3 latach pisałem do Norylska, do tych ludzi, z którymi byłem tam zaprzyjaźniony. Nigdy żadnej odpowiedzi nie dostałem.

Już się nie zastawiamy, to jest już jakoś we krwi - że nie powiedziałbyś "umarł", tylko "pod Szmitychę". To tak w krew wchodziło: "pod Szmitychę", "pod Szmitychę"...

* * *

Po inicjałach M.D. - tekst Mariana Dobrowolskiego
Po inicjałach J.M. - tekst Jerzego Mrozowskiego

spisał Tomasz Gleb

U Z U P E Ł N I E N I A

do relacji p.**Mariana Dobrowolskiego**, nagrane 18.05.91 w Łodzi przez Tomasza Gleba

Tekst spisany z relacji nagranej z minimalnymi poprawkami. Poszczególne fragmenty są powtórzeniem lub rozwinięciem kwestii poruszonych w poprzedniej relacji, które nie zostały nagrane lub zostały nagrane ze złą jakością.

Zmarłych wywożono do kopalń. Wiem to z relacji tych, którzy to bliżej widzieli. Że: dlaczego saniami wożono. To było u podnóża **Góry Niedźwiedziej**, to była kopalnia rudy numer 7, dokładnie tego nie pamiętam. Cały czas blisko niej byłem, przechodziłem obok niej, jak do swojego obozu jeździłem z chwoją. W rozmowach z więźniami - bo tam po drodze pracowali więźniowie przy odśnieżaniu, to była główna droga - oni mówili o tym. Jak oni to nazywali?... "Karawany" chyba, "karawany już przyszły z Miedwieżki"... Kto ich tam dalej zabierał? Wersje chodziły, że w wyrobiska, w sztolnie u podnóża Miedwieżki chowano ich - i to potem zrywano. We wnętrzu góry.

Tam były trzy dominujące góry: Miedwieżka */Miedwieża Gora/*, Góra Schmidta i Góra Miedna, naprzeciw siebie. W dole w wąwozie między nimi były usytuowane obozy.

Raz zimą śni mi się sen. Zerwałem się podniecony, spocony. Mieszkał w tej chacie też wykładowca w Szkole Wojskowej w Moskwie, ten nauczyciel pyta mnie:"*Ipolitowicz, szto z wami, szto z wami*?"/ on zawsze tak kurtuazyjnie, nigdy nie zwracał się przez "ty"; miał z nami bardzo dobrze, człowiek w wieku ponad 60 lat/. I ja mu opowiadam... "Iwan Makarowicz, mówię, śni mi się jakieś trzęsienie ziemi. Widzę przepaść. Ja stoję na jednym brzegu, krawędzi tej przepaści, a na drugim - nasza chata, *bałok*. I widzę, że ta szczelina się powiększa. A na oknie tej chaty ja widzę ten mój koński paszport, jak oni nazywali, przepustkę. I mówię: przecież ja bez tej przepustki... Tam człowiek bez *bumagi* był niczym, musiał na każde zawołanie, na każde zatrzymanie czymś się wylegitymować... Przecież bez tego jestem niczym, nie mogę nawet do Norylska iść...

Chcę przeskoczyć tę szczelinę,dopóki jest to w granicach moich możliwości. Dokładnie mi się to wszystko śni. I w pewnym momencie ktoś mnie zatrzymuje, jak gdyby za ramię. Ja się oglądam - jakiś patriarchalny wygląd człowieka: starszy, siwiusieńki, z długą brodą. Ale mówi do mnie - co ciekawe po rosyjsku! - mówi:"*Nie prichaj, nie prichaj.Nie nada. Skoro w Polszu pajediesz...*".

No to Iwan Makarowicz mówi:"Czuj się jak w domu po takim śnie". I w krótkim czasie to się spełniło...

Dlatego też mówię, że co mi się śni, to się po pewnym czasie spełnia. I teraz też cały czas, cały czas wydaje mi się, że ja muszę być jeszcze raz w tym Norylsku!

Każdy musiał dbać o tę swoją codzienność, czy narąbać

drzewa, czy coś, to były trudne sprawy, od chaty trochę dalej odejdziesz i toniesz w śniegu puszystym, sypkim. To nie jest śnieg jak u nas lepki, ale przemrożony, drobne kryształki. Było ciężko...

Miesiąc się kończył - ja jechałem do obozu numer 15. Tam pobierałem prowiant, względnie coś z odzieży. Jak to w życiu obozowym - jak trochę ryby przywiozłem świeżej, to u magazyniera mogłem zobie to wybrać, czego tylko potrzebowałem. U siebie miałem już przygotowany zapas gałązek chwoji. Zabierałem z obozu konia, sanie.

A konie małe, syberyjskie, włochate, to były bardzo silne, mocne konie. Kiedyś wiosną wiozłem chwoję i na Noryłce zapadł się lód pode mną. Koń wpadł do wody, mnie udało się zeskoczyć z tych sań w bok, jakoś podświadomie. Jak ten koń zapadł się pod wodę, to tylko mu łeb zobaczyłem. Dość głęboka tam woda była, niedaleko brzegu. I on takimi jakimiś silnymi skokami /jak gdyby ktoś go od spodu wyrzucał/ z tej przerębli wyskoczył.

Szedłem pieszo do swojej chaty od mojego miejsca, głównej bazy, gdzie zbierałem chwoję. Miałem do Norylska do 20 kilometrów, w górę rzeki Noryłki, skąd ta Noryłka brała źródła, tak zwany *Zakon*. Tam była również zasilająca tę Noryłkę rzeka Tała /czyli "niezamarzająca", widocznie były tam jakieś gorące źródła/. Stamtąd miałem do Norylska jakieś 20 kilometrów, a w Norylsku wszystkiego z 5 kilometrów, na Miedwieżkę. Jechałem, kiedy miałem już zebrany zapas chwoji, pobierałem żywność na następny miesiąc, tam dawano mi konia i sanie- pobierałem je z konnej bazy, bo w Norylsku była

taka Centralna Konna Baza - i ja przywoziłem do 15 *Łag-otdielenia* chwoję, a sam z powrotem piechotą do siebie.

Kiedy wybuchły bunty - zaraz się to famą rozniosło - już mnie powiadomiono, bo ja często na Walok jeździłem, bo tam mały sklep był, coś już wówczas można było kupić, nie zawsze, ale już chleb można było kupić /Boże, to był jakiś rarytas, że ja już sobie mogłem do tego, co dostawałem, chleb dokupić/. Wówczas już, będąc w tej tundrze, nie cierpiałem już takiego głodu, bo: ryby... Mnóstwo ryb, człowiek się nawet nieraz zastanawiał, że utworzyliby jakieś brygady rybaków, nawet pod kontrolą - jakim to byłoby dobrodziejstwem dla obozu.... Jaką to byłoby pomocą dla obozowiczów... Ale widocznie nikomu na tym nie zależało, żeby tych ludzi dokarmić, ale żeby ich wyeksploatować.

Przywiezione worki chwoji były przeglądane przez strażników. Ale oni też zbyt dobrego zaprowiantowania nie mieli, oni też chętnie i mili widzieli, jak im się coś przywiozło, a na resztę - nawet jak coś zobaczyli, to udawali, żę nie widzą...

Kiedy wybuchły bunty, ja jechałem z Walka drogą na przedmieścia Norylska. Na przedmieściach, tam., gdzie kończyła się droga na Walok, był tak zwany *chlebozawod* - jedna olbrzymia piekarnia, fabryka chleba. I ja tylko dojechałem do tego *chlebazawodu* i dalej już mnie straże NKWD nie przepuściły. Już na tych przejściach - tylko na przejściach przy drogach, bo drogi na Walok ominąć nie można było, bo dalej były jakieś mokradła, trudne do przejścia, zimą tak, ale latem trzeba było trzymać się drogi - stały posterunki. Zawracają. Ja nie mam prowiantu, a przecież

muszę czymś się żywić. No to wzięli mnie na ten *chlebozawod* i mówią:"*Bieri*... Bierz worek chleba i zawracaj z powrotem. Masz chleb i wodę - chleb w worku, a wodę w Noryłce - to przeżyjesz". I musiałem wrócić z powrotem.

W czasie buntu z obozów górnych brygady pracowały w *Gorstroju*. Ci zbuntowani nie chcieli powrócić do obozów, tylko byli na miejscach pracy. Miejsca pracy też były otoczone drutami, bardzo pilnowane. Ich chcieli za wszelką cenę doprowadzić do obozu. Oni na to nie pozwolili. Odpowiednie uzbrojenie tam było - posługiwali się przecież narzędziami pracy: siekiery, łomy i tak dalej. A jedną z najwygodniejszej broni dla więźniów były tak zwane *zaburniki*. To są od młotków pneumatycznych końcówki, świdry. One były najróżniejszej długości - i dwóch metrów, i dłuższe, i krótsze.

Nie będziemy wnikać w to... To był *suszylszczyk*, taki, który suszy *walenki*. Nie miał lewej ręki /powyżej łokcia/. I jak przyjeżdżałem z chwoją, to nie chciałem w baraku spać, tylko u niego. Bo on miał pomieszczenie: olbrzymie dwie rury od pieca odchodzące, nad nimi te *walenki*, jak brygady przychodziły z pracy, to tam je suszono. A przy tym miał takie maleńkie pomieszczenie, gdzie mieszkał, taką *kopciorę*, jak nazywali. Tam u niego było łatwiej, bo ja już byłem inaczej ubrany, miałem wszystko porządniejsze i gdybym spał w ogólnym baraku, to bym się obudził goły. A u niego nic mi nie zginęło, zawsze jemu przywiozłem świeżej ryby czy czegoś... To było na 15-tym.

Ja razem z nim byłem i na Miedwieżce. On mi to już opowiadał nie w 15 obozie, tylko na Miedwieżce. On mi to opowiadał...

Kiedy on się rozbierał, ja zwróciłem uwagę, że on ma bryczesy polskie, Tylko już były przez niego przerobione - te bufy od kolana były już ścięte, tylko co mnie uderzyło: charakterystyczny krój, bo one były aż do kolana sznurowane, opinające miesień udowy. Patrzę, że to jest zielone. Dziś nawet jego nazwiska nie pamiętam, tam naprawdę nikt się nie pytał o nazwisko, tylko wszyscy do niego wołaliśmy "*dziadzia* Misza, *dziadzia* Misza", i ja też tak do niego się zwracałem, bo wówczas była różnica wieku, to był starszy człowiek.

- *Otkuda u tiebia eti bruki?*

Wtedy on jakby tak... jego coś... nic nie odpowiedział, "*Niciewo, ja imieju, ja kupił...*". Jakoś starał się mnie pozbyć. Ale później ja widzę, że i serdak u niego, taki bezrękawnik, ale też z munduru zrobiony. Jeszcze kieszenie na piersi, kieszeń tam była wielkim dobrodziejstwem, można było coś schować...

- A skąd ty masz to? - mówię.

I on tego wieczoru jakoś pozbywał się mnie, pozbywał. I kiedyś - przy drugim moim przyjeździe - ja jemu nie dawałem odporu:"Skąd, skąd to masz?...". Sądziłem, że on mi odpowie, że tam ktoś z Polaków, mnie to interesowało: wojskowy, w mundurze tutaj przyjechał... Wiedziałem, jak moja droga wyglądała: z Moskwy do Kujbyszewa, tam nas obdarli ze wszystkiego, nic, absolutnie nic nie mieliśmy z tych rzeczy, które mieliśmy podczas aresztowania...

W końcu ja przywiozłem - można wtedy było kupić w

Norylsku - troszeczkę spirytusu. Wypiliśmy trochę, i znowuż przyszedł ten temat, ten temat wracał:

- *Skażitie pażałsta...*

- *Ty synok* - mówi - *pomałkiwoj i nie gawari...Puskajem eto mieżdu nami...*

On był w tym czasie w Dudzince, pracował w łaźni. Był *zawiedujuszczym*, jakby kierownikiem łaźni. I kiedyś, mówi, przywieziono grupę Polaków, wszyscy byli mundurowi. I cóż - mnie polecono, żebym przygotował tę łaźnię na kilkaset osób. Z czym to się wiązało: więcej paliwa przygotować itd. I wszystkich moich pracowników - tam było kilku etatowych - odprawiono, a dano mi pomocników z tych konwojentów. A ja tylko jeden tam byłem.

Oni swoję odzież odali do odwszenia i ja biorę się do tych swoich rutynowych czynności, żeby to pozawieszać na tych metalowych spinane koła. Ale oni, że nie, opuścimy tę czynność, *dawaj wsio w kaczygar*, to znaczy pod piec palić. Zwijałem to, mówi, chociaż dusza mnie... Boże, takie ładne rzeczy!..*Ipolitowicz*, do mnie mówi, *ty znajesz, eto szest, nastajaszcza szest!.../* wełna/. To się nie chciało normalnie palić, tylko węgliło się, żarzyło, jak się zachowuje wełna. To mu komplikowało palenie pod piecem. Jeden, drugi, trzeci zwitek tej odzieży on tam wrzucił, później musiał to z powrotem wygrzebywać, wygarniać. To oni to wzięli i zaczęli przed kotłownią palić, polewali mazutem i palili. Przecież wiesz, mówi, dusza bolała, tyle dobra marnuje się, to sobie schowałem coś-niecoś...

Kiedy później przyprowadzili pierwszą grupę - grupami po 100 osób przyprowadzano - tę, której odzież palono /oni o tym

nie wiedzieli, że ich odzież jest palona/, kiedy po wymyciu się, po *sanobrabotce* wydawano im odzież *posliedniewo sorta*, to znaczy nie pierwszej świeżości: fufajki i inne rzeczy, poprzywożono to paczkami na saniach, to smród od tego, gdzieś w magazynie leżało dłuższy czas - to oni tej odzieży nie chcieli przyjąć. Żądali swoich. I tak, mówi, jak byli rozebrani, to pogoniono ich półbiegiem z powrotem na te barki i już więcej nikogo z barki nie przyprowadzono na *sanobrabotkę*. Specjalnie, mówi, nie wiem, ale w zasięgu mojego wzroku to było - barki popłynęły w dół rzeki, w kierunku Diksona, to jest ta wyspa w ujściu Jenisieju do Morza Karskiego. To wszystko, co on mógł mi powiedzieć.

On mnie zawsze prosił:"Nie mów, nie mów, bo wiesz, że mógłbym...".

Fama zaraz rozeszła się, co się dzieje. Oddziały z powrotem cofnęły się do Puszczy Rudnickiej. I co się działo - nad puszczą, na przedpolach puszczy latały bez przerwy dwupłatowe samoloty rosyjskie, te kukuruźniki, zrzucano ulotki, żeby wychodzić, żeby składać broń, że to nie ma racji bytu na zapleczu frontu działanie Armii Krajowej. Ja byłem wówczas w oddziakle "Cerbera". I początkowo chcieliśmy się przebić, gdzieś bliżej na zachód. Oni tak mieli spenetrowaną dokładnie Puszczę Rudnicką, bo w czasie okupacji wyłącznie bazowały tam oddziały rosyjskie, partyzantka sowiecka. Dobrze tam byli zaopatrzeni ze zrzutów, to były silne ugrupowania. Gdziekolwiek nie wysuniemy się - wszędzie na tych przesiekach stoją...

I tak musieliśmy z konieczności wyjść. Kończyło się

zaprowiantowanie - ile można bez żywności? Dzień, drugi, trzeci, zaczęli konie bić. Ale cóż, konie bić, to trzeba gdzieś gotować, biwaki, a oni już tam wszędzie się znajdowali.

Było w Puszczy Rudnickiej kilka oddziałów, w sumie 12 tysięcy ludzi.

Wyprowadzono nas na skraj Puszczy Rudnickiej i poprowadzono do miejscowości **Miedniki Królewskie.** Były tam pozostałości starego warownego zamku, jeszcze założonego przez Bonę bodajże. Zostały jedynie bardzo wysokie mury kamienne - idealnie sprzyjające warunki na taki tymczasowy obóz. Na murach wszędzie karabiny maszynowe, możliwości stamtąd wydostania się nie było.

Po kilku dniach przyjechało kilku oficerów z armii **Berlinga** agitować nas za wstąpieniem do tej armii. M.in. był tam **Putrament.** Wszyscy odmawiali, żadnych rozmów absolutnie nie przeprowadzali. Żądaliśmy tylko zwolnienia wszystkich aresztowanych łącznie z generałem Krzyżanowskim.

Niektórzy wyrazili chęć wstąpienia do armii Berlinga. Byliśmy na nich strasznie oburzeni. Jak wychodziła ta grupa - może 100 osób, może więcej - wyprowadzaliśmy ich w szpalerze z gwizdami. A z tej grupy wszyscy zaraz bryknęli! Część została, ale większość uciekła. Tych, którzy nie uciekli, z powrotem cofnęli do Miednik.

Bodajże po 10 dniach w tych Miednikach - wszystkich do najbliższej stacji kolejowej, w wagony pod zaostrzonym konwojem - i do Kaługi. Każdemu po bochenku chleba, kilka śledzi, wody natomiast nie. Sytuacja się wytworzyła - nikt o niczym nie myślał, tylko "wody, wody, wody"...Gdzie pociąg

stanął, to Rosjanie rzucali kamieniami. Bo na wagonach niektórych było napisane "Własowcy". Wiadomo, jaki był stosunek Rosjan do własowców...

Kiedy już przyjechaliśmy do Kaługi, miłe zaskoczenie - grała orkiestra. Czy ona grała hymn polski, czy coś takiego, nie mogę sobie przypomnieć. Z nas szeregują szpalery i przez Kaługę prowadzą do koszar. Koszary były na peryferiach. Rosyjska orkiestra, z Kaługi. Przyjmowano nas tam z orkiestrą, było takie... zaskoczenie. Tylko nie mogę sobie przypomnieć, czy wówczas hymn polski grali... To było dla wszystkich zaskoczeniem - po takiej przygnębiającej podróży.

Doprowadzono nas do koszar, z koszar prawie nie wychodziliśmy: *sanobrabotka*, wydano każdemu papierowy worek po cemencie do złożenia swoich mundurów. Bo na Wileńszczyźnie oddział musiał być jednolicie ubrany. Więc swoje umundurowanie złożyć, paczkę machorki na dwóch - to miało zastąpić molobójczą naftalinę, adresy na bokach i do magazynu, aż do zakończenia wojny.

I tak staliśmy się ruskimi *bojcami*.

Reakcja była... nie bardzo. Każdy...zapanowało jakby przygnębienie, bez entuzjazmu.

Mieliśmy jeszcze z dzień wolnego dla odpoczynku i na poligony, na ćwiczenia wojskowe. Ze dwa tygodnie trwały ćwiczenia. Doszli do wniosku, że nie ma kogo... Jaka była reakcja tych rosyjskich oficerów:"*Nastajaszcze saldaty*, czego czas tracić?".

Uczyli nas rosyjskich piosenek, jedna taka wówczas popularna:"*Leningrada nie zdradzimy ni Moskwu stolicu...*". Nie bardzo nam to.... Śpiewaliśmy polskie. Początkowo tak

było, że jeżeli zaczynaliśmy polską, to padały komendy:"W miejscu maszeruj", do zmęczenia, dopóki nie zaprzestaniemy. Ale nie poprzestaliśmy, oni później przestali i śpiewaliśmy polskie piosenki. Tak się to przyjęło, że później cała Kaługa śpiewała m.in. "Żal, żal za jedyną...orły i sokoły...", bo to taka dobra marszowa piosenka. Przyjęło się i zaniechali nam zabraniania nam śpiewania polskich piosenek. Wyczuwaliśmy sympatię ze strony mieszkańców Kaługi. Trzeba przyznać, że ci oficerowie też do nas trochę z podziwem...Nie było z ich strony jakiegoś specjalnie.. ale z sympatią odnosili się do nas.

I jednego dnia wieczorem po apelu - bo wiadomo: rygor wojskowy - mówią nam, że rano będzie przysięga. Jak ta przysięga będzie wyglądała, każdy się gubił w domysłach. Jak to w takim zbiorowisku: ktoś tam widział księży polskich...

Rano wstaliśmy, oni jeszcze wydali nam po kawałku płótna, żebyśmy sobie popodszywali tak zwane *podwrotniczki*, bo tam cały mundur może być brudny, ale *podwrotniczok* musi być biały!

Wyprowadzono nas na poligon, uformowano równoległobok, jednym bokiem były trybuny - ja stałem w drugim szeregu, blisko tej trybuny. My stanowiliśmy trzy boki. Przyjechała ich generalicja, przyszli wyżsi oficerowie i co było wzruszające - że na tej uroczystości znalazło się, co było w ogóle niespotykane, dużo cywilnych Rosjan. Tych z Kaługi. A wówczas było nie do pomyślenia, żeby ktoś z pracy... Jak oni to zrobili?... Widzieliśmy tych usmarowanych, w fufajkach, prosto od stanowisk roboczych odeszli. A tam były blisko nas parowozownie... My sądziliśmy, że może ten teren będzie

udekorowany flagami polskimi - przecież przysięga wielka rzecz! Okazało się, że nie.

No i kiedy podano komendę rosyjską "baczność", to znaczy *"smirno"*, wszyscy stanęli i...słyszymy przez megafony słowa roty przysięgi rosyjskiej. "My synowie *sowieckowo naroda...*", coś takiego. Jak w oszołomieniu, jakby w szoku stałem. Moment, moment, a później wyskoczyły te chorągwie, które mieliśmy. Na bagnet, na ten długio sztych - część miała karabiny, część pepesze /trzeba powiedzieć, że karabiny były niesprawne, to znaczy przeborowane były komory wystrzałowe, broni normalnej jeszcze nam nie dawano, tylko ćwiczebne takie/.

Była grupa organizatorów. Tu w Łodzi jest jeszcze kolega **Gronowski** /wówczas wiekiem starszy, bo już był po skończeniu gimnazjum/, **Pałczyński**, **Zając** /to był harcmistrz chorągwi łódzkiej/, i jednak mówiliśmy, że coś takiego może nastąpić, "tutaj nie opowiadajcie, że ktoś księży widział, nie przypuszczamy, żeby oni sobie pozwolili na typowo polską przysięgę". I tak się stało.

Kiedy wyskoczyły te chorągwie, kiedy podano komendę "baczność", oczywista oficerowie na trybunie salutują - to był moment takiej ciszy i później rotę odśpiewano. Odśpiewano rotę. To raczej taki wybuch był... Ja nie wiem, wiem tylko, że śpiewałem, co się koło mnie działo, to człowiek i głuchy na to był, i w oszołomieniu był, to było jakieś takie... coś nienormalnego dla nas... Wiedzieliśmy, że coś się dzieje tutaj - i między nami, i wkoło nas...Wszyscy byliśmy jak gdyby w szoku...

Skończyły się słowa roty, moment jeszcze takiego

wyczekiwania był...

Największe wrażenie zrobiło to, jak te biało-czerwone chorągwie wyskoczyły. Ja tylko obserwowałem...Akurat zaraz blisko mnie kamera stała, stałem przy trybunie, tak się złożyło, bo należałem do tych, którzy szli w pierwszych dwóch czwórkach, jak oni nazywali:"zapiewajły", którzy zaczynali - człowiek był młodszy, to śpiewał - którzy zaczynali słowa piosenki. Kamera filmowa z jednej, z drugiej strony.

Myśmy nawet nie wiedzieli... dosłownie: gdyby mnie ktoś zapytał - mimo, że ja widziałem całą tę trybunę - kto tam był?... Tylko jedno widziałem: że dopóki myśmy nie skończyli, to oni salutowali.

Moment takiej ciszy po odśpiewaniu, i później komendy, nienaturalne takie, jak to się nieraz na filmach widzi, jak Niemcy jakieś łapanki, takie nerwowe komendy:"*Krugom, krugom!*", w tył zwrot, w tył zwrot, poszczególnymi kompaniami, batalionami - i nie do koszar, tylko na poligon.

Na poligon nas wyprowadzono, grupy potworzono z kompanii, z batalionów. Żadnych ćwiczeń nie było. Pod wieczór z powrotem zaprowadzono nas do koszar. Na drugi dzień nigdzie nas nie wyprowadzają, tylko w koszarach. Koszary drutem były otoczone.

Nie komentowaliśmy tego. Każdy jakoś w sobie, na swój sposób. Tutaj już takie wypadki się toczyły... Widać było w każdym razie jakieś przygnębienie, nie komentowano... Dodatkowo przyjechało sporo oficerów sowieckich, z którymi nie mieliśmy do czynienia podczas szkoleń i widzieliśmy, że jesteśmy bez przerwy pod obstrzałem: żadnych grupek, żadnych

rozmów nie było. Oni byli wciąż między nami, gdzieś chodził ktoś bez przerwy, pod obserwacją byliśmy. I na co zwróciliśmy uwagę – koszary normalnie zawsze były strzeżone, były *wyszki* wartownicze, ale później jeszcze były na zewnątrz dodatkowe warty pilnujące w koszarach. Ale o tym, że mogą nas pacyfikować, nikt specjalnie nie myślał.

Ja osobiście zobojętniały byłem na wszystko.

To trwało dwa dni. Trzeciego dnia do koszar przyjechały samochody, przywieziono masę starej odzieży, też wojskowej, starej, jak tylko sobie można wyobrazić. To wszystko, co mieliśmy na sobie, zdjęliśmy z siebie, zabrano nam to, założyliśmy te stare łachy... W nocy doprowadzono nas do stacji kolejowej, na wagony i odwieziono pod **Moskwę** do miejscowości *Sriedniaki* /**Średniaki**/.

To już były lasy. Na stację przyjechaliśmy, ze stacji wyprowadzono nas na olbrzymią polanę, razem z nami narzędzia: piły, siekiery, łopaty i inne takie rzeczy. Pokazano nam, że tutaj na tej polanie kopcie sobie *ziemlanki*, pod ich nadzorem, bo nikt nie wiedział, jak się do tego zabierać, pokazano nam, jak to się robi, wykopaliśmy doły, ziemię wyrzuconą z powrotem na dach..."Tu będziecie mieszkać, żyć i pracować". To była **jesień 1944 roku.**

I tak przezimowaliśmy całą zimę.

Wówczas naczelnikiem kombinatu norylskiego był generał-major **Paniukow.** On był ostatni, bo bodajże przed nim był **Zwieriew;** czy oni razem mieli tę funkcję? W każdym razie panami życia i śmierci w Norylsku był generał Zwieriew i Paniukow.

Takie wersje chodziły, że syn postrzelił ojca, czyli tego generała Paniukowa.

Ze **Żdanowem** ja spotykałem się jeszcze w 15 *Łag-otdieleniu*. On często się do mnie zwracał. To był człowiek naprawdę... i oddany sprawie... To był jeden z tych głównych z tego sztobu buntu. I jeszcze przed buntem, kiedy ja przyjeżdżałem z chwoją, to on się ze mną kontaktował. Początkowo sprawy błahe, starał się mnie wybadać: czy mam możliwość herbaty jemy przywieźć, bo to były rarytasy tam. Ja mu często przywoziłem. I później po jednej z takich rozmów on mówi, że jeżeli ja gdzieś tam będę i będą brygady pracowały w *Gorstroju*, to on przygotował odpowiednie..."Postaraj się, mówi, jak będziesz gdzieś przechodzić czy przejeżdżać - podrzucić to...". Pisemka jakieś tam były. Już coś się przygotowywało. I ja często to robiłem. Co było w tych pisemkach, to ja już tego nie kontrolowałem. Mówił mi:"To są bardzo ważne rzeczy i staraj się, żeby nie wpadły w niepowołane ręce. Jeżeli gdzieś będziesz, to podrzuć to...". Bo tam nie było takich kontaktów między obozami.

I tak było kilka razy, nabrał do mnie zaufania, pytał mnie się, czy to zostało zrobione, względnie zdawałem sobie sprawę, jakie to ma znaczenie. Kiedyś mi powiedział:"To są sprawy bardzo ważne, kiedyś będziemy wszyscy z tego korzystać".

Nie miałem tego podrzucić w jakieś konkretne miejsce. Sądziłem, że to były jakieś ogólne powiadomienia - tam, gdzie pracują brygady. Było mi to bardzo łatwo zrobić, bo wzdłuż całej tej 12-14 kilometrowej trasy na Walok tam bez przerwy

brygada przy brygadzie... Odśnieżanie, rury były ocieplane, wszelkie uszkodzenia..."Gdzie możesz, to.... Postaraj się robić tak, żeby to było w zasięgu wzroku, a w wypadku czego, to nie ty...". To było niewielkie, jakiś karteluszek zapisany, odpowiednio obciążony...

Żdanow był w stopniu pułkownika. W obozach: życie środowiskowe, ci oficerowie starali się jakoś między sobą trzymać, tworzyć grupy, wspomagali się... I on tam cieszył się bardzo dużym szacunkiem.

Obozy były obłożone planem i za niewykonanie planu naczelnik obozu mógł mieć nieprzyjemności. A naczelnikiem tego obozu był bardzo przyjemny gość, **Krokodinow** chyba jego nazwisko. On najpierw był naczelnikiem 10 *Łag-otdielenia*, przyszedł na 15-tą. U nich była bez przerwy rotacja, zmiana. Żeby ktoś na jednym stanowisku za długo nie siedział. I Żdanow cieszył się takim szacunkiem wśród więźniów, że gdy były jakieś zagrożenia,cokolwiek, jakieś niewykonanie planu - że to groziło temu naczelnikowi obozu jakimiś przykrymi konsekwencjami, to on był wzywany i żeby on przez swój autorytet, przez wpływ na brygadzistów...żeby ten plan podciągnąć. Bardzo, bardzo znana postać.

On uczestniczył w buncie. Co się później z nim stało, to ja już nie wiem. Bo po uśmierzeniu tego buntu, po tych wszystkich sprawach - oni tym ludziom nie popuścili, ich wszystkich potem wyłapywano... On był w tej grupie, która przemawiała w czasie buntu.

To było w roku 1950-1951. Zatrudniono grupę Niemców do budowy czegoś na TEC-u. Ale oni powiedzieli, że zrobią to w

zamian za zwolnienie. Niewiele o tej sprawie wiem, tylko z wersji, jakie krążyły. Obiecano im to zwolnienie i nie dotrzymano słowa. I coś z tych obiektów, które oni budowali, zostało przez nich zniszczone. Ogłosili przez megafony, żeby opuścić to miejsce i wysadzili wszystko w powietrze. Co się z nimi stało - nie wiadomo. Trudno powiedzieć, czy zostali wywiezieni z Norylska, czy zostali. To wszystko było w ścisłej tajemnicy, jeżeli coś się działo, to było w tajemnicy. Ale ludzie... ktoś zawsze widział i gdzieś jedni drugim przekazali...

To był 1951 rok. Mieliśmy kontakt z tymi lotnikami na *Walkie*. Tam stało kilka samolotów, hudropłatowców, jak oni nazywali. Z lotnikami mieliśmy kontakty z tego tytułu, że w tym miejscu, gdzie ja miałem pierwszą swoją chatę, na tym występie skalnym, gdzie wypływała ta **rzeka Walok** /potok górski, ale potem już duża rzeka/, to było bardzo dobre miejsce na stawianie sieci. I kontaktowaliśmy się z nimi - sieci od nich otrzymywaliśmy i inne sprawy, które były potrzebne.

Jednego razu oni przy przeglądzie sieci - ja byłem blisko brzegu - oni krzyczą:"Przyjdźcie do nas wieczorem, mamy polską *kartinę 'Ciortowe uszczele'*", to mi się tak zapamiętało, jak to przetłumaczyć? - "piekielna przełęcz" czy coś takiego. Fabuła tego filmu o przemycaniu dzieł sztuki przez Karpaty, ale to już nieważne. I ja sobie pojechałem, pojechaliśmy we trójkę, a dwóch zostało w chacie. I zginęli tam. To była jakaś ucieczka z obozu, uciekinierzy sądzili może, że to *sekretnyj post*...

Powróciliśmy, to zastaliśmy ich już... Dwóch zginęło.

Błatnyje raczej nie organizowali ucieczek. Jeżeli organizowali ucieczki, to polityczni. Dla *błatnych* obóz to był drugi dom, świetnie się czuli, żyli kosztem innych, tak zwanych faszystów /inaczej wtedy nie nazywano więźniów politycznych/.

Słyszałem o tym, że zbuntowali się więźniowie estońscy, wojskowi. Nie wiem, czy oni byli w piątym *łag-otdieleniu*, czy gdzie... Spotkałem się na 15 *łag-otdieleniu* - to chyba był 1951 rok albo 1952 - że do tego 15 *łag-otdielenia* trafiła grupa Estończyków. Oni wyróżniali się i ubiorem, i jakoś tak... Mieli kontakty, paczki jakieś otrzymywali. Gdzieś oni byli w jednym obozie i potem ich wszystkich z tego obozu rozprowadzono po innych obozach, po kilkanaście osób. Bo wiem, że ci Estończycy do nas trafili w roku 1951 albo 1952. Może około 50 osób, nie więcej. Na skutek czego ich rozprowadzono - nie wiem. Oni znacznie wcześniej byli w Norylsku. To było środowisko ścisłe, do nich trudno było... Tam każdy był bardzo podejrzliwy, nikt za wylewny nie był, nikt o sobie za dużo nie mówił.

Podczas buntu zaczęto z obozów wyciągać obcokrajowców: Węgrzy, Czesi, Niemców było bardzo dużo. Wyznaczono im miejsce w *Gostroju*, tam był prowizoryczny obóz. W tym czasie ja byłem poza obrębem zony, byłem na *Walkie* w tym czasie. Ci więźniowie zbuntowani nie pozwolili na wychodzenie tym obcokrajowcom z obozów, bo uważali, że jak będą ich trzymać

jako zakładników, to nie będzie może jakichś mordów po buncie. Spodziewali się, że może jakieś ostrzelanie baraków będzie? Że skoro oni będą mieć tych ludzi jako zakładników, to będą oni dla nich jakąś tarczą.

Bunt był wcześniej przygotowany, wiem na podstawie rozmów, ja często z tym Żdanowem rozmawiałem i z innymi, jeden bardzo znany był, nie mogę sobie jego przypomnieć... To był Gruzin...Gruzini w hierarchii obozowej umieli siebie prowadzić, dużo znaczyli, dość wysoko byli w tej hierarchii.

Przed buntem jak najbardziej przewidywałem, że coś takiego może nastąpić... Już były niepokoje, było masę drobnych incydentów: odmowy pracy, jak gdyby strajki... Gdzieś brygady odmawiały pracy w kopalniach, trzymano ich po kilka dni w sztolniach, na wytrzymałość - bez wyżywienia... Bunt nie był zaskoczeniem. Po śmierci Stalina nastąpiło takie już... Ale jeszcze kiedy Stalin żył, to myśmy... Wystąpienia te nie powodowały akcji NKWD na większą skalę, ale w celu zastraszenia zawsze ktoś życiem zapłacił, z tym się nie liczono, jak pięć, sześć, dziesięć osób zginęło, to z tym się nie liczono. Żeby pokazać, jaką cenę się za to płaci.

Wiem, że bardzo dobrze organizacje pracowały. Że już to *podpolie*, podziemie obozowe pracowało dobrze. To było ściśle zakonspirowane. Przecież każdy sobie zdawał sprawę, że tam nie było jakichś sądów, że pod najmniejszym pretekstem tracił życie i nie ma... I nie wnikał w to, kto to zrobił i w jakim celu...

Jeszcze przed śmiercią Stalina było bardzo dużo wyroków na szpicli. Wówczas już opanowano ten terror tak zwanej *szpany* -

blatnych i innych. Że oni już wówczas niewiele mieli do powiedzenia. Przecież ci, którzy najciężej pracowali, ci *czarnorabocije*, którzy ciężko na swój kawałek chleba pracowali, ponadto nie zawsze mogli z tego skorzystać, bo byli terroryzowani przez tych złodziei i innych. Nawet w kopalniach było tak, że tamci sobie siedzieli, a inni musieli na nich pracować. A ogólny wysiłek brygady się liczył - czy brygada wykonała plan. I już przed śmiercią Stalina to zjawisko całkowicie było wyeliminowane. Przestali istnieć ci *blatnyje*. Gdziekolwiek były jeszcze takie wypadki - bardzo szybko ginął i nikt nie dociekał, *naczalstwo* obozowe też nie, bo oni też wiedzieli, że to jest plaga, im to nawet było na rękę.

Już później był inny stosunek do więźniów, już nie nadużywano - bo dawniej "*faszist*" to było nagminnie zwracanie się - to już zanikało. Okazało się, że jest jakaś inna sytuacja, że coś, coś... Przecież docierało to, co się wówczas w Rosji działo, te sprawy...

W obozach, żeby ktoś posługiwał się radiem, to nie do pomyślenia, takich nie było. Jeden ogólny radiowęzeł i komunikaty. Ale do pracy w kopalniach część przychodziła już z Norylska tych wolnych osiedleńców, i jakieś wiadomości docierały, co się dzieje w świecie.

Zorze polarne zaczynały się w zimie. Nasilenie - styczeń, luty, wtedy były najsilniejsze. Dla mnie osobiście to nic to dobrego nie zwiastowało, bo to świadczyło, że idą silne mrozy. Ani się tym człowiek specjalnie nie zachwycał - jest zorza polarna, to trzeba wziąć sanki, paliwa trochę więcej

przyciągnąć, oporządzić przerębel, skąd się wodę brało - to było bardzo ważne, bo głęboko lód przemarzał i były trudności z braniem wody. Zawsze sobie kojarzyłem na 1 Maja, jak niesiono szturmówki z delikatnego materiału, przewiewne /nigdy nie dałem namówić się na pochód pierwszomajowy, miałem z tego powodu nieprzyjemności w pracy/ i dopiero jak widziałem te szturmówki - to jak zorza polarna, jakby delikatne matariały w delikatnych, pastelowych kolorach po niebie przeciągać. To niebo grało...

Nieraz zastanawiałem się - na północy nie było żadnych burz, żadnych wyładowań atmosferycznych.

Do tych lat o elektrowniach atomowych w Norylsku nie wiem.

Za Norylskiem budował się nowy Norylsk, jak oni jego nazwali?... Zapomniałem. Budowano za Mied-zawodem, na południe. Oni to tak sprytnie, że jak coś już było *zasekretczonego*, to już ci ludzie nie mieli kontaktu z innymi. Tylko wiedzieliśmy, że za Norylskiem buduje się inne osiedla. Ale związane z czymś... Wersje chodziły, że tam odkryli jakieś kopalnie rudy uranowej... Z tamtym miejscem nie było absolutnie żadnej komunikacji.

Burgorodok był za Miedwieżką, na skraju. O co chodziło - czy kopalnia *Rorstroj* ma się rozbudowywać, czy jest sens dalej ciągnąć to, czy dalej będą też takie bogate pokłady.

Wszystkie obozy były strzeżone jednym olbrzymim kordonem - *otcieplenie*m, ale każdy obóz oddzielnie również był strzeżony.

Konwój - skąd oni dobierali tych ludzi?... Był tak bezwzględny, do lat 50-tych. Później przysyłano młodych konwojentów, oni bardziej byli.. więcej ludzkich odruchów. Bo ci pierwsi, do roku 50-tego - myśmy się zastanawiali, gdzie ich hodują, tak bezwzględni byli. Było wówczas przyjęte: za zastrzelenie więźnia 3 dni wolnego dostawał. Powody... Robili takie rzeczy: potrzebował te 3 dni na swój sposób wykorzystać - zastrzelił, przesunął tę *wireczkę*, tę *zapret-zonę*, żeby miał uzasadnienie, na podstawie czego on go zastrzelił.

Już po roku 1950 niewiele było takich przypadków. Później nieraz byłem świadkiem takich rzeczy, że powraca brygada z pracy, idą przez Norylsk w czasie *purgi*, a w środku pomagają tym wartownikom, prowadzą ich w środku. Ci młodzi chłopcy nieprzyzwyczajeni... Wisi mu na szyi pepeszka, prowadzą go więźniowie... Stąd też taki był stosunek tych konwojentów do więźniów.

Siedziało nas trzech: dwóch Rosjan, między innymi ten **Wiktor Borisienkow.** Troszeczkę mieliśmy takiej *bragi*, bo otrzymywaliśmy w miejsce chleba żytnią mąkę i myśmy z tego robili jakiś zacier. To sfermentowało i jak człowiek trochę tego wypił, to pijaniał. I wówczas tej *bragi* dość sporo wypiliśmy sobie i w trakcie takich rozmów - maleńka chatynka, bo to nie u mnie było w chacie, tylko u jednego Rosjanina, z jakieś 6-7 kilometrów od nas, to bardzo blisko, to się inaczej liczyło. Bo chodziliśmy wtedy na białe lisy. Za skórkę można było dostać trochę żywności, trochę prochu. Mnie oficjalnie nie wolno było tego robić, ale to załatwiał ten

Borisienkow. I wówczas tej *bragi* popiliśmy - a w tej chacie zimą to zawsze taki półmrok był; czym się rozświetlało: takimi *kopciurkami* - trochę rybiego tłuszczu, wygniatanego z ryby, to tak kopciło... I nie wiem, skąd to się we mnie wzięło... Nieraz taka chandra... W trakcie tego, pomimo, że w towarzystwie siedziałem, ja sobie wziąłem dwururkę między nogi, oni między sobą rozmawiają, naprzeciw siedzę, oni zajęci rozmową, trochę odurzeni tą *bragą*. Dwoma palcami zobaczyłem, czy obydwa naboje są, zamknąłem i tak bezmyślnie, tylko o jednym myślałem: gdzie lepiej podstawić lufę, żeby nie szyją wyleciało, ale czubkiem głowy. I tak sobie reguluję, reguluję...To teraz najodpowiedniejsze miejsce... Pociągnąłem po spuście. I wie pan, trudno w to uwierzyć, ale to jest fakt - usłyszałem trzask, niewypał. Zdarzało się, wiele zdarzało się takich niewypałów. i ja drugi raz znowuż łamię tę fuzję, napiąłem i w sufit wypuściłem. I z tej samej fuzji - poleciało.

On do mnie zaraz podskoczył, bo nawet nie widział, że ja tam manipuluję."Tu ludzie siedzą, a on *budiet strielat!*". I ten moment taki... Nie wiem - jakaś taka chwilowa depresja, coś... I to już było w roku 1952.

W tej strefie klimatycznej białych niedźwiedzi jeszcze nie ma. Był specjalny gatunek - niedźwiedzie miały białe podbrzusza, czy to jakaś mieszanka była, nie wiem. Te niedźwiedzie się często widziało.

Ja nie polowałem na niedźwiedzie, tylko jeden raz, tego niedźwiedzia z Bierłogi, ale to była stara, wyniszczona niedźwiedzica. I ona stała wypchana w muzeum norylskim z

tabliczką, że z tym i tym dniu ustrzelona na przedmieściach Norylska przez młodego komsomolca Wiktora Borisienkowa. A on tyle miał wspólnego... Później przeklinał:"Wszyscy się ze mnie teraz śmieją w Norylsku, żadna dziewczyna nie chce ze mną chodzić, "komsomolec"...". Tam też były ścierania się... że komsomolec...jeżeli ktoś był w partii... Przed tą swoją Galką, z którą chodził, zrehabilitował się tym niedźwiedziem. A ja zawsze się podśmiewałem:"Zobaczysz, Galka sama do ciebie będzie wybiegała, jak zobaczy, że ty ciągniesz sobie na *nartoczkach /nartoczki* to takie płozy zrobione z nart/ niedźwiedzia." No i potem to się wszystko ziściło - ulicą Sewastopolską sobie ciągnął "swojego" niedźwiedzia...

Kiedy ogłoszono śmierć Stalina - to było przed ósmym marca, bo były komunikaty, żeby nie świętować 8 Marca, bo wie pan - każda data była dobrą okazją, żeby sobie... Rosjanie nie przepuszczali, pili... Ale 8 Marca tak świętowali, że chyba od okresu rewolucji, od okresu, jak powstało to święto to tak nie świętowali! - pod pretekstem Dnia Kobiet. I wszędzie słyszało się śpiewy, specjalnie jeździły milicyjne karetki - gdzie za wesoło było, to zwijano tych gości i zabierano.

Ja idę ulicą i idzie dziewczyna, mogła mieć 14-15 lat i płacze, płacze!... I idzie taka grupka dwóch, trzech czy czterech podpitych:"*Gdzie ty... suka taka riedajesz?! Radowatsa nada! Jebat jewo, takowo....*". Takie były reakcje ludzi. Wierzyli, że coś się zmieni, że coś będzie...

To było wśród wolnych, nie w obozach - bo w obozach była pewnie cicha, utajona nadzieja, że coś się zmieni.

Pewnej zimy w Dudzince musiała zostać na zimę cała flotylla statków rybackich - statek-baza i statki pomocnicze.

Bardzo ciekawe, jak kiedyś stado wielorybów wpłynęło w Jenisiej aż w okolice Dudzinki, przeszły Dudzinkę idąc pod prąd do źródeł Jenisieju. Ale za Dudzinką- i to ciekawostka - po brzegach Jenisieju są położone osiedla rybackie. I wówczas te osiedla wypełniły plan na kilka lat do przodu! Tak olbrzymie połowy ryb były! Czy to było spowodowane wypłoszeniem tych ryb przez te buszujące wieloryby?... Wielorybów nie łowiono. To zjawisko mogło być związane z tym, że pojawiły się te wieloryby. One popłynęły gdzieś za Dudzinkę i z powrotem, zawróciły.

Ja to pamiętam, komunikaty były radiowe, które docierały nawet do Norylska, że kołchozy położone nad brzegami Jenisieju wypełniły plan na kilka lat do przodu...Że obfite były połowy nelby, maksuna, moczykora... To są olbrzymie okazy tych ryb. szukałem nawet kiedyś w encyklopedii polskich odpowiedników tych ryb, ale nie znalazłem. Nelby myśmy łowili w Noryłce. Ryba nie drapieżna, ale dużych rozmiarów. Mnie przychodziło wyciągać taki okaz, do 40 kilogramów, duży już opór stawia, ciężko ją sieciami wyciągnąć.

To byli już ludzie o innej mentalności. Ja bym go pociągnął, kim by on nie był, pomógłbym mu. też bym powiedział:"*Mat twoju job pieriejom...*", jak to oni mówili, ale pomógłbym. Oni nie. Oczywiście on tam zamarzł.

/patrz: na końcu relacji - T.G./

Bardzo często zdarzający się wypadek na ulicach Norylska - idzie oficer: charakterystyczny biały kożuszek, czapa, *burećki*, czyli wojłokowe buty, ale jeszcze pięknie skórą obszyte, wyposażony we wszystko potrzebne w tym klimacie - i jak naprzeciw szła grupka dwóch-trzech, to on już łapał za kaburę, wyciągał pistolet i nie szedł naprzeciw nich, tylko kazał siebie obejść, ominąć w odległości kilku metrów. To było normalne zjawisko. To sumienie było też czymś obciążone... że nie wiedział, kto idzie naprzeciw.

O rosomaku opowiadał mi jeden Rosjanin. Obok mnie mieszkał, zwolniony już, wiekowy człowiek. Z tundry się utrzymywał, z tego żył...Mówił:"No nie wiem co... zobaczyłem go... rosomak ma to do siebie, że nawet jak coś upoluje, czy renifera, czy coś, to jak nie zeżre, to nie pozostawi tego, tylko rozćwiartuje i sobie pozawiesza na sęczkach *suchostojów*. Bo tam w tundrze bardzo dużo jest takich *suchostojów*. To jest drzewo martwe, ale tak wysuszone, że jak uderzysz w nie, to dzwoni jak stal! I co ciekawe - rosomak sobie tylko na tych *suchostojach* zawiesza! I ma taki zapas.

I on mi mówi:"Idę sobie kiedyś i widzę, że coś wisi. Jakąś żerdź wziąłem i zobaczyłem niedaleko tego rosomaka... I co mnie podkusiło, żeby strzelić?...". I później jak on tak samotnie się włóczył po tundrze, i mówił:"...czy ognisko gdzieś rozpaliłem, czy coś - spać spokojnie nie mogłem, bo wiedziałem... i zimą również, to trwało kilka miesięcy...". Zawsze ten rosomak gdzieś za nim...Ten raniony, bo z innym on sobie tego nie kojarzył, tylko z tym ranionym.

Tego **Pietrowa Cyngę** zabito później, i to zabił go jakiś zwykły *robotiaga*, zwykły robotnik z kopalni, miał widocznie z nim na pieńku, nie spodziewał się, on jego uderzył zaostrzonym... To był dwukrotny bohater Związku Radzieckiego. To było tak komentowane.... To było dla wszystkich takie - że jak to, jak on sobie pozwolił... że zwykły *robotiaga* i zabił. No, czasami tak bywa - ocean przepłyniesz, a w kałuży... Z takimi sławami sobie radził, a tutaj...

Jak ja przyjeżdżałem, to Cynga jak mnie zobaczył, zwracał się do mnie, żeby jemu przywieźć herbaty. Wówczas w Norylsku można było coś niecoś kupić w sklepach, bo trzeba przyznać, że w okresie nawigacji to sklepy tam były dobrze zaopatrzone. Cokolwiek z takich produktów nie psujących się, to ci Norylczanie robili zapasy.To jeszcze u nas niedawno żona oddawała, kto miał kury, bo ja lubiłem chleb suszyć...

On mnie tylko prosił o herbatę, żeby jemu dostarczać herbaty. A oni pili tak zwany *czyfir*. Tyle herbaty nasypał, ile naczynie mieściło, zalał wrzątkiem i ten narkotyk oni pili. *Czyfir* był tak ogólnie przyjęty.

Wymówić mu się też nie można było, bo cholera wie... oni nad wszystkim tam mieli pieczę... W takim obozie mieścił się na przykład cech krawiecki, gdzie reperowali odzież, walonki podszywali. Nieraz człowiekowi było coś potrzebne - on wszystko przyniósł, załatwił. Ale jeżeli on czegoś potrzebował, to też trzeba było się z tego wywiązać.

Najgorszym było dla mnie - ale i na to szedłem - jak prosili, żeby spirytus przywiózł.

Cynga nie należał do organizacji - to był już raczej inny

element, inny świat. To był świat przestępczy. I ci polityczni też nie chcieli mieć z nim nic wspólnego.

Błatnyje tworzyli swój odrębny świat. Jaki dziwny... Jakich przedziwnych zwrotów używali... Dwóch błatnych jak rozmawiało, to trudno ich było zrozumieć.

Był też **Cygan**, ja jego nazwisko znam: **Kostia Krasnopiorow**. Był takiej solidnej budowy ciała, *błatnoj*, wkoło siebie też miał odpowiednią falangę. On był ostatnio w 15 *łag-otdieleniu*. Ale on był z pochodzenia Cyganem, to nie był pseudonim, *kliczka*. Zastrzelili tego Cygana, i to krótko przed buntem. Pamiętam, bo to szerokim echem się odbiło. Zastrzelił go wartownik, i to też było komentowane w ten sposób, że najpierw miał na niego ten wartownik... Czasami między tymi wartownikami a pracującymi też wytwarzały się utarczki słowne czy coś... I on już na niego "miał oko". No i kiedyś ten Cygan gdzieś za blisko podszedł - ale jeszcze był w tej chronionej strefie - i ten do niego palnął, pojechał po nim w automatu, przełożył później *zapretkę*... Potem niektórzy zeznawali, bo w obozach byli sędziowie śledczy, tzw. *oper upełnomoczny*. Wzywano niektórych:"jak tam było", i mówili, zeznawali. Wartownikowi nic nie było, najwyżej gdzieś, żeby nie robiono, to przesunięto go do innego obozu i skończyło się, wszystko było w porządku.

* * *

Pan Marian Dobrowolski nie wyraził zgody na nagrywanie pewnych fragmentów swojej relacji. Poniższy tekst jest spisany z pamięci. Nie może być udostępniany ani publikowany.

- "Okolice BOF-u były najbardziej tajemniczym terenem. Nikt nie wiedział, co tam jest i po co".
- "Zawsze się zastanawiałem, po co wyprowadzają ludzi w tundrę do pracy. Przecież tam ani cegły, ani budowy..."
- "Jeden ksiądz spowiadał za kromkę chleba. Trzeba się było podzielić. Byłem u niego po powrocie do Polski" /prawdopodobnie chodzi tu o księdza Października. P. Dobrowolski nie chciał ujawnić nazwiska - przyp. T.G./
- "Byli i tacy w Kałudze, którzy donosili. Jednego trzeba było... Odbył się sąd i w łaźni został powieszony, to znaczy powiesił się sam, zmusiliśmy go. NKWD chodziło o to, żeby dowiedzieć się, kto dowodził w Puszczy Rudnickiej. Przecież tam były zatargi z partyzantką radziecką, zbrojne utarczki, grochem do siebie nie strzelali..."
- "Teraz niedawno śnił mi się rosomak, że ciągnie mnie gdzieś, a ja jestem taki bezwładny...Wrzeszczałem, żona mnie obudziła..."
- "Dużo jest jeszcze rzeczy... ale lepiej zostawmy...jeszcze kiedyś się spotkamy, porozmawiamy...bo wie pan, oni są jeszcze mocni...gdybym ja był sam. Ale ja mam rodzinę..."
- "Idę kiedyś ścieżką, wracam do swojej chaty, i idzie za mną kilku Rosjan. Nagle widzę - w śniegu noga sterczy czy ręka. Ktoś w białym kożuchu. Odwracam go na plecy - śpi, pijany do

nieprzytomności. I wtedy ci Rosjanie podchodzą:"Aaa, to ten, *job jemu mat*, ty wiesz, co to za sukinsyn?!...Zostaw go, niech zdycha sukinsyn...". I jeden nogą mu jeszcze na twarz... To byli już ludzie o innej mentalności. Ja bym go pociągnął, kim by on nie był, pomógłbym mu, też bym powiedział:"*Mat twoju job pieriejom...*", jak to oni mówili, ale pomógłbym. Oni nie. Oczywiście on tam zamarzł.

- "Obcinam sobie kiedyś, już tu, w Polsce, paznokcie i tak się zastanawiam: czy ja tam paznokci nie obcinałem? Nie, nie obcinałem, to jak to mogło być, przecież to rośnie... Ale nie obcinałem paznokci... Jak to człowiek mógł tak żyć, jak zwierzę...".

* * *

F R A G M E N T Y

relacji p. **Mariana Dobrowolskiego**

wypowiedziane podczas nagrywania relacji p.Jerzego Mrozowskiego, zebrane w całość

wersja oryginalna, bez poprawek

Numerowano: litera A - pierwszy tysiąc, i tak dalej, żeby nie budzić dużymi cyframi jakiegoś zainteresowania.

Pożarnicy to byli szpicle i donosiciele. Niektórzy z tych pożarników byli skazywani przez sądy obozowe, nawet na karę śmierci, i byli powieszeni. Tak było w **obozie piętnastym** i w **obozie na Miedwieżce**. Organizacja: magazyny żywności były obstawione przez więźniów, żeby nie było rozkradania, idealnie wszystkim wydzielano. W każdym obozie był magazyn, który ze względu na warunki zimowe - że nie było dojazdu - miał przynajmniej na miesiąc żywności. To były magazyny wewnątrzobozowe, trochę oddzielone, odgrodzone drutami od obozu, ale były w zasięgu. Kiedy się zaczął bunt, przyjechała pierwsza delegacja z Krasnojarskiego Kraju. Bo naczelnicy w dbałości o własną skórę chcieli ten bunt własnymi siłami zdławić, żeby się to dalej nie rozprzestrzeniało. Bo to im chwały nie przynosiło. Ale skoro to już przeniosło się na szereg innych obozów, nie byli w stanie i została powiadomiona o tym Moskwa. Bo przedstawiciele komitetu obozowego żądali wyłącznie przedstawicieli z Moskwy. Kiedy przyjechała pierwsza komisja, na czele której stał bodajże generał Zwieriew, to i z nim nie chciano rozmawiać. Powiedziano mu:"Ty masz spaprane ręce po łokcie w ruskiej krwi. Z tobą *razgawariwat nie budiem*". W

następstwie tego przyjechała delegacja z Moskwy.

O co tam bardzo dbano... Wszystko było stemplowane:NKWD, NKWD. Później, przed wyjazdem zaczęto dbać o to, żeby nic nie było steplowanego. Kilkakrotnie rozbierano i sprawdzano, czy nic stemplowanego nie zostało.

Ale oni do tego przygotowywali wewnętrzną służbę złożoną z więźniów. Oni od tego ręce umywali, ale stwarzali takie warunki, żeby się wyżywali ci z wewnętrznej służby. Bo jeżeli on się nie wyżywał, to nie pełnił tej obozowej funkcji. Ci *nariadczycy* i inni.

Wolni o wszystkim wiedzieli z tego względu, że ustało życie w Norylsku. Oni przychodzili pod obozy z żywnością, tylko ich nie dopuszczano.

W Gorstroju, za jeziorem, gdzie budowano domy, rzecz polegała na tym, żeby więźniowie nie przychodzili do obozu, żeby byli na miejscu pracy. A takich wewnętrznych, wydzielonych miejsc pracy było w Norylsku bardzo dużo. Tam im nie dostarczano żywności, tylko głodem brano. Po kilku dniach oni byli I potem przeciwdziałano solidaryzowaniu się tych Norylczan, którzy mieszkali poza obozem, którzy dostarczali ze swojej strony żywność. Władze na to bardzo energicznie reagowały, nie pozwalali na to, po prostu strzelali. Ale kiedy budowano ten Gorstroj, to budowano zespół budynków (pojedynczo nie budowali), a w połowie już były domy mieszkalne, zamieszkałe przez ludzi. I z tych domów mieszkalnych zrzucano żywność, na teren wydzielonych miejsc pracy, gdzie byli więźniowie.

Opozycja wewnętrzna organizowała się wcześniej.

Japończycy chętnie nawiązywali kontakty, bo byli bardzo

dobrze zorganizowani, ale nie z Rosjanami. Jeżeli wiedzieli, że ktoś jest Rosjaninem...

Oni tak wszędzie byli, robili niezbędne rzeczy w obozie, jakieś lekkie buty, coś zawsze zorganizowali, szyli. Ja też byłem z jednym Japończykiem zaprzyjaźniony. Ja przyjeżdżałem do tego obozu - on był chory, nie opuszczał baraku, nie mógł dostać cukru czy czegoś. Kiedyś jeden z tych Japończyków przyniósł mi takie lekkie buty, ładnie zrobione z jakichś pozostałości z rzemiennych pasów. I on mi napisał kartkę, że przez kolegę przesyła. Po rosyjsku, uczyli się języka rosyjskiego, dobrze mieli opanowany język rosyjski, nawet w piśmie. I co pisał - że prosi mnie, żeby dostarczyć jemu trochę cukru, bo jest bardzo chory. A podpisał się: *japoński major - pa ruski sabaka*. Takie charakterystyczne, jak oni odczuwali to odnoszenie się do nich.

Najbliższa droga ucieczki - przez Piasino i dalej. Po Jenisieju mowy nie ma.

Jest istotna sprawa, którą należałoby podkreślić - że to wszystko trwało w okresie niestabilizacji, pierwszej od czasu zakończenia wojny. Była wówczas u nich sprawa Berii, rozprzężenie, wszystko się mogło zdarzyć.

To było transmitowane przez radio, celowo, wszędzie stały głośniki, na stacjach, wszędzie, i mówiono, jak to się odbywało, że takiego i takiego... Jak oni zaczęli te wyroki, od rana mówili, krótko: *izmiennik rodiny, takoj, takoj, smiertnyj pridawor*, i za kilka sekund dosłownie powtarzają: "Wykonano", i następny, i następny. Były komunikaty, że to wszystko opanowała grupa wrogów narodu, chcieli jakoś to załagodzić. Ale to były pierwsze niepokoje

po wojnie na większą skalę.

Wyleciałem pierwszą grupą z Norylska samolotem. Jak nas prowadzili pod konwojem w **Krasnojarsku** na lotnisko, nie wiadomo skąd znalazła się grupa młodych ludzi, i na konwojentów: "*Ciewoż wy, sabaki! Riebiata, dawaj na nich!*". I tych konwojentów rozbroili! I oni bez wystrzału oddali broń, ci, którzy nas pilnowali! Co się później stało, nie wiadomo.

Co ja tutaj podkreślam: u nich zaczęły się niepokoje. Stłumili je, my byliśmy tak izolowani, że nie mieliśmy informacji, co się dzieje na zewnątrz.

Był taki system: gdziekolwiek był region, że były jakieś niepokoje - przerywano dostawy żywności. Brano głodem po prostu, wolnych ludzi. My byliśmy więźniami. To była pierwsza broń u nich - głodem wziąć.

To należałoby właściwy sens pokazać, jak było w tych obozach, że na skutek warunków, jakie tam były, wybuchł bunt. Bo kto nie ma wyobrażenia o obozach, myślałby, że tam naprawdę tak wszystko przechodziło. Wskutek dużej śmiertelności, morderczej, głodowej pracy wybuchł bunt. Desperacja, ostateczność doprowadziła do tego buntu.

Ja w owym czasie byłem poza obozami.

Cały Norylsk był jednym olbrzymim obozem.

To były tzw.*zagrad-odrady*, specjalne jednostki "odcinające", *sekretne posty*. W miejscach, gdzie byłyby szanse ucieczki, były posterunki pilnujące. Nie wszędzie. Dlaczego Rosjanie mówią, że tundra *nieprechadimaja*? Latem błota, a zimą mróz, i nie ma co, bez pomocy zginiesz. I *zagrad-odrady*. Ludzie ci byli specjalnie premiowani. Za każdego pochwyconego więźnia, za dostarczoną - ja mówię

fakty, z całą odpowiedzialnością! - lewą dłoń byli premiowani. Tak jak w tej piosence: *Wtom nieczajno, nieżdano, niegadano*...niespodziewanie, byli zmęczeni, znaleźli coś, chcieli odpocząć, no i trafili na tą właśnie *zagrad-odradę*.

Oczywiście słyszałem o ucieczkach. Ale ucieczki jakie: dobrze zaopatrzeni w "konserwę", żywą, ludzką, tak było.

Ja się zaprzyjaźniłem - mam jego zdjęcie. listy, jeszcze niedawno list mi przysłał - **Borysem Dimitriewem.** Mój rówieśnik, miał wówczas też ze 20 lat. I jak człowiek odczuwa - bo w normalnych warunkach nie zdaje sobie z tego sprawy - widzisz z gór, że jakieś życie, widzisz tundrę zieloną, rzekę, widzisz, że jest jakieś inne życie... A tutaj, w tych kamieniach - bo na Miedwieżce same kamienie i mech, nic więcej! I codziennie głód, wykańczająca praca, że człowiek przychodził z pracy (to trudno dziś zrozumieć) i ani nie myślał o jakimś umyciu (świerzb i inne sprawy były na porządku dziennym), tylko rzucał się na te gołe deski, na nary i tak spał do następnego gongu. Jak przyszły te wiosenne, troszkę cieplejsze dni, wyszło słońce, to o niczym innym się nie myślało, tylko przewodnią myślą było:"żeby chociaż te kilka dni...". I ten kolega Borys Dimitriew namawiał mnie:"Chociaż te kilka dni, chociaż *niedieliu*, ale na swobodzie *budiem...A dalszie*...". Namawiał mnie do ucieczki.Jemu nie chodziło o to, co będzie dalej, jakie będą konsekwencje, co będzie - tylko żeby się z tego obozu wyrwać."Bo - mówi - i tak tutaj zginiemy, i tak, to chociaż *na swabodu nieskolko dni paźiwiom*". Tak to wyglądało.

Jeżeli złapano uciekinierów, to było obowiązkiem przywieźć ich na miejsce. Bo tu jest następna istotna sprawa - my tu

troszkę sielankowo mówimy o tym. Jeżeli uciekinierów złapano głęboko w tundrze (trudne jest konwojowanie takich więźniów, taki więzień wie, co go czeka i jest gotów na wszystko) to ci z *zagrad-odradów* raczej nie chcieli ryzykować... Ale jeżeli kogoś złapano i była możliwość dowieźć go, to stawiano go podpartego czymś przed wejściem do obozu i on tam kilka dni z odpowiednią tabliczką stał i patrzcie, takie są losy każdego, kto podejmuje ucieczkę. I na Miedwieżce to nie należało do rzadkości, że tacy podparci stali.

Tutaj mówimy, ale to nie jest to, czym był Norylsk. Dlatego, że nam się trochę w życiu... my nie byliśmy tak traktowani jak ogół, nas to szczęście trochę "podwiozło". Nawet z tej katastrofy lotniczej też się ktoś nieraz uratuje. Tak i my. Ale kto był na tych ogólnych robotach - to nie wyglądało tak.

[Podczas buntu] co chodziło - żeby stworzyć względnie ludzkie bytowanie. Bo z więźniów nikt nie otrzymywał żadnych listów. Ale i z tych wolnych, czy oni listy pisali? Miałem rodziny, u których bywałem w Norylsku, u tych *wolnonajomnych*, jak ich nazywali, czyli jakby ochotników. Mówiono, że przyjechali do Norylska ochotniczo za karę.

Ja po przyjeździe tutaj, po 2-3 latach pisałem do Norylska, do tych ludzi, z którymi byłem tam zaprzyjaźniony. Nigdy żadnej odpowiedzi nie dostałem.

[Naczelnicy obozów] to byli ludzie, do których więźniowie nic specjalnie nie mieli. Z 10-go *Łag-otdielenja* przypominam sobie, bo on mi przepustki stemplował, to był pułkownik **Serdajew.**

Za różnego rodzaju przewinienia trafiano do obozu

Kawargon. To był jeden z najcięższych obozów, jeden jedyny w Norylsku karny obóz. Nie miał numeru, po prostu Kawargon. Miał bardzo złą sławę. Bo wówczas nie było u nich kary śmierci.

Dlaczego panoszyła się ta *szpana*, w języku obozowym *szpana*, oni mówili ordynarniej *szobło-jobło*, to ci zsuczeni, błatnyje, ci, którzy nie chcieli pracować, tylko żyli kosztem więźniów, władza im powierzała funkcje, bo nigdy nikt z paragrafu 58 politycznego nie miał żadnej funkcji. My byliśmy dla nich "faszyści". Im chętnie powierzano funkcje, bo oni będą według własnych zasad trzymać wszystko w ryzach.

Ale począwszy od roku 1951 więźniowie zaczęli się organizować. Tam było bardzo dużo więźniów-wojskowych, nawet z wysokimi stopniami oficerskimi, i oni zaczęli to organizować. Zaczęło się podziemie.

Bo przecież było tak, że w okresie niedostarczania chleba w obozach panował głód. Na Miedwieżkę najtrudniej było się dostać, bo to były strome zbocza, podjazdy. Wszystko było zawiane śniegiem, a jakie zaspy tam się śniegu tworzyły, to jest nie do pojęcia.

Norylsk znajduje się w kotlinie, ale jest otoczony wiatrołomami. Na potężnych wkopanych słupach były deskami obite płaszczyzny, pod odpowiednim kątem nachylenia. Bo wiedziano, z której strony najczęściej ten wiatr atakuje. Bywało tak, że Norylsk był dosłownie zasypany śniegiem. Przecinano tylko "kanały", z wierzchu nakładano coś i dalej śnieg zasypywał, a pod spodem, w "kanale" była możliwość poruszania się. Wiatrołomy ukierunkowywały wiatr w okresie *purgi*. To był chyba północny wiatr. Od strony Miedwieżki

raczej ich nie było, bo był już masyw górski. Wiatrołomy miały za zadanie przeniesienie fali wiatru ze śniegiem. To były sprytne urządzenia, tak ze sobą poustawiane, że ochraniały Norylsk przed zasypaniem. Były dosyć wysokie, do 8 metrów wysokości.W miejscach niższych, gdzie były te korytarze śnieżne największe. Tam były najróżniejsze nazwy tych wąwozów, po których hulał wiatr. Przed podejściem do Miedwieżki były tak zwane "Wrota Śmierci". Kto się tam zimą oderwał...Były tam liny naciągane, a nawet było tak, że kiedy zaczynała atakować *purga* - tak, bo to był atak tej wściekłej zimy, tej *purgi* - to były te *śniegochody*, na gąsiennicach pojazdy. Śnieg był tak zbity, jak asfalt, on się nic nie uginał, tak go ubijał ten śnieg i mróz! Pojęcie śniegu - inny jest śnieg u nas i inny na dalekiej północy. U nas weźmiesz ten śnieg i możesz go lepić, bo ma dużą zawartość wilgoci. Tam są zmarznięte drobiny lodu. Wiatr i niskie temperatury tak zbijały ten śnieg, że był twardy jak asfalt. I kiedy *purga* atakowała, a brygady były na miejscu pracy, zwłaszcza w **Rorstroju**, w *Rudniku Otkrytych Rabot* - nie było możliwości powrotu do obozu. Wysyłano *śniegochody*, gdzie ludzie szli przed nimi i podawali kierowcom właściwą drogę, żeby się gdzieś nie stoczył z tej góry, bo też były takie wąwozy i zbocza. Przy tych pojazdach były porobione liny i pętelki, każdy trzymał za swoją pętlę i ten pojazd kierował się do obozu.

Kto się oderwał czy w czasie purgi zaginął, to nie było możliwości odnalezienia go, bo śnieg go zasypywał, żadnych śladów. Nikt go nie szukał. Normalną rzeczą było wiosną, że jak śnieg stopniowo taje, to tu gdzieś noga, tu gdzieś ręka,

tu kogoś znaleziono... No ale z drugiej strony taki zamarznięty też dostarcza komuś czegoś...Mówiłem o tych uszkach, które siostra dla gości przygotowała, a ja sobie przypomniałem inne "uszki", jak mnie poczęstowali Rosjanie...Dopiero później powiedzieli, co to jest.

Ale to były lata do 1949 , później już... Norylsk dostarczał rudę, dostarczał bogactwo, jakie posiadał. Każdy z naczelników obozów miał zadania do wykonania. A oni potrafili karać swoich ludzi za niewykonanie. Właśnie kosztem nieliczenia się i z tymi ludźmi osiągano takie wyniki, jakie zaplanowano na dany okres.

W Poćmie zaczęły krążyć wersje, że jeszcze możemy pozostać. Nasz wyjazd się odkładał. Codziennie pytaliśmy, kiedy odjedziemy, kiedy odjedziemy. Celem tego naszego pobytu tam było doprowadzić każdego do jakiegoś względnego wyglądu. Bo myśmy do siebie byli przyzwyczajeni, ale widocznie oni sądzili, że my jeszcze nie nadajemy się. A zobaczyliśmy, jaka jest różnica między tymi, którzy byli w obozie, bo kiedyś zwrócono się do nas latem, żebyśmy pomogli w sąsiednim kołchozie kopać kartofle. Bez ochrony, tak nas wzięli. To jednak widzieliśmy tę różnicę.

Nasz wygląd zewnętrzny jeszcze się nie kwalifikował. Tam było normalne wyżywienie, nie pracowaliśmy. Często były wizyty lekarzy, oni obserwowali, jaki jest postęp w naszym doprowadzaniu do normalnego wyglądu. Później zaczęliśmy organizować różne zawody sportowe.

Był z nami kolega, nazwisko **Mironowicz**, i on miał wytatuowane na lewym ręku:"Norylsk" i jakieś tam jeszcze, obóz, w którym był. To jego zabrano do Kujbyszewa i usunięto

tatuaż, potem z powrotem przywieziono. I dlatego jak niektórzy mówią, że jakieś dokumenty przywozili stamtąd. Niewiele jest chyba dokumentów z dalekiej północy.

Nawet obcując z tymi Rosjanami, z którymi raczej na korzystnej stopie byliśmy, oni też mówili:"Zapomnijcie, że wy kiedykolwiek do Polski powrócicie. Byliście świadkami spraw, jakie tutaj się działy". Bo troszeczkę jest w naszej rozmowie takiej sielanki, a codzienne życie tak nie wyglądało.

Okaleczanie się ludzi - masy było tak zwanych *samorubów*, sama nazwa mówi, co to znaczy. Przeciąć sobie stopę czy coś takiego to dla niego nic nie znaczyło, bo on wiedział, że już nie będzie wykorzystywany do jakiejś pełnowartościowej pracy gdzieś w kopalni, że będzie zatrudniony w obrębie obozu. Jak ten **Pisarkewicz**, obciął sobie rękę.

Ja to sobie kojarzę z **Kalininem**, bo przyjechała z Moskwy cała świta.

To obóz był poniemiecki, ale baraki były pożydowskie.

Kalendarz był obcym pojęciem. Nawet ja będąc tam zastanawiałem się: jest już Boże Narodzenie czy nie? No to chyba będzie już, obchodzimy.

Ucieczki z obozów tylko tym Tungusom się udawały. Bo gdzieś skontaktowali się, swoi czekali, na reniferach gdzieś...

Jaki jest po obozach nasz stosunek do ludzi, moje osobiste odczucie: nie zdajemy sobie sprawy, jakie to nasze życie, chociaż jest przykre, jak niektórzy mówią, ale w naszym odczuciu to żyjemy w raju. Bo zawsze się pamięta... Ile ludzie tracą czasu na różnego rodzaju błahe konflikty, bo

jakoś nie mieli do czynienia z czymś... Jak człowiek pragnął takie s p o k o j u ... Moim największym marzeniem jest - może kiedyś doczekam - żebym mógł sobie założyć koszulkę z krótkim rękawem, lekkie spodnie i wyjść gdzieś na ulicę popatrzeć na ludzi. Nic człowiek więcej nie chciał - tylko popatrzeć na ludzi, **być** między ludźmi. To było moje marzenie. I gdy teraz, nawet w domu żona robi z czegoś problem, kiedy były takie niedobory, "tego nie ma, pójdę w nocy stać"... Mówię: zastanów się, masz w domu kartofle? masz trochę oleju? Ty wiesz, jakie to bogactwo? A ty mówisz, że czegoś nie ma... Człowiek jak miał takie podstawowe rzeczy tylko, no to już czuł się... Wyjeżdżając z Norylska - i to mówili ludzie nie tacy sobie przeciętni, ludzie, którzy mogli mieć jakieś inne pretensje do życia, ze względu nawet na wykształcenie - to ja pamiętam słowa jednego, jak wyjeżdżałem:"Marian, niczego ci nie zadroszczę, tylko, że wreszcie się chleba najesz do syta".

Proszę sobie wyobrazić, że były takie okresy w Norylsku...To tutaj mówią, że są "trudności z dowiezieniem, że troszkę tam zasypało, zawiało". A tam, żeby dotarły konwoje z żywnością do Dudzinki, ile po drodze było: po jednej stronie obóz, po drugiej. Dlaczego takie było usytuowanie tych obozów - ponieważ zadaniem tych ludzi było odśnieżanie torów. Kiedy *purga* wiała, to się wszystko kończyło, żaden strażnik... Jak się zorganizowali, wychodzili przez druty poza zonę. Tam po śniegu jak po asfalcie, wychodzili, bo wiedzieli, że z Dudzinki będzie jakiś transport jechał. Nie było krytych wagonów, wożono na platformach. Śniegiem zawiało, oni tylko stawiali jakieś

pajaki, gdzie tam beczka z treską albo worek z mąką... Te obozy, pomimo, że srogiego reżimu, ale one dobrze się miały, bo wychodzili na taki rozbój.

Kawargon - oni nie mówili, że to karny obóz, **wychowawczy obóz**. Zsyłali tam na krótszy okres, przejściowy. Po pewnym czasie wracali stamtąd więźniowie do innych obozów.

Żona się na mnie nieraz denerwuje:"Cholera, dziadu, obiad ci przygotuje...". A co mi robi największe zadowolenie - śledziowe filety, bo tak człowiek do tego...I ugotuję sobie trzy-cztery ziemniaki w mundurach, lepiej mi smakują niż najlepszy obiad.

Po powrocie byłem jak w transie. Powiem taką śmieszną sprawę - tam, gdzie pracowałem była jak to zwykle portiernia. Ja szedłem sobie do pracy, tu obok idą znajomi (mówiono, że Dobrowolski jest nienormalny, ale to osobny temat), a ja sobie mierzyłem po płytach chodnikowych:"iść-nie iść-iść-nie iść". Jak płyta chodnikowa, która szła równolegle do portierni, wypadła na "nie iść", szedłem sobie prosto dalej i nie szedłem do pracy. Nie ma sprawy. Doszło to do uszu kierownika, do dyrektora... Nie wiem, nie mogłem się nasycić, że nikt za mną nie chodzi... Bez potrzeby, nie było potrzeby. Jeżdżenie - obojętne."Dzisiaj sobie pojadę do Torunia". Że ja mogę z nikim tego nie uzgadniać, mogę, sam jestem gospodarzem swego dnia. Żadnej trudności, jakie by nie były kłopoty, na dworcu przesiedziałem na ławce i nie czułem się zmęczony. Troszeczkę się na tym dworcu przespałem, poszedłem sobie na perony, bardzo to lubiłem, tych podróżnych, te wagony, można gdzieś pojechać... To mi sprawiało taką radość, że ja mogę sobie tak... i tak mi niewiele trzeba było. Naprawdę nie za

wiele tych pieniążków było, człowiek nie myślał, żeby gdzieś w hotelu - aaa, kupiłem sobie bułkę, herbatę...Tak było ze trzy lata. I taka nerwowość - ktoś podszedł, słowo powiedział, ten wyskok do góry! Mówiono u mnie w pracy: podchodzisz do Dobrowolskiego, to spokojnie mów albo najpierw uprzedź, że podchodzisz, bo ci zęby wybije, jak podskoczy. Nie! - wręcz odwrotnie, nikt nie był wrogiem! Człowiek jakoś to tak przeżywał...

Później sprawą było słownictwo. Tam w żargonie obozowym słowa takie jak "*ni w pizdu*" człowiek wszędzie włączał. I tu nieraz w rozmowie człowiek nie zdawał sobie sprawy, siedział za stołem i coś opowiadał... Trzeba było nad sobą panować.

Do trzech lat nie byłem sobą. Następna sprawa - jak ja wychodziłem na Piotrkowską, jak ja widziałem te sklepy (to był rok 1954, u nas było jeszcze względnie dobrze, nie było kartek) i na Narutowicza były sklepy prywatne. Najbardziej mnie rozśmieszało, że wisi jakaś kaczka oskubana, i ja mówię - myślałem kategoriami rosyjskimi jeszcze - przecież tu można całe życie nic nie robić, bo tu wszystko w zasięgu ręki jest! I jak miałem pieniądze, to zawsze coś kupowałem. Byłem uwrażliwiony - były te gęsi, przecież to 3 kilogramy! - to tak niedrogo mi się zdawało kupowałem... I przynosiłem te gęsi do domu. Rodzina mi nie zwracała na to uwagi, tylko jak znajomi byli, to jakoś przekładali to im, żeby wzięli. A mnie się zdawało, że to jest, a jutro już nie będzie. Na zapas, na zapas. Od czasu do czasu coś na mnie takiego przychodziło, nie mogłem spokojnie przejść, jak zobaczyłem na wystawie, musiałem iść i kupić. To nie było tanie, ale kupowałem. To trwało.

Musiałem jakąś pracę podjąć. Zapytałem, ile ja mogę zapracować. I jakimi ja kategoriami myślałem: czy ja mogę zapracować, żeby mi starczyło kupić pół kilo chleba dziennie, taki kosztorys robiłem: pół kilo chleba liczyłem 6.30, następnie litr oleju do tego - i tak się zastanawiałem: Boże, litr oleju, może to za dużo na miesiąc? Jak ja policzyłem, to pamiętam, wówczas pracując zarabiało się do tysiąca złotych, to chyba była duża pensja, jak ja sobie policzyłem to wszystko, na wyrost, to wyszło, że mi więcej jak połowa tych pieniędzy zostanie.

My tu mówimy o tych podstawowych rzeczach.

Prędzej mi ..... wyrośnie, aniżeli ty *w Polszu popadiosz*!

- *A job twoju mać* - po rosyjsku mówię.

Wybiegłem, do budki dochodzę, Dudzinka to jest kilka domów, reszta baraki, jeszcze takie to jest zapuszczone... Teraz to już pewnie działa administracja, wtedy jeszcze... To był 1951 rok, chyba tak. No i ja taki trochę załamany, może i trochę przestraszony - ten wybuch był taki... nie mogłem opanować tych słów, po prostu nie mogłem opanować... To ze mnie tak wyskoczyło, nie powiedziałem tego, ja z siebie to wyrzuciłem!

Sekretarka do mnie dobiegła, trochę zadyszana:

- *Pajdiotie, pajdiotie...*

Idziemy z powrotem. Ja mówię:

- Słuchaj, żeby on mnie w łeb tą popielnicą *zakataŁ*?

- *Niet, niet, on sawierszienno drugoj! Obizatielno, obizatielno...*

Idę drugi raz, już poza kolejnością, ona mnie za rękę

trzyma, sama zapukała, mnie przed sobą przepuściła i drzwi zamknęła i stoi. No i znowu:

- *Zdrastwujtie, graždanin prokuror* - bardzo ładnie, grzecznie, ja miałem to do siebie, że byłem bardzo szczupły na twarzy, zawsze Rosjanie mówili:"wyglądasz dziecinnie". Stanąłem.

- *Pažalsta, pažalsta...*

No to ja podszedłem, krzesło troszkę odsunąłem, on się uśmiechnął, podsunął paczkę papierosów. To był ten ichni wyższy sort, "Kazbeckie".

- *Zakuritie, pažalsta...*

- *Ja nie kuru.*

- *No zakuri, zakuri...*

- *Prastitie, ja nie kuriszczyj.*

No i on zupełnie z innej beczki, od czego on zaczyna:

- *Wy znajetie* - już nie mówi "ty"- *my w Warszawu balszoj kulturnyj dwariec stroimy.../*ja nie miałem pojęcia o tym "kulturnym dwarcu", o tym straszydle/... *my u was stroimy...*

Zupełnie z innej beczki, jakiś grzeczny, spokojny był!

- *No* - mówi - *znajesz, to, szto ja znaju, to wy skoro w Polszu popadiotie.*

On w te sprawy zupełnie nie wnika, jak ja przyjechałem do tej Dudzinki. Może on sobie spojarzył, że ja już jestem całkowicie zwolniony, że skoro miałem możliwość dotarcia do niego...

No i tak się stało, że chyba dwa lata później opuściłem Norylsk.

Konwojenci - tam wysyłano z poboru chłopców... Jeden mi powiedział:"Wam się skończy wyrok, a my - nie wiemy".

Pamiętam taki obrazek, jak prowadzą: u konwojenta wisi ta pepeszka na szyi...

Rumuni, z którymi rozmawiałem w Poćmie, to byli w większości oficerami rumuńskiej armii, którzy pod **Stalingradem** dostali się do niewoli.

O czym jeszcze chciałem powiedzieć: u nich tam były granice w e w n ę t r z n e. Przecież dostanie się od Krasnojarska do Norylska to było już nie do przejścia. Do jednego z panów - on często w mojej chacie był, on był wykładowcą na Akademii Wojskowej w Leningradzie, dostał 25 lat, ale później go zwolniono, był na wolnej stopie - żona chciała przyjechać i nie mogła tej granicy wewnętrznej pokonać. Pokonanie jej takie same trudności nastręczało, co pokonanie tej zewnętrznej granicy.

Kiedy wyjeżdżałem z Norylska, wziąłem dobrą wódę i poszedłem pożegnać się z panem **Suchanowskim**. A oni w Norylsku mieszkanka mieli takie ciupeczki! Bo jak najwięcej ludzi... Przecież tam bardzo drogie budownictwo było. Jak ja kiedyś komuś z budowlanych powiedziałem, że w Norylsku budowano przy 30-40 stopniowym mrozie:"Pan jest nienormalnym człowiekiem". To było strasznie kosztowne budownictwo!

Jestem u tego pana Suchanowskiego, popiliśmy sobie serdecznie, i co pożegnaliśmy się, pocałowaliśmy, to on:"*Sadis!*". Co jest? A on drugie drzwi otwiera, a całe jego mieszkanie było mniejsze chyba jak ten jeden pokój, drzwi otworzył, a tam córka jego spała i akurat gdzieś do połowy kocem czy kołdrą nakryta, a tu, jak to młoda dziewczyna, /miała chyba 17 lat/ - cały tyłek na wierzchu, różowy, apetyczny.

– *Smatri* – mówi – *kakaja żopa...*

Tacy byli też ludzie. Odpowiadało mu to, żebym został jego zięciem.

* * *

Wersja oryginalna, bez poprawek, nieautoryzowana.

R E L A C J A

pana **Mariana Dobrowolskiego**

nagrana 19.03.91 w Łodzi przez Tomasza Gleba

Jestem urodzony pod **Łodzią** na Wileńszczyźnie znalazłem się przypadkowo. Poruszę tu tylko pierwszą stronę, polsko-sowiecką, tutaj w Łodzi jaka była organizacja... Tak pompatycznie nazwana była Legion Wyzwolenia. To tworzyli młodzi harcerze, ale bardzo szybko rozszyfrowano wszystko, okazało się, że i Niemcy byli... Ci, z którymi razem chodziliśmy do szkoły. Bo tutaj kiedyś była szkoła, na ulicy Sędziowskiej, bardzo piękna szkoła, i co ciekawostka - pierwsze piętro zajmowali Niemcy, wyłącznie młodzież niemiecka się tam uczyła / to była szkoła podstawowa/, a wyższe , drugie, trzecie myśmy mieli. Kto wówczas dzielił: Polak czy Niemiec, kto o tych sprawach myślał?...Przecież z tego tytułu i koleżeństwa różne były i przyjaźnie. Okazało się, że w czasie okupacji, w 1939-40 zaczęły się i inne sprawy...

Zaczęła się wojna, miałem 14 lat, cóż, jeszcze dzieciak. Dzisiaj obserwując to pokolenie, widzimy więcej takiego... Wówczas ten okres bardziej człowieka czynił dojrzalszym i bardziej samodzielnym.

W roku 1944 byłem żołnierzem I Zgrupowania Wileńskiego Armii Krajowej. W lipcu 1944 roku w ramach akcji "Burza" byłem uczestnikiem operacji "Ostra Brama". Jak to wyglądało: z 6 na 7 lipca oddziały Armii Krajowej w sile - w mojej

ocenie - około 16-18 tysięcy w nocy zaatakowały **Wilno.** Walki przez całą noc toczyły się ze zmiennym szczęściem. Następnego dnia do walk włączyły się oddziały Armii Czerwonej zbliżającego się III Frontu Białoruskiego. 13 lipca Wilno zostało wyzwolone. Pierwsze stosunki z oddziałami Armii Czerwonej były jak najbardziej poprawne, wręcz przyjacielskie!... Inaczej nas nie nazywali, tylko *arty, arty*. Kilkakrotnie **generał Krzyżanowski**, już wówczas w stopniu generała, był zapraszany do Wilna do sztabu III Frontu Białoruskiego przez generała **Iwana Czerniachowskiego.** Ze swoim sztabem, skład ścisłego sztabu zapamiętałem, sławni, z cichociemnych: pułkownik **Ludwik...** Po jednym z takich przyjazdów rozeszła się fama wśród oddziałów, że Rosjanie wyrazili zgodę na utworzenie się dwóch dywizji polskich. oni oczywista zaopatrzą w broń ciężką i będziemy, jak to mówią Ruscy:*plecio w plecio*, to znaczy ramię w ramię szli aż do Berlina. Cóż więcej do szczęścia potrzeba?...Euforia po prostu...Rosjanie odwiedzali nas na biwakach, byliśmy często zapraszani do sowieckich oddziałów.

Tak było do 17 lipca. Wypadki bardzo szybko toczyły się. 17 lipca generał Krzyżanowski został zaproszony do Wilna. Sztab Krzyżanowskiego mieścił się wówczas w miejscowości **Wołkorabiszki.** Przyjechali rano oficerowie radzieccy po generała Krzyżanowskiego i razem odjechali do Wilna. A na ten dzień - to już wcześniej było ustalone - na godzinę 17 / 17 lipca godzina 17, dlatego ta data tak mi się wryła w pamięci/ dowództwo sowieckie zażyczyło sobie spotkania z wyróżniającymi się oficerami i dowódcami oddziałów partyzanckich. Na spotkanie to wyznaczono

miejscowość Boguszcze.

Wcześniej generał Krzyżanowski został wezwany, z a p r o s z o n y do Wilna. Sądzono, że on ze świtą oficerów radzieckich zjawi się w Boguszczach. Co się okazało - krótko po godzinie siedemnastej podjechała do kolumn od strony Wilna kolumna wozów ciężarowych krytych brezentem. Zatrzymali się przed tą łączką, tam było kilka zabudowań,wiejskie żywopłoty. Oficerowie widzą zbliżającą się kolumnę, ustawili się, żeby powitać gości, w dwuszeregu. Z pierwszego auta wysiadł pułkownik sowiecki, podszedł, przywitał się ze wszystkimi i zaraz zakomunikował, że oficerowie polscy powinni złożyć broń...w rozmowach, jakie będą tutaj toczyły się z przedstawicielami sztabu sowieckiego III Frontu Białoruskiego...

Tutaj nastąpiła maleńka jakaś... Wystąpił ktoś:

- No cóż - mówi - my nie możemy złożyć broni.

Pułkownik zaczął się denerwować /będę mówić trochę skrótowo/. Zaraz podjechała druga kolumna, na czele której przyjechał już generał sowiecki, z NKWD, jeśli się nie mylę oni wtedy nosili czerwone otoki. Ten również podszedł, stanął przed szeregiem polskich oficerów, stanowczo zażądał złożenia broni, jeszcze jakieś słowo padło na "nie", krótko podał komendę do swoich żołnierzy, którzy ustawili się naprzeciw, jak gdyby w podkowie:"Gotuj broń", automaty... Konieczność - broń złożono.

Wówczas od tej grupy oficerów bodajże dwóch czy trzech bardzo spokojnie, flegmatycznie, nie zważając na te wszystkie toczące się rozmowy przekroczyło żywopłot i odeszli, zniknęli z pola widzenia. Na to zwrócił uwagę ten generał, że jak to

jest, że należy ich zatrzymać i zawrócić. No ale...

Ja nie byłem w tej grupie, ja byłem niedaleko. Myśmy też w pogotowiu stali, obok, oddział **"Wilhelma"**.

[.....-fragment nienagrany]

[.....] w **Puszczy Rudnickiej** on operował, w Puszczy byli również sowieci. Tam były ciągle zatargi. Bo o co chodziło: sowieci uważali za swój obowiązek niszczenie zaplecza dla frontu. Niszczyli polskie wsie, w sposób okrutny niszczyli: zabierali żywność, palili to, co zebrano. Przez to - brak środków do życia dla mieszkańców. A oni uważali, że to jest niszczenie zaplecza niemieckiego.

No ale krótko - po rozbrojeniu grupy oficerów załadowano na auta ciężarowe i wywieziono do Wilna. Fama poszła:"zostali aresztowani oficerowie", oddziały wycofały się do Puszczy Rudnickiej, inni przejęli dowództwo nad grupami.

[....]

Ja w tym czasie byłem ranny. Znalazłem się w Puszczy Rudnickiej, ale nastąpiło przemieszanie oddziałów, koncentrowanie się oddziałów pod jedno dowództwo... Ja znalazłem się w swoim macierzystym oddziale **"Cerbera"**.

[....]

Doprowadzono nas do starych, starych koszar w **Kałudze**. Ciekawostka, że w tych koszarach wojska napoleońskie kiedyś stacjonowały. Tam z miejsca wzięto się za tzw.*sanobrabotkę*. No bo cały okres podejścia na zgrupowanie, wszystko w czasie przyśpieszonym, bez możliwości umycia się: zawszeni byliśmy. Przeprowadzili to bardzo ładnie, zgrabnie - do łaźni. olbrzymia łaźnia, wszyscy rozbierali się, otrzymywali duży worek do cementu, na kilku-kilkunastu obgryzek ołówka

chemicznego, żeby na tym worku napisać adres domowy i tak dalej. Okrągłe koła z drutu gięte i tam swoją odzież wieszaliśmy do odwszalni, do sławnych *woszobojek*, jak oni nazywają. Adresy na workach były po to, że to wszystko w depozyt poszło, że po zakończeniu wojny będzie przesłane na dane adresy.

Wszystko do odwszalni, wchodzimy do łaźni, tam golenie: głowy na zero, wszędzie, gdzie włosy się znajdują - strzyżenie, smarowanie jakąś maścią. Nam to ulżyło, poczuliśmy się innymi ludźmi. Nikt nie myślał już wówczas o wodzie.

Z drugiej strony wychodziliśmy po *sanobrabotce*, tam już było przygotowane umundurowanie. Każdy na swój wzrost dobiera: *gimnaściorki*, spodnie, koszula. Jak się przebraliśmy po tym strzyżeniu, to nie mógł jeden drugiego poznać!...

Przebrano nas w sowieckie mundury, z powrotem przyprowadzono do koszar, nic więcej, tylko nakarmiono nas przyzwoicie...

[....]

Zaczęły się normalne ćwiczenia. Struktura wojskowa: potworzono kompanie, potworzono plutony, i wychodziliśmy szykiem zwartym codziennie rano na poligon. Olbrzymi poligon. Podstawowe rzeczy: walka wręcz, proste sprawy.

To trwało około trzech tygodni. Ci nasi, widocznie na podstawie oceny naszych instruktorów wojennych doszli do wniosku, że więcej nic nie potrzeba.

Cieszyliśmy się troszeczkę takim uznaniem ludności cywilnej w Kałudze, bo wychodząc z koszar zawsze śpiewaliśmy jakieś polskie piosenki. Bardzo przyzwoity dowódca batalionu,

u którego ja się znajdowałem, zresztą jego nazwisko pamiętam: major **Bezrudny**, stary oficer, jeszcze w carskiej armii służył, ale z pochodzenia był Ukrainiec. Bardzo przyzwoity człowiek, jego zachowanie na poligonie też o tym świadczyło: specjalnie nikogo nie przemęczał, "*no, riebiata, idom w kryżok razgawariwat*". Był bardzo chłonny, jak u nas w Polsce się żyło przed wojną. Takie były rozmowy. Zajęć było nawet niewiele, pierwszy tydzień, a później...

[....]

Po trzech tygodniach przychodzimy z poligonu, zostajemy powiadomieni, że następnego dnia będzie przysięga. Żeby doprowadzić się do porządku. Zaprowadzono nas nad Okę, tam popraliśmy sobie nasze mundury. Do wody się wchodziło, jeden drugiemu plecy nacierał, mydła nam wydano. Osuszyliśmy to, bo dzień pogodny był. Podstawą tego było, żeby każdy miał obowiązkowo czysty *podworotniczok*. Tu mogło być brudno, ale kołnierzyk stojący przy tej *gimnaściorce* żeby był podszyty białym płócienkiem. To płócienko dawano, darliśmy biały materiał na kawałki kołnierzyka /pierwszy błąd/ - ale czym to przyszywać? Tam igieł nie było, nie było żadnych nici!"Zrób, żeby było w porządku!" Niektórzy to jakoś sobie poprzyczepiali drucikiem, a nas była grupa, wykombinowaliśmy: darliśmy materiał na dłuższe paski, założyliśmy na szyję... Niektórym Rosjanom to się nawet podobało, to bardzo fajnie wyglądało.

Kiedy już byliśmy po apelu wieczornym, zaczynają się poważniejsze rozmowy: jak będzie ta przysięga wyglądała?... Czy przyjadą jacyś kapelani wojskowi, jak to się będzie odbywać? Trudno to sobie było wyobrazić. Nie wiem, czy wielu

było takich, którzy tę noc przespali normalnie...

Rano godzina dziewiąta, było bardzo przyzwoite śniadanie, nigdy nie najedliśmy się tak jak przed przysięgą. Wyszliśmy na plac, gdzie miała się odbyć przysięga, trybuna pokryta obowiązkowym czerwonym suknem, jakiś maszt, wszędzie czerwień, czerwień, a bieli - nie ma.

Jakoś porozumieliśmy się bez słów. Stanęliśmy przed tą trybuną poszczególnymi batalionami...

[....]

Ta dostojna melodia zrobiła troszeczkę wrażenie na nich. Na cywilnych, którzy przyszli. Czapki pozdejmowali. Rosjanie nie byli na to przygotowani. Ja stałem zaraz w drugim szeregu. A wyrzuciliśmy, jeszcze przed śpiewem, na długość bagnetu czy pepeszki, co kto miał, szybciusieńko, nie patrząc na komendę "baczność" - te nasze biało-czerwone...Nikt się za siebie nie oglądał, ale było ich trochę. Człowiek to jak w szoku jakimś to wszystko robił, nie można było obserwować tego...

Było tam operatorzy, to wszystko filmowali. Co dostojnicy, którzy mieli przyjmować przysięgę, trzeba przyznać, że do końca trzymali ręce przy papachach.

Skończono. Cisza - niesamowita.

[....]

A z drugiej strony ten korytarz był niżej wykopany, żeby było jak gdyby miejsce na spanie. Na to wszystko przywieziono jakieś stare szynele wojskowe, na miejsca do spania nawieziono gałęzi z lasu, przykryto tymi szynelami i to było nasze miejsce.

Chyba na trzeci dzień poszliśmy do lasu piłować las.

Przeważnie osinowy las, teren malaryczny, niezdrowy, bagienny. Osina i brzoza. Początkowo norma: 4 kubometry na dwóch. Niewielu było takich, co kiedyś mieli do czynienia...

[....]

Zaczęły się historie: świerzb, biegunka, dezynteria, niedożywienie. Ani kawałka mydła, spanie w tych szynelach. Inwazja pcheł, straszna inwazja pcheł. Dlatego, że to był teren piaszczysty, ubikacje - niedaleko za ziemlankami były rowy wykopane, po jakimś czasie zasypywano taki rów i dalej, następny. Ja nam na zimę wydano buszłaty, wagtowane kurtki, od spodu pikowane, a z wierzchu mogło to być kiedyś zielone. Starą, zużytą odzież nam dawano. I cóż - przychodząc z pracy albo w lesie robiliśmy takie kostki, na sznurkach mieliśmy - dwóch trzymało buszłat, a trzeci... Bo najwięcej tych pcheł gnieździło się w szwach, i tak gnietliśmy po prostu te pchły. To była okropna rzecz...

Sił ubywa.

Nie było tam wieżyczek, drutów. Ten konwój, który nas wyprowadzał do pracy - przeważnie nas Azjaci pilnowali.

Było bardzo dużo ucieczek. Oni nadal to nazywali, że "wy nie jesteście więźniami, tylko wy jesteście *wriemienno izolirowani*", czasowo internowani. To "czasowo" to oni podkreślali.

Teraz będę troszeczkę o sobie mówił. Jednego razu poszedłem - a już widziałem, że ze mną się dzieje źle, bardzo źle; napiłowanie tego drewna nie przedstawiało takiego problemu, nabraliśmy wprawy w rąbaniu, nawet takiej wprawy nabraliśmy, że jak się puknęło w stojące drzewo, to wiedzieliśmy, że jest w środku spróchniałe, to się lżej potem

piłowało. Ale później zestawić to, przecież jeszcze był śnieg - takie drzewo upadło, w śniegu się schowało, trzeba było gałęzie poobcinać...

W nocy bardzo często nas zrywano do ładowania wagonów, i tu nie było żadnych zniżek, że w nocy ładowaliśmy - przychodziła godzina świtu, z powrotem do lasu. Ciekawostka, jak ładowaliśmy - Rosjanie byli dziesiętnikami. Ładowanie wymaga strasznego wysiłku. Po czterech do wagonu, dwóch było w wagonie i dwóch podawało. Te wagony, "trumany", bardzo długie, pojemne, ile tego drewna trzeba było naszykować!... To ci Rosjanie, co, którzy dozorowali, nauczyli nas:"Wy od spodu róbcie takie kozły, a tu na wierzch trzeba będzie dużo mniej drewna...". Dosłownie pół wagonu było załadowane, a pół puste! Od ścian były tylko takie kozły, żeby to drewno nie przelatywało. My mówimy, że to będzie ktoś przecież rozładowywać."Oni mają normy, wolą rozładować taki półpusty wagon...".

A on tych norm zależało przecież ich żywienie. Tam pieniądz nie miał znaczenia, tam ludzie pracowali wyłącznie za pajki chleba.

Ja zacząłem chorować. Mojemu koledze, już nieżyjący, też Łodzianin, **Gronowski Zygmunt** /bo był też Gronowski z Warszawy - zbieżność, to samo nazwisko/, że ja już dzisiaj pracować nie będę. I tak w trakcie rozmawiania, nawet nie myśląc, jak ciągnęliśmy piłę, to tak ręce podłożyłem pod zęby. To zimą było, na mrozie ciało się otworzyło, nawet krew nie leci... Pójdę, mówię, do *sanczasti* /bo tam na miejscu był lekarz, Tatarka z pochodzenia/, pójdę do niej, to da mi zwolnienia.

Początkowo w Kałudze byli nasi lekarze, ale jakoś tam nie podchodzili Rosjanom, zwolnienia dawali... I tu już naczelniczką *sanczasti* była ta Rosjanka, Tatarka z pochodzenia, cholerne babsko jakieś.

Specjalnie podłożyłem te ręce, miałem dosyć piłowania. Tam były takie wypadki, że jak drzewo leciało, to ktos się podłożył...

Ona popatrzyła na rękę, oblała czymś i mówi:"*Naročno*", "specjalnie". Mnie ręka na drugi dzień bardzo boli, poszedłem, trochę zabandażowała, jakimiś szmatami obwiązała...

Poszedłem na stronę, wziąłem taki metrowy kawałek drzewa i rąbnąłem w stopę. Będzie coś poważniejszego, będę miał to zwolnienie i nie będę wychodził z ziemlanek. Bo już lepiej było z pchłami z ziemlankach niż w lesie...

Zabolało mnie, aż przysiadłem. Ale ruszam palcami /wówczas w tych walonkach chodziliśmy, z nazwania tylko walonki - strzępy, poszyte, posztukowane/ i mogę swobodnie ruszać. Nie to. Drugi raz zaczynam, energiczniej troszeczkę, nogę położyłem na drugiej metrówce, będzie twardsze. Jak uderzyłem, to wręcz odwrotnie, nic mnie nie zabolało. Kolega do mnie przyleciał /bo ja odszedłem trochę od tego miejsca, gdzie razem piłowaliśmy/ i mówi:"Co jest?". Zobaczył, już na wierzch z walonku krew wyszła. Powiadomił tego, który dozorował okręg naszego wyrębu, podszedł, popatrzył:"Nie ma komu go prowadzić, niech czeka, aż wszyscy będą szli". No to ja już czekałem, bo ci, którzy nas tam pilnowali, oni sobie ogniska z tych naszych gałęzi palili.

Poszedłem do izolatki, były już specjalnie zrobione.

Tłumaczyłem się, że sztabel się obsunął. Z 5 dni przesiedziałem w izolatce, już nie szedłem do lasu piłować. Już nie mogłem po prostu. Rozchorowałem się, byłem już naprawdę bardzo osłabony, i do tego wszystkiego przyplątała się dezynteria, czerwonka. To już była epidemia, bardzo dużo chorowało, początkowo jeszcze ci chorzy w swoich ziemlankach byli, potem wyznaczono specjalne.

Jak to wyglądało: wchodzę do tej ziemlanki, to niesamowite, zaduch, pomimo, że był ustęo blisko, ludzie nie byli w stanie o własnych siłach wyjść...

Czerwonka zaczęła też nie oszczędzać Rosjan, tych, którzy nas pilnowali, współpracowali. Bo było tak, że jedni pilnowali, a z kolei na terenie ziemlanek, w naszym miejscu zamieszkania to dryl wojskowy był - codziennie apel. Tam byli wojskowi. Nawet pamiętam, bo to jeszcze z Kaługi, bardzo przyzwoity gość, taki *saninstruktor* - czego on nie robił, żeby te pchły skasować... Sami wymyśliliśmy nawet taki sposób - on przywiózł skądsiś żelazka na węgiel drzewny i to się prasowało przez te żelazka. Nic to nie dawało. Nazwisko pamiętam: *lejtnant* **Najdzionow.**

Tam było naprawdę bardzo dużo ludzi takich, że nie starali się dokuczyć, w czym mogli - wręcz odwrotnie. Był też taki sybirak, też nazwisko jego pamiętam: starszy lejtnant **Pietrofowicz**, bardzo przyzwoity człowiek.

Pracował tam też *oper pełnomoczny*, ale u niego również, jak widzieliśmy, pracowali przedstawiciele *Śmierszu*. Bo ja pominąłem ważną sprawę, że ja kilkakrotnie byłem wzywany na przesłuchania: gdzie jestem urodzony, jak trafiłem, godzinami to się ciągnęło. Z namowami do współpracy ja się osobiście

nie zetknąłem.

To już zatoczyło takie kręgi, że najbardziej chorych, z silną temperaturą, odwieziono do *kołchoznej bolnicy*. To niedaleko było, jakieś 5 kilometrów od tego naszego miejsca. Nasza miejscowość, o ile się nie mylę, nazywała się **Średniaki**, i stacja o tej nazwie była, i kołchoz.

Przywieziono nas do tej *bolnicy*. Oddano nas *sanobrabotce*, dostaliśmy czystą bieliznę. Na drugi dzień przyszła doktór, bardzo przyjemna kobieta, starsza, widzieliśmy, że wiele osobistych starań włożyła, żeby pomóc nam. Pamiętam, jak stanęła kiedyś przy łóżku, nie moim, ale niedaleko mnie, i tak mówi do drugiej Rosjanki, też lekarki:

– *Smatri, smatri, toże mołodyje riebiata, a mużiki...*

Komentarz zbyteczny.

W tym szpitalu leżałem około sześciu tygodni. Często słyszeliśmy urywki rozmów, jak ona się wykłócała o jakąś żywność dodatkową dla nas. Z kołchozu przywożono nieraz jakąś kaszę, ziemniaki, ale to już było jej wyłączną zasługą, bo to było poza racjami, poza normami. Też pamiętam urywek rozmowy – okno było lekko uchylone, ona się tam wykłóca z jedną z Rosjanek wojskowych, i tamta mówi:

– *Czewo im sukinsynom nada? U nich kursanckij pajok!*

A ten *kursanckij* to był u nich najwyższy, to przed odprawą na front dawano. Jak oni postępowali z własnymi żołnieżami: podczas przygotowywania do wysłania na front raczej bardzo nikłe te racje żywnościowe były. Dopiero z chwilą wstąpienia do wagonów obowiązywał *kursanckij pajok*, lepsze zaopatrzenie.

Ja się już lepiej czułem, zaczynałem trochę myśleć. Zaczynałem odkładać sucharki. Coś mi w głowie zaświtało –

więcej ja już na ten *lesopowat* nie powrócę... Obok mnie leżał właśnie ten nieżyjący już Gronowski, był **Pełczyński Kazimierz**, też nie żyje, gdzieś w obozach zginął, ale gdzie, nie wiem, myśmy w Moskwie się rozstrzelili, każdego do innego etapu dali... Trochę przed tymi lekarzami udawaliśmy, ale człowiek siły nabrał, ta lekarka też była zadowolona.

Rozmawiam z tym Zygmuntem, mówię:"Wiesz, Zygmunt, ja suchary składam sobie, codziennie po jeden, po dwa". Więcej naciskałem na zupki czy coś takiego, z jaśka /była podwójna poszewka/ ściągnąłem jedną poszewkę i tam sobie te sucharki odkładałem. Kładłem to sobie pod materac.

Tych sucharków coraz więcej, Zygmunt był taki ostrożny /starszy był ode mnie o 4 lata, gimnazjum skończył w Łodzi/, on raczej bardzo ostrożny był:"Wiesz, nie wiem, jakie tu są szanse, jak my to przejdziemy...". Specjalnie planu nie miałem, o jednym tylko myślałem:żeby więcej nie wrócić do tego piłowania drewna.

To było w **czerwcu 1945**, już po zakończeniu wojny.

Do *bolnicy* / tego nie można było nazwać szpitalem, to jest coś pośredniego, na użytek tego kołchozu, była wielka ciasnota, starano się najwięcej łóżek włożyć, bo niestety od tego odcinka wyrębu lasu to przychodziło.../ przywożą trójkę oficerów sowieckich, którzy też zachorowali. A o co chodziło - o odzież. Przecież my byliśmy tam straszydłami, oberwani niesamowicie, w strasznych łachach nas tam zawieziono, a później przy tej pracy przez całą zimę - co na nas tam zostało?

Ja tak sobie spojrzałem - jeden jest mojego wzrostu. No dobrze. Tam było pomieszczenie gospodarcze, tam powieszono

ich mundury /nasze łachy również; a może to było inne pomieszczenie? Chyba tak, bo ich osobno trzymali. To była duża *kamera*, *kopciareczka* jakaś była, tam wisiały ich mundury, jeszcze więcej. Jeszcze tam kogoś przywieźli w nocy. Ci Rosjanie byli w innym pomieszczeniu. Zacząłem się interesować tym pomieszczeniem. Już w nocy tam sobie wpadłem, jeszcze nie miałem czym oświetlić, tylko "na macanego", macałem spodnie, buty, wszystko. Pierwsze przymierzyłem buty - oni mieli kierzowe *sapogi*, trochę skóry było, a reszta brezent jak gdyby, oni to kierzą nazywali. Przymierzyłem buty, jedne, drugie, już miałem dobre. Mapnik - jeden miał mapnik. Szukaliśmy kompasu, ale nie było, jeden miał mapę, niemiecka mapa, bardzo dokładna mapa, ale Boże, jak dokładna mapa! I już gdzie mogłem, do jakiego miejsca - do ubikacji chodziłem, to było najlepsze miejsce, rozłożyłem sobie i patrzyłem: cały ten teren był, gdzie byliśmy: Wiaźma, Smoleńsk, to wszystko... On tych map miał kilka. Ale jeszcze bałem się tę mapę teraz wziąć, później ten mapnik z powrotem zaniosłem. "Bo ja wiem? może on tam sobie będzie w torbie grzebał, zauważy brak tej mapy?" Ale już później zdecydowanie mówię:"Zygmunt, ja już będę stąd wiał". On też. Zdecydował się. Później jeszcze Pełczyński zdecydował się, potem inni, tak że tego wieczoru wyszło nas stamtąd pięciu. My byliśmy idealnie przygotowani - trzy mundury, przebraliśmy, co można było lepszego wziąć. I w nocy sobie poszliśmy.

Czy to był rozważny-nierozważny krok? Broni oni żadnej nie mieli. Wszyscy byliśmy w mundurach, tylko nas trzech miało te lepsze, i nawet jak przez jakąś miejscowość trzeba było przejść, to zawsze ci, którzy jak najlepiej wyglądali. Inna

sprawa, że myśmy się jeszcze wtedy nie golili, tylko najstarszy z nas miał największe kłopoty, bo brodaty chodził. A wtedy takie rzeczy? To dzisiaj jest przyjęte w modzie, ale wtedy...

Pierwszą noc szliśmy bez przerwy, żeby jak najdalej, jak najdalej od tych Średniak. Tam masyw leśny. Kierowaliśmy się mniej więcej... Pierwszej nocy przyszliśmy nad rzekę, narwaliśmy trochę sitowia, rzekę przebrnęliśmy i dalej, dalej, dalej...Szliśmy w kierunku, o ile się nie mylę, na **Witebsk**, **Smoleńsk**, ponad dwa tygodnie. To było na tej drodze. **Orszę** ominęliśmy, na **Wilno** kierowaliśmy się. Bo u nas jeden Wilnianin był, **Tomko** jego nazwisko, nazwisko piątego z nas pamiętam, on tutaj w Łodzi mieszka, właśnie ten, który miał najwięcej kłopotów z brodą. On był od nas starszy o 10 lat. Ale to już jest człowiek, który nie nadaje się - on później do partii wstąpił... Nazywa się **Zając Edward**. Niezbyt mile go z kolegą wspominamy, bo mieliśmy takie kłopoty, chcieliśmy, żeby był dla jednego i dla drugiego świadkiem, on się bał, nie chciał, że "lepiej go zostawmy"...Nie będę do niego wracał.

Jak myśmy wpadli: w lesie, potworna burza, ulewa, szliśmy lasami, to były duże lasy, i **Okę** przeszliśmy... Przeszliśmy Smoleńsk, przeszliśmy Orszę, to było gdzieś między Orszą a... taka jest duża miejscowość...Zastała nas burza. Przyszedł świt, piękny ranek, jak to po burzy...Zaczęliśmy się rozbierać, żeby tę odzież posuszyć, porozwieszaliśmy na krzakach, goło chodzimy, tak ciepło się zrobiło...I już kartofle były w polu - nakopaliśmy na *kołchoznych* polach trochę kartofli, trzeba je upiec. Nie było innego gotowania,

mieliśmy jakiś kociołek - bo skoro już się ktoś decyduje na ucieczkę, a ucieczka nie była taka, że liczyliśmy na kolej... Trzymaliśmy sie torów, były nawet miejscowości, gdzieśmy nawet troszeczkę sobie podjechali.

Wzięliśmy się za gotowanie - i tutaj wychodzi cała tyraliera kobiet! Z kołchozu, oni wyszli po tym deszczy na grzyby. Jak oni nas zobaczyli - oni w jedną stronę, te koszyki porzucali, z grzybami już były... A my co - nie możemy dalej już tu być, dalej trzeba w odwrotnym kierunku.

Dalej tak szliśmy lasem, skrajem lasu jeszcze dzień, i wpakowaliśmy się w nocy, na wieczór. Weszliśmy w taki odcinek - ale to noc, żeby już spać w tym lesie - gdzie pracowały /jak się później dowiedzieliśmy/ karne bataliony. I rano /spaliśmy pod jodłą, bo to w igliwiu ciepło, człowiek zmęczony po tym wszystkim/ obudziły nas jakieś hałasy. Auta gdzieś przejeżdżały, szczekanie psów. Weszliśmy na taki odcinek, gdzie ich, rosyjskie, karne bataliony piłowały las. Tam nas zatrzymano. Nie było wyjścia z tego.

Początkowo myśleli, że jesteśmy Niemcami. Bo tam Niemcy pracowali na tych terenach, to były tereny zajęte przez Niemców, w czasie działań wojennych zniszczone i oni byli wykorzystywani do odbudowy miasteczek popalonych. O nas powiedzieli ci Ruscy z karnych batalionów, oni dali znać tym, którzy ich pilnowali z kolei. Mówili:"*Czewo wy nie gawarili, szto wy Paliaki? Job waszu mać, my dumali, szto wy Niemcy...*" Siedzielibyście, mówili /oni nas tam jeszcze trzymali przy ognisku/ my byśmy poszli, nas by odprowadzili, wy byście sobie poszli dalej...

Zaraz zawiadomiono, przyjechali po nas z NKWD, zabrali

nas. Przywieziono nas do więzienia w Orszy, posiedzieliśmy w Orszy i z Orszy - do **Moskwy**, do więzienia na **Butyrkach**. Całą piątkę. Posiedzieliśmy niezbyt długo w tym więzieniu, przyjechali do nas z Kaługi ci oficerowie - dwóch rosyjskich oficerów przyjechało, jeden to był taki sadysta! Ja nazwiska jego nie pamiętam, drugi to nawet wciąż tamtego strofował podczas wiezienia nas do Kaługi. Ten pierwszy miał taki nieproporcjonalnie wielki łeb. Myśmy jego nazywali "Koci Łeb". On najbardziej był wściekły nie na to, że po polsku tak na niego wołamy, tylko jak z niemiecka:"Katze Kopf, Katze Kopf", strasznie się o to wściekał. Oni przyjechali z Moskwy, zabrali nas do Kaługi do koszar. Bo nie wszystkich na ten *lesopowat* wzięli, część została jeszcze w tych koszarach w Kałudze. Czym oni się kierowali, to my nie wiemy, ale większość, 75% to oni wywieźli na *lesopowat*.

Później zabrali nas na *lesopowat*, pokazali nas: "Widzicie, uciekali".... No i cóż - do Kaługi. W Kałudze nas osądzili. Na pokazowym. W koszarach. Tak zwany Wojenny Trybunał nas sądził.

Jakie tu mogło być nawet tłumaczenie? Dosyć mieliśmy tego wszystkiego - jedno; wiecie, coście z nami zrobili, nasze miejsce nie tutaj, jesteśmy obywatelami Polski - takie były tłumaczenia. Jak oni to odbierali... Jedna strona sądu do nas po rosyjsku, my po polsku /mimo, że już na tyle znaliśmy język, jedynie po polsku odpowiadaliśmy/. No i powiedzieli: ja dostałem 15, Zając bodajże 15, Gronowski 10... Czym oni się kierowali? Nie wiadomo. Limit taki był i trzeba było jakoś to podzielić? W wyroku - nawet nie mogę sobie teraz skojarzyć, czy było użyte "więzienia", czy tych

"*trudowo-wospitatielnych łagieriej*", jak oni to nazywali.

W Kałudze, w więzieniu, nad samą Oką - cholerne jakieś, potworne więzienie, do dziś pamiętam, jak nam otworzono bramę i strażniczką była kobieta, wojskowa. Ona tak na nas popatrzyła:"*Czewoż wy natwarieli, riebiata?...*", co wy narobiliście? Raczej w formie współczującej to powiedziała. Do dziś pamiętam ten zgrzyt zamykanej bramy żelaznej, takie aż ciarki przeszły!...

Niedługo byliśmy w więzieniu kałuskim, z powrotem nas na Butyrki wzięto. Już nie mieliśmy kontaktu z sobą, wszystkich porozbijali po innych celach, żeby nie było razem dwóch po jednej sprawie. Tam jeszcze inni, bo więcej już ucieczek z Kaługi w tym czasie było. A nas na Butyrki i tam znowuż biorą na obróbkę. W jakim celu uciekaliście?... Myśmy naprawdę nie dorośli do tych spraw, o które nas posądzano: i szpiegostwo, i "jak żeście nie z terenów wileńskich, a do partyzantki się dostali". Powiedziałem, że pracowałem z Niemcami - Boże! Ile ja za to miałem!

Takie szczegółowe d u s z e n i e. Im chodziło o przyznanie się. Siedzieliśmy w celach razem z Rosjanami, to już ci Rosjanie mówią:"Przyznajcie się, bo oni was tutaj wykończą". Jak myśmy z takich przesłucnań - różni ludzie tam przesłuchiwali, byli i tacy, że jakoś tam... ale byli i tacy, że oberwało się i obili solidnie. Mnie kiedyś takim *walenkiem* pookładał, tak to potocznie się nazywało, to był taki rękaw filcowy napełniony piaskiem czy czymś jeszcze. Śladów nie zostawiało, ale po takiej *obrabotce walenkiem* to człowiek trzy dni chodził i zwracał, nic nie jadł...

Ja w tym więzieniu butyrskim siedziałem gdzieś do marca.

W **marcu 1946** przygotowywali etap z tego więzienia. Do tego etapu ludzi młodych. Z Moskwy trafiłem do **Kujbyszewa**, na Bezimiankę, miejscowość **Biezimianka**. Duży obóz, przy obozie tym była część wydzielona, to była...jak to oni nazywali?... *Peresyłka*, obóz przesyłkowy. Tam więźniowie nie pracowali, a było dość względne wyżywienie /jak na ówczesne warunki względne, z głodem się człowiek nigdy nie rozstawał/. Chodziło o to, żeby ludzie trochę odpoczęli przed wysyłką dalej.

Fama poszła: *dalnyj etap*. W czerwcu chyba z Kujbyszewa /z Bezimianki właściwie, bo na obrzeżach Kujbyszewa był ten obóz/ - do **Krasnojarska**.

Znalazłem się w Krasnojarsku. To już był chyba koniec lipca. Wiem, że kiedy dalej płynąłem, do **Norylska**, to ostatnim etapem przed kończącą się nawigacją na **Jenisieju**. Ja swój statek zapamiętałem:"Sergo Ordżenikidze".

O tym, jak taka podróż wyglądała tyle jest publikacji - zaoszczędzę tego. Jak wyglądało to wszystko, to jeszcze mi ślad pozostał - tu mi rękę bagnetem jeden Ruski przebił. Ręce po wodę ludzie wyciągali...

Płynęliśmy z Krasnojarska do **Dudzinki**, to barki były, które ciągnął ten "Sergo Ordżenikidze". Tylko przed tymi *ujść-Jenisiejskimi* progami, tam jeszcze jakieś dodatkowe holowniki podczepiali /grupami nas troszeczkę na powietrze wypuszczano/. Tam jest jakieś przełamanie Jenisieju, jakieś 700 kilometrów od Krasnojarska. Tam z wody sterczą olbrzymie skały, a prąd jest tak nośny, że odmawiają posłuszeństwa silniki prowadzące statek. Obserwować tego nie mogliśmy. Jakieś nastąpiło uszkodzenie maszyn, były z nami kłopoty: czy

nas trzymać na barkach, czy wysadzić. Oni za pomocą lin przeciągają między tymi skałami, żeby wir wodny nie rzucił na skały i nie rozbił statku. *Ujść-Jenisiejskie* progi tak zwane.

Żadnej odzieży, nic, jak człowiek wyglądał...Powiedz komuś, żeby uwierzył! Jakimiś łachami okryty, nic więcej nie dawali. Przecież nigdzie z innymi, cywilnymi ludźmi nie mieliśmy żadnego kontaktu. Wszystko - czy wyjście z wagonu, czy co - w nocy. Oni tak robili, że nawet jak do Krasnojarska przyjechaliśmy na stację, to trzymali do nocy. Tam pod górą był *przesylnyj* punkt i więzienie. W Krasnojarsku siedzieliśmy w jednej celi z Rosjanami i oni mówią:"Pod tą górą są cmentarze. Są jeszcze mogiły waszych, powstańców...". To był duży cmentarz.

Po pięciu-sześciu dniach zaczęło się robić coraz chłodniej. Nawet jak wypuszczano troszeczkę na pokład dla zaczerpnięcia powietrza - rezygnowali z tego ludzie. Widać było białe brzegi. Jak do Dudzinki nas przywieziono, to pierwsze trapy przełożono z barek na brzeg, to te trapy były takie - ja zapamiętałem z dzieciństwa studnie pompowane i te miejsca, gdzie się wiadra podstawiało były drewniane i oblodzone - były z resztkami lodu. A na brzegach - masa lodu, ale chyba to był ubiegłoroczny?!

Jak nas przyjmują - widzimy: są olbrzymie rozpalone ogniska na brzegu, słyszymy szczekanie psów, sfory psów, masa konwojentów. Grupami, grupami, trzymają na brzegu, zaraz w kucki, ręce do tyłu, krótkie przemówienia, że stąd uciekać nie próbujcie, bo i tak... Po raz pierwszy się człowiek zetknął z tym:"*Szag w lewo, szag w prawo scitajetsia w pabieh, wołogodzki konwoj szczutek nie panimajet, strielajet*

biez prieduprieżdienia". U nich "wołogodzki" konwój to taki najbardziej oddany sprawie. Z Wołogdy? Czy oni mieli tam specjalny nabór tych ludzi? Skąd to się wzięło, to trudno mi w tej chwili powiedzieć.

Chodzili oficerowie między nami, oglądali stan, jaki wygląd zewnętrzny. Przypominam sobie takie opasłego pułkownika: chodził:"*Hołodno, riebiata? Scias tieplej, tieplej budiet...*". My mówimy: może jakąś odzież, jakieś *ciełogriejki* tutaj przywiozą... Później, jak już wszystkich wyładowano z barek, podzielono na kolumny - po sto? po więcej? - otoczyli to wszystko, konwojenci psami poszczuli... Do baraków było ze 3 kilometry i myśmy tak biegiem, biegiem...No, bez ostatnich, bo ostatnich to jak w piosence - tutaj była kiedyś ta śpiewaczka, z takim obrzydzeniem tego słuchałem, że "ostatnich gryzą psy".

W barakach na kilka dni się zatrzymaliśmy. Również łaźnia, *sanobrabotka*, odwszenie... *Kipiatku* było pod dostatkiem, tym się człowiek raczył i oszukiwał żołądek, bo to wrzątek.

I - w wagony. Ale to jeszcze była wąskotorówka. Ale jeszcze nie mówiono:*gorod* Norylsk, tylko *posiołek* Norylsk. Ale do Norylska nas nie dowieziono, może na 30 kilometrów przed Norylskiem było coś z torami i tak nas przez tundrę pognali. Mówili nam konwojenci, że wielkie szczęście, że ta *meszka* już zginęła... I tak trafiliśmy do Norylska.

Pierwsze moje zetknięcie z Norylskiem: robiący wrażenie, srogi krajobraz. Szczyty gór były już śnieżne.

Trafiłem do **10 łag-otdielenia**, to zapamiętałem, bo to było pierwsze moje...W tym 10 łag-otdieleniu mieliśmy kilka dni wolniejszych na odpoczynek, nie, to była wówczas tak zwana

"kwarantanna", dwa czy trzy tygodnie, dokładnie nie pamiętam. Osobne baraki były, wyżywienie w porównaniu z tym, co mieliśmy w drodze to było rajskie życie. Ale nie więcej jak dwa razy dziennie gorąca zupa, 200 gram kaszy i 650 gram chleba. To dla niepracujących jeszcze. Lekarze przychodzili na badania.

To był wydzielony teren, odgrodzony drutem od roboczego obozu.

[Między częścią roboczą, obozową Norylska a samym miastem była] duża brama, z tego względu, że z tej zony wywożono urobek z kopalń drogą okrężną na BOF.[1] Gros części roboczej zajmuje ROR: *Rudnik Otkrytych Rabot*. 1500 metrów poniżej Miedwieżki było **15 łag-otdielenie** /wówczas, kiedy ja trafiłem do Norylska jeszcze go nie było/. Tutaj była góra Schmidta, **Szmitycha**, i **góra Rudna**, naprzeciw siebie. Szmitycha była drążona, wszędzie były wyloty kopalń. Gdzie były wyloty, tam stali *strełkowie*, i ktokolwiek stąd wyszedł, strzelali bez uprzedzenia. Były tam drążone sztolnie aż do samego szczytu. Między górą Rudną i Szmitychą był wąwóz. U podnóża góry Rudnej był jeden obóz katorżny /numeru nie pamiętam/. Niedaleko katorżnego był **BOF**: *Bałszaja Obogatitielnaja Fabrika*. Tutaj bezpośrednio trafiał urobek z Rudnej.

Jaka była organizacja: z *rudników* wożono rudę tutaj na BOF. Był jeszcze **Rudnik 3-7**. Co za cholerna ruda tutaj była! Wiem tylko, że bardzo często tutaj ludzi zmieniano. Wersje różne: czy to miało coś wspólnego z rudą uranową? Często widziałem, jak samochody wyjeżdżały, to nawet w pojemnikach

[1] patrz: szkic Norylska na końcu relacji

tę rudę wożono. Metalowe, coś jak kanistry wojskowe. Z Rudnika to wywożono. Nie do BOF-u! To było coś osobnego.

Tutaj przechodziła droga do Norylska wiodąca, a z prawej strony, poniżej *rudnika* była **siódma żeń-zona**, duży obóz kobiecy. Blisko, niedaleko tej bramy. Jak się z Norylska patrzyło, to wszystko góry były. To w górach było.

Teraz: czy **Kawargon** i droga na Dudzinkę była za Szmitychą czy przed? Za Szmitychą...Tu był Kawargon, na płaskowyżu. To był obóz najcięższego reżimu. Tu nie byli katorżanie, to było, przepraszam za wyrażenie, *szobło-jobło*, najcięższy element przestępczy. Całą tę górę, tę *płaszczatkę* nazywano Kawargonem, może od tego obozu.

A za tą bramą zaczynało się miasto. Główna aleja Lenina, w prawo odchodziła droga na **Walok**, **Długie Jezioro** tu było, domy Gorstroju, plac Centralny, ulica Sewastopolska jeśli się nie mylę. Stadion był bliżej bramy, pomnik łyżwiarza - nie wiem, kto to był, myśmy go nazywali *łyżwij*, bo trzymał w ręku olbrzymie narty. Takiego psa miałem, jak chwoję woziłem, zawsze jak tego narciarza zobaczył, to strasznie na niego szczekał.

A tutaj był **Pekin**, te wszystkie domki. Tam - kogo nie znali, to tam nie wchodź... To były *bałki*, z jakichś opakowań, bo ludzi z obozu zwalniają, nie dla wszystkich było lokum, to to wszystko... Na kim im bardziej zależało, kto był bardziej przydatny dla kombinatu, to mu znajdowano miejsce w tych nowobudujących się domach.

W części mieszkalnej, z prawej strony były obozy. Bo tu zaraz za bramą była olbrzymia huta miedzi. To było już za bramą...czy nie?...przed bramą... Ale obozy jeszcze się

znajdowały w tym terenie mieszkalnym. Tu był **obóz nr.25**, to nie był katorżny obóz.

J.M. - Tam były **zakłady nr.25** i był obóz. Katorżanie też tam byli. Tam nie wolno było nikomu...Coś tam robili, diabli wiedzą co.

M.D. - Tu było jezioro, bo ja do tego jeziora raz wpadłem. To bez nazwy jezioro. Tu woda z hut trafiała i ja kiedyś szedłem po śniegu, załamało się pode mną. Na rękach się oparłem... Ale tam była ciepła woda. Zanim ja doleciałem do obozu, to szedłem jak średniowieczny rycerz, zamarznięte wszystko. Ale wodę do elektrowni dawało inne jezioro, też nie zamarzało, ocieplona woda tam była.

J.M. - A elektrociepłownia gdzie była?

M.D. - Z tej strony, przed drogą na Walok. TEC. Po drugiej stronie TEC-u zaraz był *chlebozawod*, jedna fabryka chleba. Od niej cały Norylsk zależał, nie było piekarni. Ta jedna fabryka zaopatrywała miasto w chleb.

Ta droga prowadziła na Walok. Tu gdzieś ciekła **Naryłka**, z tej Naryłki rury na wysokich kozłach, ponad 1 metr średnicy rury zaopatrywały Norylsk w wodę. Tu była pompownia wody, stacja pomp. To było po prostu pieszczone, zawsze brygady więźniów nad tym pracowały, ocieplano, żeby to funkcjonowało bezbłędnie.

Odległość od Norylska do Walka była do 15 kilometrów. Płynęła Noryłka, niedaleko z lewej strony był **Awioport**. Niedaleko było szerokie rozlewisko Naryłki, skąd zasilała się rzeka **Tawa** / dlaczego Tawa - Tawa to "niezamarzająca"/. Dalej góry.

Naryłka wpadała do jeziora **Piasino**, i z jeziora

Piasino wypływała rzeka o tej samej nazwie. I tu kombinowaliśmy sobie z tym Borisem Dimitriewem, jak prysnąć: bo do Dudzinki to za bardzo obstawione, nie było szans.

A ja tę swoją chwoję zbierałem na prawym brzegu Naryłki, bo na lewym to wszystko kamienie. Dopiero na prawym brzegu zaczynało się jakieś życie. Tu była lesotundra, skarłowaciałe drzewa, różnego rodzaju drzewa iglaste. Ja tutaj zbierałem chwoję. Miałem wybudowany *bałok*, musiałem się bardzo często przemieszczać dalej, posługiwałem się łódką, miałem w psy tę łódkę zaprzągniętą, bo pod prąd było bardzo ciężko łódkę prowadzić. Brałem psy na łódkę. Lewy brzeg był czysty, prawy urwisty, zadrzewiony, po tym nie było możliwości: na to, żeby psy pomagały musi być czysty brzeg, płaski.

Chwoję dowoziłem tylko do tych trzech obozów: piętnastego...

J.M. - Kamieniołomy były chyba koło Kawargonu.

M.D. - Tak, budulec był dostarczany z Kawargonu. Tam jakieś kruszywa były... Bo tu nigdzie nie było możliwości, tylko stamtąd...Ci, którzy powracali z Kawargonu to mówili:"Jak masz trafić na Kawargon, od razu ucinaj sobie łeb".

Aha, za Miedwieżką był **Burgorodok**. Polak był tutaj naczelnikiem tego *uczastka*. Tam byli geolodzy badający złoża. Polak **Wysocki**, imienia nie pamiętam. To było osiedle górników, ale już nie więźniów. Tutaj byli już wolni.

Ja tam czasami byłem, bo można było tam kupić czasami machorkę. A za machorkę można było wszystko - to było na wagę złota. Nie zawsze mi się to udawało, ale później, jak się już upodobniłem z odzieżą, to wypuszczałem się... I tam właśnie poznałem tego Polaka.

Ja tu podałem te główniejsze obozy, zbliżone do *rudników*, miejsc wydobywania. Gdzie duże zakłady, tam blisko były obozy.

W obozie nr 10 byłem bodajże do roku 1949: nastąpiła selekcja /na skutek czego - nie wiem, mogę się tylko domyślać/ i ja trafiłem w roku 1949 na Miedwieżkę. Miedwieżka to był też nowowybudowany obóz, on zaczął się budować w 1949, baraki postawili. Później na tej Miedwieżce następna selekcja - zostawiono tylko element *osobo-apastny dla Sowieckowo ustroja* /tak mówili/, wyjątkowo niebezpieczny. Mnie powiadomiono na Miedwieżce, pierwszy raz się dowiedziałem, że mam o 5 lat zmniejszony wyrok - i skierowano mnie do 15 łag-otdielenia.

W 15 łag-otdieleniu wychodziłem na *minnyje kałotce*, taka oryginalna nazwa, studnie minowe. To był odcinek robót, gdzie kopano studnie. Na odcinku... no, 100 metrów drążono kilka sztolni, załadowywano amonitem i zrywano. Ciężka to była praca, o, widzi pan, tyle lat przeszło - odbicia rąk od kilofa.

Jak sobie odbiłem te ręce, to już nie mogłem robić. To były odbicia kości. Odwożono mnie do Norylska, gdzieś do szpitala, to się strasznie paprało i operacja na to była. Potem ta ręka dawała o sobie znać bardzo silnym bólem głowy. Kto wtedy wierzył w ból głowy? Śmieli się, jak się poszło do kogoś, że "ból głowy".

Trafiłem raz do izolatora, drugi raz - przy każdym obozie był izolator. Ja już sobie później przekalkulowałem: 250 gram chleba, dwa razy gorąca zupa, to ja wolę sobie w izolatorze siedzieć, niż mnie mają do roboty wyprowadzać. W izolatorze

też wyprowadzali, ale tylko przeważnie oczyszczać i wyrównywać śnieg.

Ale to już mi się lepiej opłaciło. Były wizytacje naczelnika obozu. No to gdzie - do izolatora.

W tym izolatorze - Boże, to takie rzeczy przychodziły... Pamiętam jeszcze nazwisko naczelnika tego izolatora: **Kawandykow.** Przesłany z 10 łag-otdielenia, to był jeden z dowódców tych *basmaczy*. To byli Azjaci, którzy podejmowali powstania władzy sowieckiej. I on co - z Rosjan kto dostał się pod opiekę Kawandykowa...Bo on dobrał sobie ze swoich *ziemlakow* taką ekipę. Zasadą przetrwania w obozie było tworzenie środowiskowych... Kto dostał się pod opiekę Kawandykowa, to już drugi raz nie chciał tam wpaść do tego izolatora. Ale Kawandykow był wyłącznie do Rosjan tak usposobiony.

Człowiek nie władał językiem rosyjskim tak biegle, a on jak przyjmował, to też zaraz zapisywał, jak, kto...No i:"Polak?"."Polak". Bardzo dobrze ustosunkowany był. On mi sam później przynosił, zawsze dostawałem w tym izolatorze pół kilo chleba więcej, czy jedzenia, jak dzielili.

Sprawa wyżywienia - w tych obozach nie było stołówek. Na Miedwieżce nie było. Tam chodzili *dniewalni* i przynosili do baraków. ale w tych latach, kiedy ja byłem na dziesiątym, że jak szedł - nadbiegali, dostał nożem, rzucił chleb...I jak szedł *dniewalny* po chleb, to z eskortą, specjalnie już były przygotowane w baraku kije, pałki...A najwięcej to nie kije, pałki, bo o to było trudniej, tylko te *zaburszczyki* od młotków *odbojnych*, szpikulce. Tym się posługiwano.

Wrócę do tej swojej sprawy: Kawandykow dowiedział się, że

ja jestem Polakiem i to mi się opłaciło, ja już wyczułem, że mam u niego taki... jak nie Ruski, to już w porządku. Tylko żeby nie Ruski.

Kawandykow już był starszy wiekiem, mógł mieć wtedy około 55 lat. I przede wszystkim to już byli ludzie inaczej odżywiani, dla nich z kuchni było wszystko.

Najwięcej izolatorów bali się ci, którzy mieli do czynienia z żywnością: kucharze i inni, bo nie wiedzieli, to praca przejściowa, prędzej czy później on i tak musi do izolatora trafić, czy za jakąś kradzież / kradzież nie powodowaną jego chęcią, tylko do niego przychodzili różni *błatnyje*, i on musiał coś dać, bo wiedział, że jego przypilnują i mu gdzieś łeb urżną. On musiał z nimi żyć! Ale nie było nikogo takiego, kto by zagwarantował, że on nie wpadnie w jakiś sposób. A z tego to leciał na ogólne roboty do *ROR-Stroju*, a tam to już wykończenie szybko.

Tak się o izolator obijałem,ale już w piętnastym łag-otdieleniu, już po zmniejszeniu wyroku. A na Miedwieżce skoncentrowano wyroki wyłącznie po 25 lat, tu już była elita katorżan. Tak było od roku chyba... trochę się gubię...1948, 1949. Może ktoś się trafi, kto bliżej...

I bunt zaczął się na Miedwieżce.

J.M. - Ale tam się dwa razy zaczynało. Raz się zaczął - stłumili, a potem drugi raz.

M.D. - Podczas tej inspekcji **Suchanow** każdego o coś pyta. Pierwsze - *stacja*, paragraf. A w moim paragrafie mieściło się i 58, i 193 /opuszczenie jednostki/.

J.M. - Paragraf to 58, a *stacja* to punkt:9, 6 itd.

M.D. - I mnie też pyta. I widocznie on polecił doprowadzić

mnie do siebie. Na drugi dzień ja siedzę i jeden z obsługi izolatora mówi:"*Sabirajsia, pajdiom k naczalniku łag--otdielenia*". Poszedłem, rozmowa potoczyła się: ty skąd...

Suchanow był naczelnikiem 10 *łag-otdielenia*, później był w piętnastym, bardzo krótko, ale był. Może dlatego, że on miał za sobą dobre zaplecze organizacyjne, a ten 15 łagier zaczął się dopiero organizować.

Jak wyglądało zaopatrzenie w żywność tych górnych obozów, to jest cała historia. Każdy obóz miał swoje własne magazyny i z tych centralnych magazynów dopiero się zaopatrywał w żywność. To jest cała historia, może kiedyś...

Suchanow był bardzo krótko, w tym okresie organizacyjnym, bo później po Suchanowie naczelnikiem był - nazwisko pamiętam, bo bardzo przyzwoity człowiek był - pułkownik **Koczeroszkin.** *Koczeroszka* to jest haczyk do węgla, pogrzebacz, to mi się tak zapamiętało. Niektóre nazwiska były dobrze znane, jak **Panikowa...**

J.M. - **Zwierewa...**

M.D. - No, Zwierew to wyjątkowo...Faktycznie natura obdarzyła go nazwiskiem, albo on się do nazwisko swojego... Zwierew to znaczy zezwierzęcony, zwierzęcy...W swoim postępowaniu był bezwzględny, rygor wprowadzał.

Po tej całej rozmowie, kiedy ja mu powiedziałem:skąd, jak, co - on powiedział:"*Ty pażałsta gawari do mienia pa polski, ja wsio panimaju, no gawarit nie magu*". I jeszcze, jak już wychodziłem, mówi:"*Szto my zdies razgawariwali - nikamu...*". Niektóre słowa musiałem mu powtarzać, ale większość rozumiał. Nawet jak przechodziłem na język rosyjski:"*Niet, niet, gawari pa polski*". I dopiero za którymś razem

powiedział:"*Ja nie Suchanow, a Suchanowski*". Ale to troszeczkę potrwało, nie przy pierwszej wizycie.

Mnie z izolatora wypuszczono po tej rozmowie, chodziłem po zonie, nie nie robiłem, powiedziałem *nariadczykowi*, że ja do *spiec-otdieła*, do specjalnego zarządzenia. Co zacząłem robić - poszedłem do "kawecze"/*kulturalno-wospitacielnyj etaż*/. Przykrzyło mi się po prostu. A to barak ocieplony, pomieszczenie ciepłe. I znowuż nie pamiętam imienia - był tam taki **Gutkow.** 58 paragraf miał, to był więzień. Na ścianach zobaczyłem tam jakieś malowidła - malowali na ścianach baraku - i zacząłem niektóre poprawiać. A on mówi:"*To z tiebia niepłachoj chudożnik*". To mu się bardzo podobało, ja niektóre poprawiłem, niektóre sam zrobiłem.

Jest też istotne, jak ci zwolnieni chcieli wyładować tę nienawiść do władzy, jakoś z siebie... wyładować na kimś - robili napady na milicję. Tam milicjanci pojedynczo nie chodzili, tylko trzech, pięciu. A jak gdzieś ich tam ci zwolnieni, to co robili - tam wszędzie zakamarki, wszędzie zakamarki, te domy jak stały na nogach, to śniegiem to pozawiewa, schowasz się...

J.M. - Fundamenty to były słupy takie, można było wejść pod budynek. Nie było zagospodarowane jakieś piwnice czy coś...

M.D. - Nierówność gruntu sprawiała, że w czasie zawiei śnieżnych w jednym miejscu nawiało, olbrzymie zaspy, w drugim teren goły - nierówny teren, wszędzie łatwo się schować. Ci zwolnieni z obozów polowali na milicję i robiono z milicjantów "samoloty". To znaczy: rozbierano do goła, zostawiano tylko czapkę i co miał, automat czy karabin / z karabinami to już mało chodzili, ale byli też, jak było dwóch

automatczyków, to musiał obowiązkowo być i jeden z karabinem, żeby na dalszą odległość, w razie jakiejś ucieczki czy czegoś - dosięgnął z karabinu/ przywiązywali z tyłu do pleców, do rąk. Nikt nie pomógł takiemu, nawet nie podszedł, bo z drugiej strony ten, który pomagał:"Dlaczego, co, może widziałeś kogoś?...".

J.M. - Budownictwo - nie daj Bóg. Jak okna były zamknięte, to już pan nie otworzył. Jak były otwarte - to już pan nie zamknął. Dlaczego - bo Jenisiejem był spław tego drewna, i to zostawało już po nawigacji w rzece. Całą zimę, 10 miesięcy w wodzie leżało. Potem jak było potrzeba na stolarkę, to kiedy mieli wysuszyć? Wyciągali i od razu - troszeczkę obeschło i z tego robili okna, podłogę...

Tynkowało się cementem w środku, bo nie było gipsu. Z Polski był cement, szkło z huty w Piotrkowie przychodziło. A jak nie było cementu, to gliną.

M.D. - Okna bardzo małe, maleńkie.

J.M. - Ale zakamarki, gzymsy, różne pierdułki, filarki, filary - to było wypracowane. Ja przez jakiś czas pracowałem jako sztukator, to gzymsy trzeba było ciągnąć dookoła przy suficie. Nawet w sraczyku trzeba było gzyms! Myśmy chcieli bez - a nie! nie przyjęli, musi być! To było bardzo pracochłonne, wprawdzie to szablonem się robiło, ale...

M.D. - Specjalistów jakich chcieli to w obozach wszystkich znaleźli. Za pracę nie płacili.

J.M. - Myśmy dawali taką zaprawę z cementu - żeby normę wyrobić - potem przychodzili elektrycy, żeby kłaść przewody: mowy nie było, żeby on tam wbił coś, to był żywy beton. Klęli jak cholera. Ale myśmy musieli prędko robić. Mało - rzuciło

się ten cement żywy i na to wapno niegaszone w proszku, to od razu zastygało jak gips. A cement to ze 3-4 godziny by musiał schnąć. Taka robota...Oddawało się budynek, już przyjechało *naczalstwo*, orkiestra obozowa, i tak: pierwszą klatkę, drugą i trzecią oddają, a my w czwartej jeszcze tynkujemy, a na dolnym piętrze malują już! Taka gonka, głupota.

M.D. - Na naradzie budowniczych ze Wschodu i Zachodu - teraz już - ktoś z naszych panów mówi, że u nas jest taka sprawność na budowie, że drugie piętro budujemy, a na pierwszym już firanki wiszą. A ktoś z Rosjan wstał i mówi:"*U nas wtaroj etaż stroim - na pierwom uże kapitalnyj remont*".

J.M. - Tam żadnych firanek, mowy nie było. W tych domach ani firanki, tylko - jak myśmy budowali już następny dom, to obok budowali szeregowe domy. A tam wszystko z cegły. Mróz 40% - a oni kładli cegły: tylko rzucił, przyłożył i już zamarzła ta zaprawa! Ale potem taki dom - latem - 7-10 centymetrów "siadał".

M.D. - Już popękane te domy były.

[....]

Na górze Schmidta sztolnie wszystkie zaczynały się od strony wąwozu. Z drugiej strony raczej były wyloty. Ta góra była na wskroś przeorana. Cmentarz był u podnórza góry, z tej strony, gdzie były wyloty sztolni. Bo ze sztolni to, co pozostało nie nadawające się: węgiel odpadowy czy coś tam, *poroda* oni to nazywali, to tam zsypywali. To był tak zwany *odkos*. Sztolniami na wskroś przebita góra i tymi sztolniami zsypywano to do podnórza. Na ten cmentarz. A cmentarz - zawsze na tym miejscu chowano.

J.M. - Na świeżych miejscach, jak przyszło lato, to to

wszystko... Przecież płytko kopali, bo to wieczna zmarzlina. Musieli potem znowuż zakopywać.

M.D. - Z tą *chwojozborką* jak to było...Potem mówi pan Suchanow /czy raczej przez grzeczność trzeba byłoby powiedzieć Suchanowski/... Wydano mi w magazynie ciepłą odzież, i to odzież nową: watowane spodnie, *ciełogrejkę* i tak zwany buszłat, to jeszcze większa jest kapota. Bo też były *drewienne* buszłaty, jak ktoś *pouczył w drewiennyj buszłat*, no to...

Przy każdym obozie byli "bezkonwojni" - ci, którym kończyły się wyroki. Norylsk potrzebował też pracy "niekontrolowanej", bo tam były różne konne bazy i inne. I jeżeli ktoś był nieszkodliwy... Oczywiście według ich oceny.Duże znaczenie miała tu opinia obozowa /pod kontrolą wszyscy byli/, no i osobiste zachowanie też miało duży wpływ. I wyposażyli mnie - Boże! W obozie Rosjanie mówią:"*Hipolitowicz, szto s taboj, damoj jediosz?* Gdzie oni ciebie tak wystroili?".

Kilku tych bezkonwojnych i to, co niezbędne - i pojechałem, tam nad tę Naryłkę popłynęliśmy. Z Walka to już obóz załatwił jakąś łódkę na drugi brzeg, pomogli mi postawić moją chatkę, *bałok*. Nieduża chatka, i nas było trzech wytypowanych do tego. Jeden Rosjanin, nazwiska zapomniałem, i jeden Polak, nazwisko **Okulicz.**

Było w obozie jeszcze kilku Polaków - wiem, że był nauczyciel z **Lidy...**

[....]

Co wzięli - żywność /trochę mieliśmy ryby suszonej/, trochę odzieży...Uciekali, na coś widocznie liczyli...

Głośna była ucieczka tych lotników. Nie znam bliżej szczegółów, fama głosiła, że uciekli z jednego z obozów. Ja nawet Suchanowa kiedyś w rozmowie zapytałem, czy to jest prawda. On skinął głową: "*Uszli*". Wszyscy byli z tego zadowoleni, nawet ci wolni - że komuś się udało. O ile się nie mylę, to był rok 1951.

Uciekać na Dudzinkę i wzdłuż Jenisieju do Krasnojarska - to mowy nie było. Do Morza Karskiego - też nie, bo **Dikson** był bardzo obstawiony. Dikson to była baza wojskowa.

O Diksonie opowiedzieli mi ci Rosjanie, co na *Walkie* byli, ci lotnicy - że oni na Diksonie byli. To była wyspa u ujścia Jenisieju. Na pewno tam coś było, bo o wojskowych *dietach* to oni niechętnie mówili.

Możliwości, żeby wzdłuż Jenisieju - czy w dół, czy w górę - żadnych. Bo na brzegu Jenisieju były przecież *złotyje prieski*: **Podkamienna Tunguska, Niżna Tunguska.** To były miejsca tak obstawione, że możliwości nie było najmniejszej. Kutrem też nie - jaki kapitan kutra czy statku zgodziłby się kogoś takiego wziąć?

Dudzinka była bardzo pilnowana, no a na Piasino też bardzo ciężko. No bo przejść przez tundrę... Dlaczego oni mówili, że tundra *nieprechadimaja*?

Ale jeśli ktoś się decydował na ucieczkę, to nie z myślą... Skąd to się brało...W takich luźnych rozmowach, bo były takie czasami... Każdy miał to wszystko już powyżej uszu... Część po prostu chciała - "niech się robi co chce, dosyć mam tego"...

To jeszcze było w 10 *łag-otdieleniu*, jeszcze na początku. Razem pracowaliśmy w jednym *zaboju*. Jak kopano studnie -

metodą prymitywną: wiadro, lina jakaś, jeden na dół, drugi u góry. A że to zimą, to lepiej na dole, bo cieplej, więc były zmiany.

Już miał dosyć, mówił:"Jak przyjdzie *wiesna*...". Ja mówię:"*Kuda my dajdiom?*". "Aaa, gdzieś - mówi - dojdziemy, a jak nie dojdziemy...A ty chuj, jeżeli ty się boisz... Bo ja bolszewik.". To był młody chłopak. Takie rozmowy były.

Z obozu raz na miesiąc otrzymywałem tak zwany *suchy pajok*. Sami gotowaliśmy.

To jest wszystko takie, że już się człowiek zastanawia, czy to wszystko było kiedyś prawdą, czy to tylko takie...Gdyby mi ktoś z detalami opowiadał o życiu obozowym - ja bym osobiście nie uwierzył.

Mnie trochę, jak to mówią po rosyjsku, "podwiozło" trochę, że nie miałem do czynienia z obozami, tyle, żeby pojechać, oddać chwoję i wracać.

My się już nie zastawiamy, to już jest jacoś we krwi, że nie powiedziałbyś "umarł", tylko "pod Szmitychę". To już tak w krew wchodziło: "pod Szmitychę", "pod Szmitychę"...

Jak było w okresie buntów: ja byłem poza zoną, możliwości nawet nie miałem wejść, bó później wszędzie były już posterunki, wszędzie już pilnowali, żeby nie było jakichś kontaktów. Ale chorągwie były wywieszane czarne, chorągwie były.

Co ja wiem /zastanawiałem się długo nad tym/, ale ja nie wiem, w którym to obozie - zaczęło się od tego, że zastrzelono kilku więźniów, czy to odmowa jakaś była, czy to w trakcie prowadzenia? I to było zaczątkiem buntu.

J.M. - Ale te bunty zaczęły się w całym Związku Radzieckim.

Wiem to z późniejszych kontaktów. I to tak, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wszystko się zaczęło.

M.D. - W okresie buntów ja nie miałem już możliwości dostania się do zony. To trwało około dwóch miesięcy, może więcej.

J.M. - Bunt był raz, a potem drugi raz.

M.D. - Ja bardzo często przyjeżdżałem na *Walok*, bo tam był sklepik. Można tam było coś kupić, bo mieliśmy pieniążki. Rosjanie nie obchodzą świąt Bożego Narodzenia, ale obchodzą Nowy Rok. I ja sobie przygotowałem choinki. Rozchwytywane były, jak się je do Norylska przywiozło! Sporo tych pieniążków miałem, mogłem sobie już coś kupić. A te sklepy były tam nawet nieźle zaopatrzone, bo to było tylko dla żyjących na wolności.

Jakoś musiałem sobie radzić, musiałem wykorzystać to, że jestem tym półwolnym; jeszcze nie jestem całkowicie wolny, ale mam możliwość poruszania się.

Jak przyjechałem do *Walka*, to już mi mówiono:"W Norylsku bunt, bunt". Już ci wolni mówili, że bunty... A tu taką propagandę: były ogłaszane przez radio komunikaty, żeby czuwali wolni! To pamiętam: żeby czuwali wolni, bo jeżeli z obozu wyrwą się *zakluczeni*...Oni starali się z tych ludzi zrobić bestie! Że to są bestie!

Przecież nieraz obserwowało się na ulicy takie obrazki: prowadzą kolumnę więźniów, i jak szli chłopcy / dzieciarnia, bo starsi to już wiedzieli/, to mówili, że... jak oni mówili? nie bandyci... *szpana*?... albo faszyści, wrogowie ludu, krótko.

Owszem, byli kryminaliści, ale była masa ludzi - Boże!

jacy to ludzie byli wspaniali! przecież ilu było oficerów, wyższych oficerów...

J.M. - Inteligencja była. Przecież od procesu **Jagody** jeszcze siedzieli, u mnie było takich trzech czy czterech. Mieli po 25 lat.

M.D. - Ale ogólna sympatia Norylczan była po stronie więźniów. Bo nawet, jak ja z *Walka* jechałem, było obowiązkowe sprawdzanie dokumentów /czego wcześniej nie było/, bo część więźniów nie chciała wrócić do obozów, tylko zostawali na swoich miejscach pracy. Tam w co można było, to oni się uzbroili - oni już podjęli walkę, podjęli decyzję. A nawet narzędzia pracy mogą być bronią.

Z góry, z obozów, które wyszczególniłem, z tych niżej położonych byli ludzie doprowadzani do *Gorstroju*. A każda ta strefa budowlana to też były druty kolczaste, *wyszki*, tak sam jak obóz, pilnie strzeżony. Na nocleg dopiero prowadzono do obozu. I celem było nie dać się odprowadzić.

A jak budowano: tutaj jeden dom jest zamieszkany, z drugiej strony do też, a w środku budują.

Nie pozwolono mi w ogóle dojść. Powiedziałem, że jestem z 15 *Łag-otdielenia*."Tam, gdzie byłeś dotychczas, to idź z powrotem". Rozmowa krótka, tam nikt nie wnikał w to, kto jesteś, jak, co. Musiałem mieć z sobą swój dokument, przepustkę, i tam było wyszczególnione:"do zbierania chwoji". To było moim glejtem.

[...]

Z powrotem trafiłem do 15 *Łag-otdielenia*, jeszcze z raz czy dwa w tundrę pojechałem, później zostałem powiadomiony przez naczelnika *spec-czasti* /gdzie były nasze dokumenty

złożone/, że już mam w ogóle nie wyjeżdżać w tundrę. Jeszcze różne przedmioty osobistego użytku miałem, to jeszcze raz pozwolono.

To było w 1953 roku, przecież już mój wyrok też zbliżał się do końca. Ja liczyłem się z tym, że muszę do tego troszeczkę się przygotować. już w tym Norylsku były sklepy jako tako zaopatrzone - może nawet lepiej, niż w centrum kraju. Można było kupić sobie przyzwoity garnitur w tych sklepach. Ja miałem tę możliwość, że mogłem docierać. Rybę miałem, to sprzedałem na *Walkie* czy nawet w Norylsku miałem stałych ludzi, którzy ode mnie odbierali i ja miałem pieniądze.

Pieniądze miałem złożone u pani doktór **Nadieżdy Arkadii Lebiediowej**. Ona mieszkała w *Gorstroju*, w tym domu, gdzie była poliklinika.

Miałem kupiony granatowy garnitur / w nim przyjechałem/, miałem kupiony granatowy płaszcz - ja się bardzo przyzwoicie prezentowałem. Nawet jak jechaliśmy z Poćmy, to mówią:"Ty, bo nas napadną, bo wiedzą, że taki fisz jedzie". Ale ja miałem te możliwości.

Zostałem oficjalnie z 15 *Łag-otdielenia* zwolniony do obozu przejściowego, który był tylko odgrodzony, gdzie nas pilnowali tylko i wyłącznie ci z NKWD, *krasnopagonnicy*. To było przy drodze prowadzącej do stacji, niedaleko stacji kolejowej? Tak. Przygotowywali nas do odprawy. I ja - czemu to zawdzięczać? - z grupą innych /tam jechali Węgrzy, dwóch Anglików, Amerykanin był też jeden, co ciekawe/, samolotem nas przewieźli do **Krasnojarska**. Wojskowym samolotem. To mógł być koniec sierpnia 1953.

W tym czasie, kiedy myśmy powracali, wszędzie w Związku Radzieckim były niepokoje.

W Krasnojarsku mieliśmy się zameldować... jak się nazywał ten cholerny ich urząd... jakiś komisariat *wnutriennych diełow*, spraw wewnętrznych. Bo dostaliśmy *sprawki* w Norylsku, gdzie się zameldować w Krasnojarsku celem otrzymania dalszych dokumentów. I jak myśmy się pytali na lotnisku w Krasnojarsku, gdzie to się znajduje, oni nam dali *striełka*, żebu nas tam doprowadził. Była nas grupa, różnych narodowości. Czy chodziło o przedłużenie tych *komandirowek*? I on nas prowadził z pepeszą. Z lotniska wyszliśmy tylko na ulice Krasnojarska - szła grupa młodzieży:"*Czewoż ty, swołocz, ich wiedziosz?*", i do nas:"Czego wy się tak pozwolicie prowadzić, jak... wymienił nie wiem co..."*Czewoż, ty sukinsyn, z awtomatem za ludźmi idziosz?!*". To świadczyło o nastrojach, jakie panują. Wszędzie wówczas były niepokoje.

W Norylsku jeszcze, po tym buncie były komunikaty, żeby zachować spokój, że część ludzi jest amnestionowanych już, w przygotowaniu są dokumenty, tylko brak środków lokomocji na wywiezienie tych ludzi...Proszono o zachowanie spokoju. Już wówczas złagodniał reżim, już wprowadzono sklepy w obozach, gdzie można było coś kupić, i zaczęto ludziom dawać trochę pieniędzy.

J.M. - Już była wolna stołówka, można było za rubel piętnaście kupić w kiosku chleb, jakiś tłuszcz, cukierki, herbatniki...

M.D. - Otrzymałem w Krasnojarsku dokumenty i później jechałem... do **Kujbyszewa.** I z Kujbyszewa dopiero nas samochodami odwieziono do Poćmy. A tak to jechaliśmy sami.

J.M. - Wagony do Polski podstawili 3 stycznia 1954 roku.

M.D. - W Poćmie my już mieliśmy sanatorium. Było dobre wyżywienie, nikt nie mógł powiedzieć. Tylko obóz... przez tyle obozów przejechałem, ale nie widziałem takiego: palisada! Wysoka palisada. Piękna sosna tam była, ja się zastanawiałem, skąd oni takie sosny wysokie mają... Ostrokoły, żadnego kontaktu nie było.

J.M. - To był obóz karny.

M.D. - Kiedyś musiał być, przed nami. Bo do tego obozu, do tej palisady przylegały inne obozy. Nadal funkcjonujące obozy, z drutami. Ale myśmy byli w takim wyodrębnieniu.

Ja się tak zastawiałem - wszystkiego u nich brak, wszystkiego brak. Najlepszym przykładem tego, jak przed przysięgą wydali nam te kawałeczki materiału, żeby sobie podszyć kołnierzyki, a igieł nam nie dali! Nie mieli, bo gdyby mieli, to by dali. Jak ci ludzie tam żyli? Popatrzeć na tych wolnych ludzi - obraz nędzy i rozpaczy!... Ubóstwo i jeszcze raz ubóstwo.

A nad jednym się zastanawiałem, że czego jak czego, ale ile oni muszą mieć fabryk tego drutu kolczastego...W Krasnojarsku całe korytarze, jak małpie wygony, prowadzące do portu - wszędzie podwójne, potrójne zasieki. Jak się jechało na trasie **Omsk**, **Tomsk**, **Czelabińsk** i dalej - nic, tylko się widziało *wyszki*, *wyszki*, *wyszki*...Świadczące o tym, że były tam jakieś miejsca *zakliuczenia*.

Jednej rzeczy - drutu kolczastego - nigdy nie brakowało w tym kraju.

Kołchoz, w którym pracowaliśmy zrobił na nas wielkie wrażenie. Chcieli z nami jakoś tak kurtuazyjnie postąpić. My

z prostej ciekawości, dla nas było wielką frajdą mieć kontakt z wolnymi ludźmi. Jak przyjeżdżały auta i prosili - nie to, że "kto chce", tylko prosili nas, bo nie są w stanie wykopać kartofli, nie ma rąk do pracy - czy nie moglibyśmy pomóc im. Bardzo dużo chętnych było, żeby pojechać, jak to mężczyźni: "a to dziewczynuchnę sobie przygruchnę" i tak dalej /i takie kontakty były z kobietami/.

Skończyło się to kopanie kartofli / ja to pewno z 5-6 razy na tym byłem/ i przyjechał płatnik z tego kołchozu, żeby z nami rozliczyć się za naszą pracę, bo porządek musi być. Nie mieli drobnych - wypłacali nam / jak dziś to pamiętam/ stemplowanymi kopertami po 15 kopiejek. Ile ktotych kopert zarobił: jeden 15, drugi 20, jak oni liczyli? Przecież nam na tym nie zależało, myśmy chcieli trochę kontaktu mieć z tymi ludźmi.

Osobny temat, brak słów, żeby to określić - najlepiej odzwierciedli to taka anegdotka rosyjska: Idzie kobieta psod sądu, Cyganka, i strasznie zawodzi. Przechodzi obok Rosjanka:"*Czewoż ty riedajesz tak?*"."*Moj muż 10 liet pouczył*". "*Durnaja ty! Ja na wiecznyj katorg w kałchoz papała i toże nie płaciu!*". Takie z życia wzięte.

Ludzie, z którymi pracowałem mówili:"Hopla ma". A mnie to sprawiało taką przyjemność, że ja nie pójdę do pracy i nie będę miał z tego tytułu żadnych przykrości. Tam opuszczenie 3 dni pracy - już mógł zarobić 5 lat i więcej. Nikt nie mógł samorzutnie zmienić pracy. Przecież myśmy mieli kontakty z Rosjanami i niektórzy mówili, jednego do dziś pamiętam, jak mówił mi, że on 100 metrów bieżącej tkaniny ukradł. Ja myślałem, że to zwój jakiegoś materiału. A on mówi:"*Niet. Ja*

karobieć u nitek wział i mienia w mietrach paścitali". Wziął szpulkę nici, a mu w metrach tkaniny policzyli. Pamiętam tego chłopaka.

Każdy normalny człowiek tego nie zrozumie, jeśli nie był tam. Zobaczyć przeciętny dzień obozowicza, jak to wyglądało. Rano gong budzący. Na środku każdego obozu była szyna, i ten dźwięk - tam czyste powietrze - niesie się głos. Człowiek zerwał się podświadomie z nar, i pierwsze co słyszy, to "*Szeroka strana radnaja*", z głośników, codziennie. Ludzie szału dostawali od tego...

W czasie buntu nie zrywano głośników, ale wykorzystywano do innych celów. Jedna część nagłaśniała z jednej strony: że będą represje, a druga strona swoje... Bo przecież tam też były węzły radiowe. Oni jak mogli. to wyciszali...

Dniewalni, z obstawą, po jedzenie. Bo musiał ktoś pilnować. Widziało się takie obrazki: niesie tę zupę /to były beczki, przybite rączki i niosło się to jak w nosidłach/. I byli tacy, że miał w ręku jakieś naczynie, nie patrzył, że się oparzył, moment - w to naczynie ile złapał, gdzieś uciekł, skrył się. To łatwo było, bo baraki - czy w 15-tym, czy na Miedwieżce - były na zboczach gór budowane. I zawsze żeby zabudować zbocze, budowali tak, że jednym brzegiem barak dostawał do zbocza, a z drugiej strony wyrównywano nierówność jakimiś palami... Tam skryć się...Tam różne rzeczy się działy, kości znajdowali...

(o Niemcach, których obiecano zwolnić)

Tam podobno były jakieś wybuchy, zniszczyli to, co zbudowali. To było przed 1950 rokiem. Były nawet takie

sprawy, że mówiono o tych Niemcach, że uprzedzili przez radiowęzeł, żeby miejsca zagrożone ludzie opuścili. Nie wiem, co się z nimi stało.

(o buncie, o Żukowie, który przemawiał i mówił wiersze)

To, co mówiono w obozie, nie mogło być przeniesione na zewnątrz. Obowiązywało: gdziekolwiek ktoś "parę puścił", sprawiedliwość go dosięgła. Tam już później się sądy w obozach potworzyły. Potworzyły się podziemne organizacje. Jeszcze przed buntem. Zaczęto się organizować znacznie wcześniej przed buntem, żeby się ustrzec przed tymi różnymi...przed wewnętrznym terrorem świata przestępczego. Bo to był terror świata przestępczego. Spokojnie pan nie zasnął, spokojnie pan nie zjadł... A władza obozowa nie miała na to wpływu, nie miała znaczenia... Zaczęto się organizować i zlikwidowano to, bardzo szybko. W miarę jedzenia rośnie apetyt - skoro uporaliśmy się z tym, to może i z innymi sprawami?... I później wybuchł bunt.

Ale ja niemmogę sobie dokładnie przypomnieć; żeby mi ktoś powiedział, czy to się zaczęło przed śmiercią Stalina, czy po... To nie było ściśle z tym związane. Początki chyba zaczęły się pierwsze, jeszcze...jakby powiedzieć... "niedojrzałe" bunty to po obozach były. Ludzie nie chcieli do pracy wychodzić. Jeszcze przed... To nie było spowodowane śmiercią Stalina, ale: brak odzieży, wiecznie człowiek głodny był... Czy ktoś sobie może pomyśleć, jak to można być wiecznie głodnym? Człowiek się robi na wszystko obojętny, jest mu wszystko obojętne...

* * *

Po inicjałach M.D. - tekst Mariana Dobrowolskiego

Po inicjałach J.M. - tekst Jerzego Mrozowskiego

Znak [....] - fragment nagrania nieczytelny